



KAROLINA STEPIEŃ

SZCZĘŚCIE RODZINY MARSDENÓW

TAJEMNICA SKRYWANA W SZEPCZĄCYM LESIE...

TRZY SIOSTRY, RODZINNE FATUM
I CIAŁO NA MOKRADŁACH

LIRA
WYDAWNICTWO

K A R O L I N A S T Ę P I E Ń

SZCZĘŚCIE
RODZINY
MARSDENÓW

L i R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2020

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2020
© Copyright by Karolina Stępień, 2020

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Barbara Kaszubowska

Korekta: Joanna Dzik

Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce: © twindesigner/AdobeStock,

© Hery Siswanto/123rf.com

Zdjęcie Karoliny Stępień: © Maciej Cholewa

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

Lira Publishing Sp. z o.o.






Wydanie pierwsze

Warszawa 2020

ISBN: 978-83-66503-76-2 (EPUB); 978-83-66503-77-9 (MOBI)



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Prolog

KSIĘGA PIERWSZA. Zanim odnaleziono ciało wujka Mattiasa.

Rok 1996

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

KSIĘGA DRUGA. Tamto szczególne miejsce w lesie

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

KSIĘGA TRZECIA. Reszta świata

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

KSIEGA CZWARTA. Słowa niczym kolory wypływające z ust

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

KSIEGA PIĄTA. Wszystko oddane ziemi

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

KSIEGA SZÓSTA. Jesteśmy wśród przyjaciół

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Epilog

PROLOG

Chłopiec biegł przed siebie, a chłodne nocne powietrze wdierało mu się do gardła, wypełniało płuca i wiązało oddech. Wszystkie mięśnie drżały od wysiłku, lecz nie zatrzymywał się ani na moment, nawet gdy ostre gałęzie czarnego bzu raniły go w twarz i odsłonięte ramiona.

Musiał biec, biec, biec.

Odwieczny zdawał się być tuż za nim – perłowobiała maska w kształcie jeleniej czaszki, rozłożyste poroże porośnięte mchem i delikatnymi gałązkami bluszczu oraz smukłe, szybkie ciało wygięte w łuk.

Chłopiec widział go tylko raz.

Ten jeden, jedyny raz.

Spomiędzy koron drzew wyłoniła się Droga Mleczna, tak jasna z powodu odległych światel miasteczka. Chłopiec nie przestawał biec, choć w półmroku ledwie widział własne dłonie – nawet gwiazdy nie potrafiły mu pomóc.

Otoczyły go olszyny, a wtedy młodzieniec potknął się i upadł, ryjąc palcami głębokie bruzdy w mokrej, bagiennej ziemi. Jęknął, gdy biodro eksplodowało mu bólem, przez chwilę nie mógł się ruszyć; gardło paliło go żywym ogniem, nie potrafił swobodnie odetchnąć, zupełnie jakby ktoś usiadł mu całym ciężarem na piersiach.

Był śmiertelnie przerażony.

Poczuł gorący oddech na karku, ale gdy się odwrócił, niczego nie zobaczył – tylko ciemny las pełen cieni.

Wiedział jednak, że on tam jest.

Wstał i pobiegł dalej.

KSIĘGA PIERWSZA

**ZANIM ODNALEZIONO
CIAŁO WUJKA MATTIASA**

ROK 1996

Rozdział 1

W Conetoe wszyscy uważali rodzinę Marsdenów za pechową. Clementine z całych sił temu zaprzeczała – jeśli nie słowami, to pięścią – w głębi ducha czuła jednak, że to prawda. Nie wiedziała natomiast, kiedy ów brak szczęścia w końcu ją osiągnie.

Elenor pewnie знаła odpowiedź – jej starsza siostra znała wiele odpowiedzi.

Właśnie nastąpiło lato, parne i gorące, a w powietrzu niczym fatum wisiła burza. Clementine wyczuwała ją każdym fragmentem skóry, spoglądając w milczeniu na ciemnoniebieskie niebo, tak intensywne jak oczy ich ojca. Nie słyszała nic poza cykaniem świerszczy i dalekim, ledwie dosłyszalnym rechotem żab, a jej dusza rwała się do biegu.

Trzy siostry były bardzo podobne do siebie, a jednocześnie zupełnie inne. Wszystkie miały brunatnobrązowe włosy i takiego samego koloru oczy, upstrzone plamkami zieleni, oraz ciemne, ziemiste skóry, na których słońce namalowało piegi. Wyglądały zupełnie jakby wyrosły z ziemi za domem.

Wszystkie trzy siedziały właśnie na skraju drogi i w milczeniu czekały na ojca, dobrze ukryte w cieniu jesionu; otaczały je łąka usłana białymi i żółtymi kwiatkami, cykady i zapach suchej trawy.

Najstarsza z sióstr – Elenor – na ogół ponura i poważna, pragnęła wyrwać się z Conetoe i wyruszyć gdzieś w poszukiwaniu pomyślności; w jej oczach często gościł smutek, ale czasem o nim zapominała. Najmłodsza, choć urodzona w tym samym roku co Clementine – Ginger – była tą milczącą, niemal melancholijną, słuchającą tego, co mają jej do powiedzenia drzewa. Plotła wianki

i dekorowała nimi głowę. Średnia siostra – Clementine – była dzika jak wiatr targający konarami, równie szybka i zwinna; jeśli ktoś coś przeskrobał, równie dobrze można było obwinić za to ją.

Żar nieprzerwanie lał się z nieba. To miały być jedne z najgorętszych ferii ostatnich lat, ale siostry jeszcze o tym nie wiedziały – nie odzywając się do siebie, siedziały pod jesionem i wsłuchiwały się w cykady, raz za razem spoglądając w stronę wschodu, gdzie jezdnia znikwała między polami.

Wtedy zobaczyły zbliżającą się drogą furgonetkę o barwie spłowiałej żółci, z kilkoma ciemniejszymi plamami w miejscach, w których odprysnął lakier. Szybko podniosły się z ziemi i zbliżyły do jezdni, aby ojciec ich nie przegapił.

Zatrzymał się, a one bez słowa wdrapały się na tylne siedzenie. Nie zadawał pytań, bo już nieraz wychodziły po niego w ten sposób – nie była to tradycja, lecz sporadyczna próba odegnania w jakiś sposób nudy.

W samochodzie panował zaduch, pomimo otwartych okien. Mężczyzna siedzący za kierownicą był spracowany: miał spracowane dłonie, zmęczone oczy i zaciśnięte usta. Na ogół niewiele mówił i jeszcze rzadziej się uśmiechał, dziewczęta lubiły jednak jego towarzystwo, bo w przeciwieństwie do swojej siostry nigdy nie wymagał od nich, aby były kimś, kim nie są. Nikt nie nazwałby go przystojnym, skórę miał zniszczoną od słońca i brunatne, krótko ścięte włosy przypominające kolorem ziemię. Jego oczy lśniły jednak błękitem, tak czystym i głębokim, że swego czasu uwiódł kobietę i spłodził z nią troje dzieci.

Ginger pochyliła się i powiesiła na wstecznym lusterku wianek z kwiatów, który robiła, siedząc pod jesionem.

– Uschną i znowu zrobi się syf – mruknęła Elenor, choć być może wcale nie mówiła tego poważnie. – A ja będę go potem sprzątać.

Clementine prychnęła.

– Nieprawda. Tata otworzy drzwi i zmiecie je wiatr.

Ginger zachichotała.

– Będzie ładnie pachnieć.

Elenor pokręciła głową i zmrużyła oczy, kiedy w twarz zaświeciło jej zachodzące słońce. Niebo już zaczęło czerwienić się nad lasem oddzielającym dom Marsdenów od miasteczka.

Aż dostrzegli i sam dom.

Budynek był już stary, ale większość śladów świadczących o jego wieku zakrywał dziki bluszcz; dookoła rosły akacje, kolorowe kwiaty i krzewy – jeśli nie znało się Ginger, łatwo było przeoczyć w ogrodzie jej rękę, mimo że to właśnie za jej sprawą dom tonął w zieleni, szczególnie latem. Liczył dwa piętra, jeśli brało się pod uwagę strych, miał drewniane podłogi jęczące nocą, a w powietrzu unosił się zapach minionych lat, które Marsdenowie spędzili między jego murami. Wymagał remontu, ale nikt nie miał na niego pieniędzy.

Działkę otaczał drewniany płot z wiecznie otwartą bramą, a podjazd prowadzący pod same drzwi był tylko pasem wytartej z trawy ziemi. Za domem, w miejscu niewidocznym z drogi, stała szopa na narzędzia oraz stary volkswagen samba niezdatny do jazdy, bez kół, stojący na czterech cegłówkach, przerdzewiały i porośnięty akacją. A za nim, zaledwie kilka kroków dalej, wznosił się las – jako że w tym miejscu płot był zniszczony i tylko niewielki fragment pochylał się nad ziemią, las zdawał się być jeszcze bliżej; tylko kilka krzewów róż rosło na granicy. Wystarczyło jedynie wyciągnąć rękę.

I to właśnie dzięki niemu dziewczęta zapominały czasem, że pragnęły się stąd wyrwać.

W tej chwili nie myślały jednak o tym – wyskoczyły z samochodu i popędziły do środka, prześcigając się nawzajem, a ojciec powoli podążył za nimi. Powietrze było dziwnie nieruchome, duchota drażniła nozdrza. Mężczyzna zatrzymał się w połowie drogi i wzniósł oczy ku niebu, zupełnie jakby coś wyczuwał. Jakby coś się zbliżało.

Jego córki nie mogły jednak tego zobaczyć, bo właśnie wbiegły do holu, radośnie przeciskając się w progu i piskliwie obwieszczając reszcie domowników, że wróciły. Znalazły się w niewielkim pomieszczeniu wyłożonym boazerią, z którego wychodziło się do pozostałych części domu, w tym na wąską klatkę schodową z drewnianymi stopniami skrzypiącymi pod stopami. Zamiast jednak skierować się w jej stronę, a dalej do swojego pokoju mieszczącego się na piętrze, ruszyły do kuchni, gdzie zajrzały do garnka stojącego na kamiennej kuchni i z rozkoszą wciągnęły w płuca zapach zupy.

Clementine sięgnęła po miskę i napełniła ją po brzegi.

– Nie jest ciepła – mruknęła Elenor, dotykając dłonią garnka.

– A chce ci się grzać?

Jej starsza siostra już miała coś powiedzieć, gdy usłyszały jeszcze jeden głos należący do ich ciotki.

– Znowu się wymknęła i musiał przywozić ją ktoś z miasteczka – mówiła, a jej słowa były nieco zniekształcone z powodu oddzielającej ich ściany.

Dziewczyny znieruchomiały, nasłuchując.

– Było mi tak głupio...

– No to oddaj ją do domu opieki – mruknął ich ojciec i chwilę potem rozległ się stukot zrzucanych butów.

– Potrafię zająć się własną matką! – obruszyła się jego siostra.

Clementine bez trudu wyobraziła sobie zmarszczkę między jej brwiami i zadarty podbródek.

– A co mnie to interesuje? Ja bym się jej pozbył.

Siostry wymieniły spojrzenia.

– Ja nie jestem tobą – odparła ze złością ciotka. Jej głos zdawał się jeszcze bardziej przytłumiony, zupełnie jakby oddalała się od dziewcząt.

– No to gratuluję – warknął jej brat i wszedł do kuchni.

Jego córki już tu jednak nie było. Zabrały miski z chłodną zupą i ruszyły zjeść do volkswagena stojącego w ogrodzie.

Rozdział 2

Urodziło się ich troje.

Eric, ojciec dziewczyn, przyszedł na świat jako pierwszy, z wrzaskiem godnym noworodka, i płakał tak długo, póki nie ochrypł. Dwadzieścia minut później narodził się jego brat bliźniak, podobny do niego niczym odbicie w lustrze, ale tak cicho, że z początku myślano, iż jest martwy.

To przez lata nie miało się zmienić: Eric zawsze był pierwszy, gotów w każdej chwili się zbuntować, a Mattias – cichy i zamyślony, ale tak dziki, jak tylko może być wiatr. Coś pociągało go w stronę lasu, który już wtedy był stary i gęsty, skrywający coś, co nigdy nie chciało się pokazać.

Bracia trzymali się razem, połączeni tym, co łączyło również trzy siostry wiele, wiele lat później – pokrewieństwem i pechem Marsdenów.

Ów brak szczęścia dosięgnął ich, kiedy obaj mieli po kilkanaście lat; latem, dusznym i gorącym, takim samym, które obecnie nastało w życiu sióstr.

Mattias zaginął, a Eric się załamał, kiedy został sam.

W miasteczku mówiło się, że młodszy z bliźniaków uciekł od apodyktycznej matki, goniąc za wiatrem, tak jak zawsze zwykł robić. Nigdy go nie odnaleziono, choć jego brat poświęcił całe lata na poszukiwania. To właśnie wtedy stał się człowiekiem o zmęczonej twarzy.

Wcześniej jednak, kiedy chłopcy mieli po dziewięć lat, urodziła się ich siostra Lisa – jako jedyna z jakimikolwiek szansami wyrwania się z Conetoe, aby odnaleźć dla siebie pomyślność.

Niestety, pech Marsdenów i ją w końcu dosięgnął, gruchocząc kolano w wypadku, który całkiem zniweczył jej szanse na stypendium sportowe. Została więc w domu, razem z Erikiem, szukając dla siebie jakiegoś innego celu, w którym mogłaby się odnaleźć.

Czasem aż za bardzo.

Estella Marsden natomiast z surowej, nieczułej osoby stała się łagodniejszą, choć być może równie nieczułą osobą, przez co dzieciństwo braci, jak również ich młodszej siostry wyglądało zupełnie inaczej. Bo choć Lisa nie pamiętała, aby rodzicielka kiedykolwiek ją przytulała, i tak dostała znacznie więcej swobody niż Eric i Mattias.

Bracia mieli więc o jeden powód więcej, aby uciec z Conetoe.

Trzy siostry Marsden oczywiście wiedziały o tym wszystkim – nawet jeśli nikt o niczym im nie mówił. Dlatego też, siedząc w volkswagenie nad miskami chłodnej zupy, nie rozmawiały wcale o tacie, który pozbyłby się z domu matki chorej na demencję. Zamiast tego patrzyły po prostu, jak powietrze w pojeździe z pomarańczowego staje się ciemnoszare, gdy słońce nieubłagalnie chyliło się ku zachodowi. W środku było dużo miejsca, bo wyjęto prawie wszystkie fotele, Clementine rozłożyła się z nogami w górze, trzymając opróżnioną miskę pod głową, dnem do góry.

Elenor pragnęła powiedzieć, że lepiej by było, gdyby babunia mimo wszystko poszła do domu opieki, jej siostry doskonale to jednak wiedziały. Zamiast tego znowu pomyślała o Lisie i o tym, co ją spotkało. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia – mimo że wciąż i wciąż próbowała – jakby sama miała podzielić los swojej ciotki.

Już za rok będzie musiała wybrać uczelnię. Mogła liczyć na stypendium, nie miała jednak pewności, czy je dostanie albo czy samo Conetoe nie będzie próbowało zatrzymać przy sobie

dziewczyny. Nie chciała zostać gimnastyczką tak jak Lisa – do tego potrzeba kondycji, której Elenor brakowało – zamiast tego dziewczyna miała zadatki na dobrego matematyka. To może jednak za dużo jak na Marsdenów.

– Mógłby wreszcie spaść deszcz – powiedziała w końcu, starając się pozbyć depresyjnych myśli.

Ginger uśmiechnęła się promiennie, dzięki czemu jej twarz zdawała się jeszcze bardziej okrągła.

– Byłoby dobrze dla roślin – stwierdziła.

– Odrobina słońca też – mruknęła Clementine. – Serio rozmawiamy o pogodzie?

Elenor prychnęła i rozciągnęła się obok siostry, kładąc stopy na ścianie kabiny. Ginger wpatrywała się im z lekkim uśmiechem, opierając brodę o kolana. Czasami trudno było powiedzieć, co chodzi jej po głowie; umysł młodszej siostry zdawał się równie chaotyczny co należący do niej ogród.

* * *

Leżały już wszystkie trzy w łóżkach, otoczone jedynie przez ciemność. Ich pokój znajdował się od strony lasu, więc przez uchylone okno dochodził do nich łagodny szum liści i zapach poszycia – Ginger wdychała go głęboko w płuca.

Pomieszczenie było największe w całym domu i właśnie z tego powodu go zajęły – mieszkwały w nim wspólnie. Na wprost okien znajdowały się drzwi, grube i solidne, pomalowane białą farbą, oraz drewniana szafa, równie trwała, choć w zupełnie innym kolorze – zrobiono ją z orzecha i choć pamiętała lepsze czasy, wciąż bardzo dobrze się trzymała, głównie dzięki tacie, który ją naprawił i pokrył nową warstwą farby olejnej. W pokoju znajdowały się trzy wąskie łóżka ustawione bokiem do okien, na parapecie stały

kwiaty w doniczkach, a po kątach – stosy książek, zeszytów i rysunków zrobionych ołówkiem, kilka z nich wisiało również na ścianach.

Łatwo było się domyślić, do kogo należał pokój.

Ginger leżała na plecach, z dłońmi pod głową, i wpatrywała się w sufit. Dokładnie nad ich głowami był strych pełen starych gratów. Gdy tylko się skupiała, niemal słyszała, jak cały dom oddycha. Dudnienie w rurach, jęczenie ścian. Stukanie.

Dziewczyna zacisnęła oczy, głęboko oddychając. Lekki podmuch wpadał do pomieszczenia przez szeroko otwarte okno, niosąc ze sobą słodki, lekko mdławy zapach. Ginger była całkiem odkryta, ale mimo to się pociła.

Naprawdę chciała, aby wreszcie spadł deszcz.

Na strychu wciąż stukało, a Ginger nie mogła pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę słyszy kroki – cały dom wydawał dźwięki, lecz zwykle potrafiła je od siebie odróżnić.

Ktoś wędrował po strychu.

Wstała i spuściła stopy na drewnianą podłogę. Przełknęła ślinę, a potem cichutko, aby nie obudzić sióstr, ruszyła na korytarz. Pochyła drabinka prowadząca na górę znajdowała się zaledwie kilka kroków dalej – Ginger przystanęła, nasłuchując, ale dźwięki umilkły. Nagle zobaczyła ciemną postać stojącą pod ścianą.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Babuniu, wystraszyłaś mnie – westchnęła, ściskając w pięści przód piżamy.

– Lisa. – Staruszka zaszurała kapciami i spuściła wzrok, jakby na coś ją nakryto.

– Co ty tu robisz? – Ginger chwyciła ją pod ramię i poprowadziła w stronę klatki schodowej. Jej sypialnia znajdowała się na dole, aby nie musiała wchodzić i schodzić po stromych stopniach.

– Chciałam się napić. – Głos babuni się załamał.

– Kuchnię masz niedaleko swojego pokoju. Nie musiałaś się tu wdrapywać. – Ginger zagryzła wargę, bojąc się, że kobieta potknie się i przewróci, choć wnuczka mocno ją ścisnęła.

W końcu dotarły do jej sypialni, w której pachniało starymi ludźmi. Dziewczyna położyła staruszkę do łóżka, nakryła kocem, a potem przyniosła szklankę wody.

– Proszę, babuniu.

Babcia wyglądała krucho, zupełnie jakby zaraz miała się rozlecieć. Jak zawsze, gdy na nią patrzyła, Ginger czuła jedynie żal.

– Dziękuję, Liso. – Staruszka zamrużyła.

– Będziesz już spała?

Babunia pokiwała głową, a Ginger wróciła do swojego pokoju.

Kroki już się nie powtórzyły.

Rozdział 3

Rozsiedli się dookoła stołu ustawionego w kącie kuchni, w powietrzu unosił się słodki zapach śniadania. Charlie, mąż Lisy, uwijał się przy kuchence, nucąc coś radośnie. Clementine uważała kiedyś, że jego optymizm jest całkowicie udawany, myliła się jednak. Czasami nie mogła wyjść ze zdumienia, patrząc na jego wesołość. Teraz mężczyzna obrócił w powietrzu naleśnik, kręcąc biodrami w takt nuconej przez siebie piosenki.

– Boże, przestań. – Clementine się skrzywiła.

Charlie zaśmiał się dźwięcznie, tak jak nie powinien mężczyzna w jego wieku.

– Och, daj spokój, Clem. Wiem, że chciałabyś zatańczyć tu ze mną.

– Co? Fuj – Dziewczyna się wzdygnęła, a Ginger wtórowała jej głośnym chichotem.

Lisa usiadła przy stole, trąc zaspane oczy; w drugiej ręce trzymała kubek wciąż parującej kawy.

– Nie mów do niej „Clem” – mruknęła. – To okropne zdrobnienie.

– Mnie się podoba – odparła Clementine. Wszyscy w rodzinie i szkole tak do niej mówili.

Charlie puścił jej oczko, a ona znowu się skrzywiła. Nie popsuło mu to jednak humoru.

W końcu zasiedli już wszyscy, nawet babunia się przysunęła i nachylona nad blatem w milczeniu jadła owsiankę. Był słoneczny, sobotni poranek, równie parny jak poprzednie dni – błękitne niebo nie zwiastowało zmiany pogody. Kuchnia znajdowała się od wschodu, złociste plamy rozlewały się po podłodze i odbijały od prostych białych szafek, w powietrzu wisiał zapach bazylii

i mięty rosnącej na parapecie. Trwał przyjemny poranek, nawet Clementine musiała to przyznać.

Wszyscy Marsdenowie bardzo siebie przypominali, zupełnie jakby ich rodzicami były jedynie drzewa i kamienie. Ciemne skóry, ciemne włosy, oczy koloru ziemi bądź nieba – niczym nasiąknięte tym, na co patrzyli jako dzieci. To dotyczyło również babuni, choć ta zdążyła posiwieć i się pomarszczyć.

I tylko Charlie wybijał się na tle rodziny. Miał jasną, lekko rumianą cerę, włosy koloru miodu oraz ciepłe szare oczy. Kiedy się uśmiechał, to całym sobą: przekrzywiał na bok głowę, kulił ramiona, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem, zabawnie mrużył powieki. Wyglądał trochę jak leśny ludek, który zabłądził i trafił tutaj, do zupełnie innego świata zamieszkiwanego przez ludzi ziemi i kamieni.

Czasami Clementine naprawdę go lubiła.

Odwróciła teraz od niego wzrok, żeby nie wyczuł, że na niego patrzy, i zabrała się do jedzenia. Obok niej siedziały siostry, a naprzeciwko ciotka, zbyt zaspana, aby upomnieć bratanicę, żeby usiadła prosto. Nawet tata się do nich przysiadł.

– Co dzisiaj będziecie robić? – zapytał Charlie, bo nie lubił, gdy było cicho.

Elenor wzruszyła ramionami.

– Powłóczymy się?

Ginger uśmiechnęła się, patrząc na starszą siostrę.

– Sprawdźmy, czy są już gruszki?

– Nazbierajcie mi trochę. – Charlie wyszczerzył się do niej, na co Ginger energicznie pokiwała głową.

Clementine spojrzała na ojca. W jasnym świetle poranka wyglądał zdrowiej, choć wpadające przez okno słońce uwypukliło tylko zmarszczki wokół jego oczu. Włosy miał nastroszone,

szczególnie w miejscu, w którym zwykł je przeczesywać, a zbyt ciasna koszulka uwydatniała umięśnione dzięki ciężkiej pracy ramiona. Mężczyzna wyczuł spojrzenie córki i zwrócił na nią twarz oraz błękitne, świetliste oczy; Clementine lubiła w nie patrzeć. Uśmiechnęła się teraz, a ojciec uniósł rękę i szorstką dłońią pogłodził ją po karku.

Szybko dokończyła śniadanie, umyła talerz w zlewie i spojrzała na siostry.

– Na razie, frajerki. – Wycofała się tyłem z kuchni, a ciotka posłała w jej kierunku niezadowolone spojrzenie.

– Przestań mówić tak do sióstr!

Jednak Clementine już wyszła i popędziła do tylnego wyjścia prowadzącego na podwórko za domem. Spojrzała z uwielbieniem na las i zaciągnęła się zapachem olszynowej kory, zaciskając jednocześnie dłonie na zbyt luźnej koszulce, której nieco niesprawnie obcięto rękawy i kołnierzyk, przez co wyzierał spod niej sportowy stanik. Czekając na siostry, mocniej zawiązała sznurówki w tenisówkach. Pomimo wczesnej pory już teraz pot lał się jej między łopatkami.

Po chwili dołączyły do niej siostry. Ginger jak zwykle lekko się uśmiechała, a kwiecista spódnica falowała w takt jej kroków.

Bez słowa ruszyły przed siebie, póki nie zniknęły między drzewami.

* * *

Za lasem, idąc wciąż na północ, znajdował się stary dom, pusty od tylu lat, że dziewczyny nie pamiętały już jego właścicielki; należał niegdyś do starej wdowy, która – jeśli wierzyć plotkom – zwariowała z powodu samotności.

Właśnie to miejsce siostry obrały sobie jako kryjówkę. Żeby dotrzeć na miejsce, należało przeciąć bagno, trzymając się wąskich ścieżek między zwodniczymi bajorami wody oraz wyrastającymi z nich wysokimi olszynami uwielbiającymi wilgoć. Wielu ludzi omijało to miejsce, trzymali się na ogół obrzeży, kiedy jesienią zbierali grzyby. Siostry Marsden spędziły tu jednak całe dzieciństwo, znały każdy fragment ziemi.

Ptaki nie przestawały śpiewać, zupełnie jakby nie przeczuwały zbliżającej się burzy, Clementine słyszała rudziki, kosy i dzięcioły, zapamiętałe bijące dziobami w okoliczne topole, a Ginger jak zwykle plotła wianek z niebieskich kwiatów koziełka dopełniony miękkimi gałązkami więzów.

– No dobra – powiedziała Clementine, okręcając się wokół własnej osi. – Co byście wolały: jeść tylko kaszę jaglaną czy raczej wszystko, co chcecie, ale jednocześnie mając w brzuchu robaki?

Elenor się skrzywiła, na co Clementine wybuchnęła gardłowym śmiechem, a Ginger zmarszczyła brwi w głębokim namyśle.

– Trudne pytanie – stwierdziła w końcu.

– Co? – obruszyła się Elenor. – Raczej obrzydliwe. Oczywiście, że wybieram kaszę jaglaną.

– Nudziara – zaśmiała się Clementine.

– Nieprawda. Po prostu świadomość, że coś w tobie jest... Ugh! – Dziewczyna się zatrzęsała, pewnie to sobie wyobrażając.

Ginger włożyła na głowę właśnie zrobiony przez siebie wianek.

– A ja wybieram robaki – oznajmiła.

– Widzisz? – Clementine wskazała na młodszą siostrę. – Ona niczego się nie boi. Prawda, Ginger?

– Właściwie...

Dziewczyna zakryła jej usta dłonią, zanim ta powiedziała coś więcej.

– Widzisz? – powtórzyła triumfalnie. – Ginger niczego się nie boi!
Elenor założyła ręce na piersiach.

– No dobra, a co ty byś wybrała?

Clementine wyszczerzyła się w szerokim, złośliwym uśmiechu.

– Kaszę jaglaną.

Elenor wrzasnęła i ruszyła na siostrę, ta jednak zaczęła umykać między drzewami, aby jej pięści nie dosięgnęły celu. Zaczęły się śmiać i tylko Ginger przyglądała im się z daleka, splatając palce za plecami.

Nagle śmiechy umilkły, kiedy zaskoczone dojrzały coś z daleka.

Tam byli ludzie.

Rozdział 4

Mężczyzna w policyjnej kurtce zagroził im drogę.

– Nie możecie tam iść.

Elenor spojrzała na niego zdziwiona.

– Co się dzieje?

– Nie mogę wam powiedzieć. Ale pewnie i tak się dowiecie za jakiś czas. – Policjant się skrzywił, lecz nie ze złościwością. – Idźcie do domu.

Dziewczyny spojrzały na las za jego plecami. Między drzewami rozciągnięto żółtą taśmę, a za nią kręcili się ludzie, część z nich również miała na sobie policyjne kurtki. Ujrzały nawet pana Brewera, miejscowego szeryfa.

– Znaleźliście coś? – spytała Clementine, unosząc brwi. Powietrze stało się jakby gorętsze, mocniej lepiło się do spoconej skóry.

– Mówiłem, żebyście szły do domu – mruknął zniecierpliwiony policjant. – To nie miejsce dla was. Tu niedaleko zaczynają się bagna.

Elenor przyjrzała się jego twarzy. Nie znała go, chyba nie pochodził z Conetoe, a to oznaczało, że cokolwiek znaleziono między drzewami, nie było jedynie kilkoma odpadkami wyrzuconymi nielegalnie w lesie.

Złapała siostry za przedramiona.

– W porządku – powiedziała policjantowi. – Już idziemy.

Clementine już miała zaprotestować, ale Elenor uciszyła ją spojrzeniem. Trudna sztuka, która tylko czasem jej się udawała.

Skreśliły i ruszyły wzdłuż taśmy, przyglądając się jeszcze wszystkiemu, co znajdowało się za nią. Mężczyźni i kobiety

w uniformach kręcili się raczej bez pośpiechu, Elenor dojrzała w paru dłoniach aparaty fotograficzne, skrzynki ze sprzętem oraz worki foliowe. Miała wrażenie, jakby przyglądała się jakiejś scenie filmowej, całkiem oderwana od rzeczywistości.

– Myślicie, że znaleźli nieboszczyka? – zapytała Clementine.

Ginger spojrzała na nią z przestraszeniem.

– Kogoś z Conetoe?

Elenor tylko zacisnęła szczęki, czując, jak wzbiera w niej niepokój.

– Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek zgłosił zaginięcie – rzekła, siląc się na optymizm.

Clementine szybko jednak rozwiąła jej nadzieje.

– Może nie zdążył.

Minęły tę część lasu, wciąż oglądając się przez ramię i próbując coś jeszcze dojrzeć, co wcześniej być może umknęło ich uwadze. Wszystko wciąż wydawało się dziwne i nierzeczywiste.

Clementine spojrzała Elenor w oczy, marszcząc jednocześnie brwi, zupełnie jakby próbowała wywiercić wzrokiem dziurę w głowie siostry.

– Chodźmy do miasteczka. Może tam wiedzą coś więcej.

– A co nas to interesuje? – parsknęła Elenor, starając się ukryć niepokój w swoim głosie. – Zresztą, prędzej czy później i tak się dowiemy, o co chodzi. Tak jak mówił tamten facet.

Młodsza siostra mruknęła coś pod nosem.

– Nie jesteś ciekawa? – zapytała Elenor, tym razem głośniejszym głosem. – Może to rzeczywiście ktoś z Conetoe.

– Może zabłądził i wpadł w bagno? – wtrąciła Ginger, ostrożnie lawirując między krzakami czarnego bzu. Zerwała jedną gałązkę i teraz bawiła się nią w palcach.

– To bardzo prawdopodobne – stwierdziła najstarsza z sióstr.

Średnia wyprzedziła je, po czym się odwróciła, aby spojrzeć im prosto w twarz.

– Powinnyśmy iść do miasteczka i dowiedzieć się, o co chodzi.

Elenor wciąż nie potrafiła pozbyć się dziwnego ciężaru, który nagle zaległ na jej sercu niczym złe przeczucie. Wbiła uważny wzrok w siostrę, a ona jak zwykle buńczucznie odwzajemniła spojrzenie, lekko unosząc podbródek; pofalowane, brunatne włosy otoczyły opalone policzki, nadając jej twarzy dziki wyraz. Ginger stała obok, czekając, równie dzika jak siostrą, ale w zupełnie inny sposób – jakby była polnym kwiatem, w milczeniu obserwującym świat i jego cuda. Najstarsza siostra wypuściła powietrze z płuc, wciąż czując za plecami obcych i tajemnicę, która się z ich obecnością wiązała.

– W porządku – powiedziała w końcu, ale ciężar nie zniknął.

Żadna z sióstr nie wydała triumfalnego okrzyku, Clementine kiwnęła tylko głową, a Ginger ruszyła dalej, patrząc na nie z ukosa; innym twarzom nadałoby to lekceważący wyraz, ale w jej wykonaniu wyglądało to na ostrożność i czujność.

We trzy ruszyły przed siebie, oddalając się od żółtej taśmy i policyjnych kurtek. Zmierzały do miasteczka skrytego przed światem między drzewami, wzgórzami oraz ciągnącymi się po horyzont kwiecistymi łąkami.

Bo właśnie tym było Conetoe – niedużą miejsciną, której nie dotykały zawirowania świata, kwitnącą na wiosnę i skrzącą się na biało w zimie, z niewielkim centrum pełnym ceglanych budynków. To właśnie do niego kierowały się siostry Marsden.

Dość długo szły matecznikiem, niemal się do siebie nie odzywając – przez gęste gałęzie prawie w ogóle nie przedostawało się słońce, powietrze było ciężkie i duszne, nie tylko z powodu zbliżającej się burzy. Drzewa nieprzerwanie do siebie szeptały.

W końcu wydostały się z lasu, a potem ruszyły przez pola i łąki. Przecięły je i kiedy odnalazły asfaltową drogę, już się jej trzymały – prowadziła bowiem wprost do miasteczka.

Przy głównej ulicy stały sklepy, a nad nimi mieszkali ich właściciele – były tu market, skromna kafejka, w której okoliczna młodzież chodziła na coś słodkiego, restauracja, warsztat mechanika i jego sklep z częściami. Na końcu drogi stał również osobny bielony budynek skrywający w swych murach urząd i miejską bibliotekę, a przy alei biegnącej prostopadle do głównej ulicy znajdowały się nieduże jednorodzinne domki otoczone przez zadbane ogrody – i to właśnie w nich osiadła reszta mieszkańców Conetoe. Zwykła małomiejska okolica. Wręcz leniwa, szczególnie latem, gdy żar leje się z nieba, a wśród wyschniętej trawy rozlega się pieśń cykad.

Elenor chwyciła siostry za nadgarstki i pociągnęła je w stronę kafejki, którą i one odwiedzały, gdy tylko były w pobliżu. Dziewczyna zerknęła przez witrynę do środka, szukając tej jednej, szczególnej twarzy, a stojąca obok Ginger od razu się domyśliła, o kogo chodzi.

– Jest tam? – zapytała niemal szeptem, jakby siostry łączyła tajemnica, o której nikt nie powinien się dowiedzieć.

Clementine była bardziej bezpośrednia, jak zwykle nie przejmując się tym, co inni mogli o niej pomyśleć – rozpląszczyła twarz na szybie, jednocześnie otaczając oczy dłońmi, aby odbijające się od szkła słońce przestało ją oślepić.

– Nie widzę go – mruknęła. Mimo to weszła do kafejki, a siostry bez zastanowienia podążyły za nią.

Powitały je klimatyzowane powietrze i łagodne, pastelowe barwy, okrągłe stoliki oraz szeroki kontuar, przy którym stały otoczone szkłem półki pełne ciast i galaretek, a także lodówka

z pojemnikami na lody sprzedawane w gałkach. Clementine podeszła do lady i stojącej za nią kobiety w ciemnym uniformie.

– Cześć, Faye – przywitała się, zasapana. – Szukamy Dirka Brewera. Był tu może dzisiaj?

Właścicielka pokręciła głową.

– Jeszcze go nie widziałam. – Zmrużyła oczy. – Próbujecie się dowiedzieć, co takiego znaleźli w lesie?

Zanim Clementine zdążyła cokolwiek powiedzieć, Elenor podeszła bliżej i zapytała, z całych sił starając się ukryć napięcie we własnym głosie:

– Wiesz coś może na ten temat?

Czuła, jak coś ściska ją za gardło – próbowała odegnąć to wrażenie, ale bezskutecznie. Szczególnie, że poczciwa Faye znów tylko pokręciła głową.

– Przykro mi, dziewczyny. Na razie nie wiem więcej niż wy, ale ktokolwiek tam leży, raczej nie jest z Conetoe.

– Może jeszcze nikt nie zdążył zgłosić zaginięcia – upierała się Clementine.

Elenor zgromiła ją wzrokiem, ale jeśli nawet jej siostra cokolwiek zauważyła, postanowiła to zignorować.

Wtedy rozległ się dzwonek przy wejściu i do środka weszła grupka dziewczyn. Elenor posłała Faye pożegnalny uśmiech i pociągnęła siostry do wyjścia.

– To gdzie teraz? – zapytała Ginger, gdy znalazły się już na zewnątrz. Kwiaty we włosach zdążyły jej nieco oklapnąć.

– Szukamy dalej – mruknęła Elenor ponuro.

Rozdział 5

Urodziło się ich czworo.

Dirk Brewer przyszedł na świat jako pierwszy, a za nim, wiele lat później, reszta jego rodzeństwa – jego brat miał siedem lat, a siostry bliźniaczki po pięć.

Dirk był złotym chłopcem Conetoe, w dodatku pozbawionym wszelkich klisz związanych z tym przydomkiem – nie cechował się egocentryzmem, lecz uprzejmością, jego rodzice ani go nie bili, ani się nie znęcali nad synem, podcinając skrzydła lub zmuszając do kolejnych i kolejnych sukcesów. Oboje byli tak samo mili jak ich pierworodny – matka zajmowała się malarstwem, ojciec pełnił funkcję tutejszego szeryfa.

Złoty chłopiec Conetoe, przewodniczący rady uczniowskiej, z zadatkami na dobrego studenta o pełnym stypendium – Dirk Brewer. Miał jednak sekret, o którym nie wiedział nikt – pragnął niezwykłości. Przez całe życie mocno stąpał po ziemi, bo też nie spotykało go nic, przez co mógłby mówić o magii ukrytej przed oczami patrzących. Snuł przyziemne plany pełne mieszkań, zarobków i dobrych służbowych samochodów – nie takie złe, przez co Dirk czuł się jeszcze bardziej przygnieciony. Był bystry, ale czasem się bał, że nie można by o nim powiedzieć nic więcej – jakby można opisywać go tylko uśmiechem i prostym pismem wyślizgującym się spod jego dłoni.

Siostry Marsden – podobnie jak wszyscy inni – nie miały o tym wszystkim pojęcia. Dla nich Dirk Brewer był złotym chłopcem Conetoe, o złotych włosach i ze skryzalizowanymi planami na przyszłość, których najpewniej nie przekreśli pewien pech. Ale

skąd miałyby wiedzieć o nim coś więcej? Syn szeryfa obracał się w zupełnie innym towarzystwie i mieszkał w jednorodzinny domku z ładnym, przyszyżonym ogrodem. Był dzieckiem ze świata urzędów, podczas gdy te trzy dziewczyny zrodziły drzewa i kamienie.

W tej chwili nie myślały jednak o tym, lecz o żółtej taśmie i policyjnych kurtkach. Skręciły w aleję domków, wzdłuż której rosły wierzby pochylające się nad chodnikami. Na jednym z podwórek bawiły się hałaśliwie dzieci. Siostry minęły je, szukając wzrokiem konkretnego numeru zawieszzonego przy drzwiach. W końcu go odnalazły. Został wytłoczony z metalu wypolerowanego na błysk, przez co wyglądał jak srebro. Niewiele się już zastanawiając, podeszły bliżej i wcisnęły przycisk dzwonka.

Otworzyła im mała siostra chłopaka – Adelaide bądź Cathy, trudno było określić – i przystanęła na progu, wyczekująco wpatrując się w dziewczyny. Elenor postąpiła krok do przodu.

– Cześć, zastałyśmy może twojego brata Dirka?

Dziewczynka kiwnęła głową i pobiegła w głąb domu.

Clementine teatralnie odetchnęła.

– Już myślałam, że będziemy musiały go szukać po całym Conetoe.

Elenor posłała jej karcące spojrzenie.

– Nie bądź śmieszna.

Zanim średnia siostra zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, drzwi znowu się uchyliły, ale zamiast jednej z bliźniaczek w progu stanął Dirk Brewer.

Chłopak miał lekko falowane, złote włosy przycięte przy skroniach, delikatnie opadające na czoło. Trudno było odmówić mu urody, szczególnie gdy się uśmiechał – miał gładkie i subtelne rysy twarzy, dzięki czemu wyglądał na czarującego i godnego zaufania

młodzieńca, którego bez obaw można by przedstawić rodzinie. Policzki zaróżowiły mu się od słońca, skórę wciąż miał jednak jasną, zupełnie jakby obce jej były inne kolory. Przez to jego oczy jeszcze mocniej kontrastowały z tym chłopięcym obliczem. Były bowiem całkowicie czarne.

Uniósł teraz brwi, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Nie wpuścił dziewczyn do środka, być może się domyślając, po co do niego przyszły.

– Potrzebujecie czegoś? – zapytał uprzejmie.

Clementine się cofnęła, wiedząc, że powinna pozwolić siostrze mówić.

– Zastanawialiśmy się, czy wiesz cokolwiek na temat tego, co dzieje się na bagnach – odezwała się Elenor, przybierając ton, którym zawsze przemawiała w rozmowach z nauczycielami. Clementine go nie znosiła.

Dirk oparł się plecami o drzwi, krzyżując ramiona na piersiach. Między jego brwiami pojawiła się niewielka zmarszczka.

– Tata nie spowiada mi się ze swojej pracy.

– Ale na pewno coś słyszałeś – upierała się Elenor. – To ktoś z Conetoe?

Chłopak westchnął.

– Chyba nie, nie wiem. Dlaczego was to w ogóle interesuje?

– Ciekawość – wtrąciła Clementine, zanim zdążyła się powstrzymać.

Chłopak spojrział na nią tymi swoimi czarnymi oczyma i przez chwilę po prostu patrzył. Dziewczyna czuła, że jego wzrok niespodziewanie jej ciąży, chciała coś powiedzieć, gdy Dirk wreszcie się odezwał:

– Wiem tylko tyle, że to pies pana Torreza go znalazł. Zerwał się, goniąc chyba za sarną, nieistotne. W każdym razie, kiedy pan Torrez

w końcu go znalazł, pies już część wykopał.

Clementine ze świstem wypuściła powietrze. Takie rzeczy nie zdarzały się w Conetoe, miejscina była na to zbyt mała i leniwa – nawet powodzie stanowiły tu rzadkość, jako że stała na wzniesieniu.

Dirk potarł dłonią kark, zmuszając się do uśmiechu.

– Tata wezwał pomoc, w razie gdyby to nie był wypadek. Oni już określą, kto to. – Powoli opuścił dłoń. – Nic więcej nie wiem.

Elenor pokiwała głową.

– Wielkie dzięki. Wybacz najście. – Zaczęła się cofać, ciągnąc za sobą Ginger.

Najmłodsza siostra pomachała mu dłonią, nieśmiało się uśmiechając.

– Na razie.

Clementine stała jednak w miejscu, wpatrując się w chłopaka.

– Czy twój ojciec wie, że podsłuchujesz jego rozmowy?

Dirk poczerwieniał.

– Wcale nie podsłuchuję.

– Clem! – zawołała Elenor.

Clementine wyszczerzyła zęby w uśmiechu, wciąż nie spuszczać wzroku z chłopaka, i powoli wycofała się tyłem, pokonując kilka stopni.

– Jeszcze raz dzięki – rzekła niemal bez kąśliwości, po czym w końcu się odwróciła i popędziła do furtki, przy której stały już Elenor i Ginger.

Dirk Brewer nie spuszczał z nich wzroku, póki nie zniknęły mu z oczu. Jego spragnione niezwykłości serce zabiło mocniej, ale zanim zdążył zrozumieć, co się właściwie wydarzyło, uczucie uleciało. Chłopak czuł jednak, że powietrze przed burzą stało się jakby jeszcze bardziej naelektryzowane.

Rozdział 6

Siedziały na krawężniku przed kafejką, każda z lodami w rękę; ich słodycz i chłód przyjemnie spływały po gardłach.

– I co teraz robimy? – zapytała Ginger, nabierając smakołyk na palec, a potem go oblizując. Nie spuszczała wzroku z mijającego je samochodu.

– Musimy włamać się do biura szeryfa – stwierdziła Clementine, a po jej tonie trudno było stwierdzić, czy mówi całkiem poważnie, czy tylko żartuje.

Elenor postanowiła postawić na to pierwsze.

– Ani mi się waź, Clem. To byłoby przestępstwo.

– Naprawdę? – Dziewczyna uniosła brwi, co nadało jej twarzy ostrość.

Każda z nich została namalowana w takich samych barwach, zupełnie jakby natura nie dysponowała innymi farbami, odróżniały je jednak rysy twarzy. Ginger miała łagodne, delikatne oblicze, podobnie jak u Dirka Brewera pozbawione kantów. Elenor była bardziej okrągła, nie tylko na twarzy, ale również w ramionach, udach i biodrach, co uwydatniały krótkie ogrodniczki. Clementine natomiast, zwinna i szybka jak wiatr, miała wyraziste, smukłe rysy nadające jej twarzy pewną zaciętość, nie sprawiając jednocześnie, że wyglądała wrednie lub nieprzystępnie. Przypominała raczej chochlika lubiącego od czasu do czasu spłatać komuś figla.

– Niczego byśmy nie ukradły – ciągnęła, wzruszając ramionami. Stopione lody spłynęły jej po dłoni, szybko je więc zlizwała.

– Nie żartuj sobie – mruknęła Elenor. – Poza tym wcale nie musimy tego robić. Wystarczy poczekać. Kiedy już się okaże, kto to,

całe Conetoe będzie o tym huczeć.

– Racja. Ale nie wiadomo, ile będziemy musiały czekać!

Ginger zachichotała.

– Gdybyś się włamała do biura szeryfa, i tak niczego byś się nie dowiedziała – rzekła cicho. – On też jeszcze nie wie, zapomniałaś?

Clementine zmrużyła oczy, a na jej twarzy zagościł niesforny uśmiech.

– Tak twierdzi Dirk. Ale czy to prawda? – Szturchnęła siostrę ramieniem.

– Tak myślę. – Ginger ułamała kawałek wafelka i włożyła go do ust.

Zamilkły, wpatrując się w ulicę. Leniwy dzień zdawał się już ułudą, zupełnie jakby całe Conetoe skurczyło się w nerwowym oczekiwaniu. Siostry mogły żartować, wszystkie czuły jednak to samo. Tak jak szepczą drzewa, teraz szeptali ludzie.

Do Conetoe zawitała śmierć. Już wcześniej tu przebywała, ale nie taka tajemnicza, gwałtowna, niesprawiedliwa, sprawiająca, że ludzi przenika dojmujący żal lub współczucie, która w pewien sposób dotyka wszystkich, choć tak naprawdę nikogo nie dotyczy.

Siostry Marsden w pewien sposób doświadczyły już śmierci. Nie dosłownie, oczywiście, ale to równie dobrze mogłaby być śmierć.

Bo Mya Marsden była dla nich martwa.

Clementine wstała gwałtownie i otrzepała spodenki. Dłoń lepiała jej się od cukru, a na języku wciąż czuła słodki smak.

– Dobra, więc oto, co wiemy – stwierdziła, przechadzając się przed siostrami. – Ciało zostało znalezione pewnie nad ranem. Nie wiadomo, kto to, pewnie nikt z Conetoe. – Zatrzymała się raptownie i zmarszczyła brwi, zamyślając się. – Ale jeśli tak jest, to co tu robił? Na naszych bagnach?

Spojrzała na siostry, które również zaczęły się nad tym zastanawiać.

– Może... – odezwała się Elenor, a ciężar, który od chwili ujżenia żółtej taśmy i policyjnych kurtek osiadł jej na żołądku, stał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Odchrząknęła, próbując pozbyć się guli w gardle. – A co, jeśli to wujek Mattias?

Rozdział 7

Clementine i Ginger spojrzały na nią z niedowierzaniem.

– Bzdury – mruknęła średnia siostra. – On zaginął, nie umarł.

Elenor spojrzała na nią z uniesionymi brwiami.

– W tym przypadku chyba nie ma żadnej różnicy.

– Ale... – Clementine się zająknęła. – Ale on zaginął dwadzieścia lat temu. Nawet jeśli tam umarł, to... to po tak długim czasie i tak nic by po nim nie zostało.

– Nie w torfowisku.

Clementine zaniemówiła. Elenor również była blada, choć na jej twarzy widniała pewność granicząca ze spokojem.

– Chyba na razie nie powinniśmy tak spekulować – szepnęła nieśmiało Ginger. Nie patrzyła już na siostry, lecz w swoje stopy rozłożone płasko na asfalcie.

– To na pewno nie jest wujek Mattias – upierała się Clementine.

– A nie lepiej, gdyby to był jednak on? – zapytała Elenor. – Nie lepiej wiedzieć?

Być może miała rację. Przez dwadzieścia lat nikt nie potrafił odpowiedzieć, co stało się z Mattiasem Marsdenem. Jedni mówili, że uciekł od apodyktycznej matki, inni – że znowu za czymś gonił i porwał go wiatr, a jeszcze inni – że wszedł do lasu i pożarły go wilki. Albo wpadł do bagna i utonął.

Kiedy jednak przetrząsnęto las i zdradliwe wody mokradeł, ciała nie znaleziono.

To na pewno nie był Mattias Marsden.

– Nie jesteśmy jedynymi osobami, które czasem dopada pech – stwierdziła Clementine. Stanęła tyłem do sióstr, żeby nie dostrzegły

wątpliwości malujących się na jej twarzy. Skrzyżowała ramiona na piersiach, ale zaraz je rozplotła.

– Chyba zbyt szybko to wysnułyśmy – zgodziła się z nią Ginger.

– Przecież nie mówię, że to na pewno on – zezłościła się Elenor. – Ani to, że powinnyśmy polecieć do taty czy cici i im to wygłosić. To tylko podejrzenie. – Wstała i otrzepała ogrodniczki z piachu. – Wciąż sędzę, że musimy poczekać na wieści.

– Plotki – mruknęła Clementine.

– Wieści – poprawiła ją siostra.

* * *

Nie chciały wracać jeszcze do domu, ale i las, i opuszczony dom kryjący się za nim przestały być ich azylem, miejscem, w którym mogły się schować. A przynajmniej nie dzisiaj, nie z powodu żółtej taśmy i policyjnych kurtek.

Od zawsze traktowały puszcę jak bezpieczną przystań i choć nie tylko one tam chadzały, tak właśnie się czuły – jakby były jedynymi osobami wystarczająco odważnymi, aby wyruszyć między drzewa.

Gdyby nie pies, pan Torrez nigdy nie zbliżyłby się do bagien. Nie odkryłby ciała przykrytego torfowiskiem, na wpół odkopanego przez zwierzaka; tajemnica pozostałaby tajemnicą.

Clementine zacisnęła usta w wąską linię.

– Od zawsze chodzimy tą drogą – powiedziała na głos. – Prawie codziennie go mijałyśmy.

Leżały teraz na łące. Otaczały je wysokie źdźbła trawy, nigdy niekoszone, pożółkłe od ostrego słońca. Kłuły je w odsłonięte uda i ramiona, żadna z nich nie zwracała jednak na to uwagi. Clementine obserwowała konika polnego, który przysiadł na jej kolanie.

- Deptaliśmy po nim – podkreśliła z naciskiem.
- Nie wiesz tego – mruknęła Elenor. – Był pod ziemią.
- Chyba niezbyt głęboko, skoro pies go wykopał.
- Rozmawiacie, jakby to był wujek Mattias – wtrąciła Ginger, wpatrując się w niebo. Wianek z niebieskich kwiatów koziełków zastąpiła wiązanką z turzycy i liści lasecznicy trzcinowatej. – A przecież tego nie wiemy.

Trzy siostry Marsden doświadczyły już w pewien sposób śmierci. Nie dosłownie oczywiście, bo choć Mya Marsden była dla nich martwa, nie znały jeszcze prawdziwej śmierci, strasznej i nieodwracalnej.

Tego lata miało się to zmienić.

Rozdział 8

Burza wciąż nie nadchodziła, choć siostry Marsden wypatrywały jej jeszcze bardziej niż wcześniej. Przez chwilę wydawało im się, że słyszą dalekie pomrukiwanie nieba, nie pojawiły się jednak chmury, które przysłoniłyby przejrzysty błękit, tak podobny do oczu ich ojca.

Elenor wpatrywała się w linię drzew na horyzoncie, dziwnie nieruchomych, wyczekujących. Być może i one nie mogły się doczekać burzy.

– Może jednak pójdziemy sprawdzić, czy są już gruszki? – zapytała, próbując odegnać przygnębienie.

Ginger pokręciła głową.

– Chcę do domu – powiedziała i spojrzała na swoją najstarszą siostrę. – Proszę, chodźmy do domu.

Elenor podniosła się i podała dłoń Ginger, aby pomóc jej wstać. Clementine wciąż leżała w trawie, wpatrując się w nieboskłon; całkiem nieruchomo, jakby próbowała wtopić się w łąkę.

– Idziesz?

– Wolę zostać tutaj – mruknęła Clementine, przymykając oczy.

Siostry wpatrywały się w nią jeszcze przez chwilę, ale ostatecznie odwróciły się i ruszyły w drogę powrotną. Szybko zniknęły dziewczynie z oczu.

Clementine została sama, z cykadami i własnymi myślami.

Również się podniosła, ale nie po to, aby pójść za siostrami – podążyła w zupełnie przeciwnym kierunku. Myślała o żółtej taśmie i policyjnych kurtkach.

Wkroczyła do lasu, który zdawał się napierać na nią ze wszystkich stron, co przyjęła z milczącym zdziwieniem. Drzewa nigdy tak na nią nie działały. Zdławiła w sobie to uczucie, lawirując między wierzbami, jesionami i wiązami, dotykając dłońmi ich chropowatej kory. Las trwał niezmienny – runo leśne chrzęściło pod jej tenisówkami, gdzieś w koronach śpiewały kosy i rudziki – lecz jednocześnie dziewczyna czuła, że coś było nie tak.

To przez to nieruchome powietrze – powiedziała sobie w myślach Clementine. I przez trupa ukrytego pod warstwą błota.

Przyśpieszyła do szybkiego truchtu. Ciemne włosy się rozwiały, mięśnie napięły. Tak właśnie wyglądała, gdy goniła za wiatrem. Po pewnym czasie dotarła na miejsce i na moment przystanęła, bezgłośnie wciągając powietrze ustami i wypuszczając nosem. Nasłuchiwała, ale nie zdołała dosłyszeć żadnych ludzkich głosów; mimo to nie była pewna, czy ludzie w uniformach w końcu odeszli.

Nagle odezwał się puszczyk, jakby chciał zmusić noc, aby przybyła wcześniej. Clementine odetchnęła i ruszyła dalej. Gdyby w pobliżu wciąż kręcili się ludzie, puszczyk by się nie odezwał.

Żółta taśma zniknęła, ziemia była jednak udeptana, a miejscami przeorana, przez co trudno było zapomnieć, że jeszcze niedawno kręciło się tu mnóstwo ludzi. Dziewczyna poczuła, jak po kręgosłupie przebiega jej nieprzyjemny dreszcz – nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że to miejsce zostało... zbrukane. Jakby to po niej podreptano. Jakby wszyscy, którzy tego ranka przyszli i odeszli, zamiast dotykać lasu, dotykali właśnie jej. Świadomość, że ktoś tu leżał, nie pomagała.

– Powinam wiedzieć – powiedziała na głos. Nie miało to najmniejszego sensu, tak jednak podpowiadał jej umysł.

Puszcza była jej duszą.

Powinna wiedzieć.

* * *

Każda z sióstr miała miejsce, w którym czuła się najswobodniej – dla wszystkich trzech był to opuszczony dom za lasem, obrośnięty i zapomniany, ale dziewczęta znalazły sobie również kryjówki, do których nie miały dostępu pozostałe.

Dla Elenor był to zagracony strych z wszechobecnym kurzem wirującym w powietrzu, o nagich, drewnianych krokwiach podtrzymujących spadzisty dach. To tam, po zachodniej stronie, zbudowała sobie coś na kształt legowiska; przy starych drzwiach opartych o ścianę, z wyszczerbionym biurkiem, wypłowiałym fotelem oraz niedziałającym czarno-białym telewizorem, który teraz stał się stolikiem.

Dla Clementine był to las, po którym mogła swobodnie biegać. Jeśli musiała odpocząć, siadała na czereśni rosnącej przy domostwie, najwyżej jak tylko mogła, i wpatrywała się w horyzont. W porze owocowania zawieszała sobie czereśnie na uszach niczym kolczyki, jadła je i pluła pestkami, celując w sroki.

Dla Ginger schronieniem natomiast był ogród. To ona niemal od zawsze o niego dbała, przycinała i sadziła nowe rośliny, dzięki czemu rok po roku przybierał taki kształt, jaki miał dzisiaj. Uwielbiała, kiedy jej dłonie były brudne od ziemi, gdy nozdrza wypełniał zapach nawozu, świeżo przyciętej trawy albo niedawno przekopanej grządki. Tak jak duszę Clementine wypełniała pogoń za wiatrem, tak pierś Ginger stawała się pełna, jeśli mogła pracować między roślinami, na chwilę zapominając o całym świecie. W przyszłości chciała zostać prawdziwą ogrodniczką, taką z dyplomem, dzięki czemu mogłaby zajmować się innymi miejscami, nie tylko tymi niewielkimi skrawkami przestrzeni w Conetoe. Ale na razie ten konkretny ogród w zupełności jej

wystarczał. Właśnie w nim pracowała, aby odegnać z myśli obraz żółtej taśmy i policyjnych kurtek. Przycinała akację i pomimo rękawic raz za razem kłuła się aż do krwi jej kolcami, zbyt nieostrożna. Przerwała w końcu, gdy z jej przedramienia spłynęła cieniutka kropelka czerwieni.

Przez chwilę trwała nieruchomo, wpatrzona w sekator trzymany w dłoni, i do jej myśli przebiło się coś jeszcze.

Odgłos kroków na strychu.

Spojrzała w tamtym kierunku, niemal się spodziewając, że w wąskim, zakurzonym oknie dojrzy ludzką sylwetkę. Nic takiego się nie stało, dziewczyna ujrzała w szybie jedynie odbicie bezchmurnego nieba. Szybko skarciła się w myślach i wróciła do atakowania sekatorem niesfornych gałęzi akacji. Nikt z rodziny jej nie przeszkadzał – gdy tylko zaczynała pracę, jakby stawała się niewidzialna, co w zupełności jej odpowiadało, bo jako jedyna siostra Marsden miała kryjówkę, która tak naprawdę wcale nią nie była.

Po jakimś czasie dziewczyna wreszcie zapomniała o krokach, żółtych taśmach oraz policyjnych kurtkach.

* * *

Elenor natomiast nie zapomniała.

Z początku zaszyła się we własnej kryjówce, przyjemnie pachnącej starym drewnem, papierem i atramentem, lecz nie potrafiła tam wytrzymać – nie tylko z powodu duszności, ale i natrętnych myśli niedających spokoju.

Zeszła więc na dół w poszukiwaniu ciotki Lisy; choć dziewczyny uwielbiały towarzystwo własnego ojca, to właśnie jego siostra była osobą, do której się zwracały, jeśli miały prawdziwy problem. Elenor nie miała pewności, dlaczego tak się działo – przecież Lisa

bywała taka męcząca. Nie zła, oczywiście, po prostu męcząca. Jednak to właśnie ona wzięła na siebie trud przekazania im wszystkiego, co powinna przekazać swoim córkom matka. Być może właśnie dlatego Elenor rozglądała się teraz za nią, a nie za ojcem.

Szukając ciotki, weszła do salonu. Było to schludne pomieszczenie, którego jedną ścianę zakrywała drewniana meblościanka pełna książek i porcelanowej zastawy, drugą zaś – cienka biała firanka sięgająca podłogi. Pod trzecią ścianą stały kanapa i trzy fotele – właśnie w jednym z nich siedziała babunia wpatrzona w okno.

– Cześć, babuniu – przywitała się dziewczyna, zerkając, czy u staruszki wszystko w porządku.

– Lisa. – Starowinka się uśmiechnęła, a zmarszczki na jej twarzy tylko się pogłębiły. – Zastanawiałam się, czy twoi bracia już wrócili.

– Nie wiem, babuniu. – Elenor przełknęła ślinę. – Nie widziałam ich dzisiaj.

– Och... – Kobieta z powrotem wlepiła spojrzenie w okno. Kiedy się nie ruszała, wyglądała jak woskowa figura i przez krótką chwilę dziewczyna się zastanawiała, czy nie byłoby lepiej, gdyby... babunia po prostu umarła.

Poczuła błyskawiczne wyrzuty sumienia.

Do salonu wszedł Eric Marsden, z podpuchniętymi powiekami i włosami sterczącymi we wszystkich kierunkach. Wyglądał, jakby dopiero przed chwilą wstał. Uśmiechnął się do córki i bez słowa pogłaskał ją po głowie, co zwykł robić, kiedy wszystkie trzy były jeszcze malutkie.

– Cześć, tato.

Babunia odwróciła się na jej słowa i spojrzała na syna, a jej twarz ledwo widocznie stężała. Elenor nie miała pewności, jak to odczytać.

– Mattias – powiedziała starowinka.

– Ach, czyli dzisiaj jestem Mattiasem? – zauważył kwaśno Eric, nawet w przelocie nie patrząc na matkę.

Elenor odchrząknęła.

– Tato, widziałeś może ciocię?

Mężczyzna wycofał się z salonu i ruszył w stronę kuchni mieszczącej się niemal na wprost.

– Chyba sprząta garderobę. Sprawdź tam – powiedział z głową w lodówce, przez co jego głos zdawał się dziwnie przytłumiony.

Dziewczyna ruszyła w stronę klatki schodowej i wspięła się z powrotem na piętro, ostrożnie stąpając po wąskich, drewnianych stopniach; bardzo łatwo było z nich spaść, szczególnie jeśli się nie uważało.

Sypialnia Lisy oraz Charliego mieściła się po prawej stronie przedpokoju, dokładnie naprzeciwko pokoju dziewcząt. Elenor pchnęła uchylone drzwi i zajrzała do środka. Pomieszczenie, równie schludne jak salon, utrzymane było w bursztynowym odcieniu brązu i wydawało się całkiem puste. Mimo to zapukała we framugę, nasłuchując.

– Tu jestem – rozległ się przytłumiony głos.

Elenor weszła głębiej i zerknęła na prawo, gdzie mieściła się garderoba ciotki – pokoik tak mały, że nadawał się tylko do trzymania w nim ubrań. Lisa siedziała w środku, zagrzebana pod rzeczami.

– Cześć, ciotciu, możemy pogadać?

– Jasne, co się dzieje? – Kobieta odchyliła się i obrzuciła bratanicę uważnym spojrzeniem. Nawet w rozciągniętej koszulce i z poczerwieniałymi policzkami wyglądała naprawdę ślicznie, jak połączenie ostrości Clementine ze smukłością Ginger. Elenor lubiła

myśleć, że ich ojciec oddał całą urodę, aby obdarować nią swoją siostrę.

Dziewczyna usiadła na szerokim łóżku, czując, jak materac ugina się pod jej ciężarem.

– W lesie kogoś znaleźli – wydusiła z siebie na wydechu, wpatrując się w ciotkę, jakby próbowała ocenić, czy ona również podejrzewa to, co bratanica.

– Och, wiem, Charlie mi mówił – odparła Lisa dziwnym tonem; takim, z jakim mówi się o przykrych wydarzeniach usłyszących z telewizji. Smutnych, ale jednocześnie zbyt odległych, aby mogły cię dotyczyć. – Słyszał o tym, gdy był w mieście – dodała i z ociąganiem wróciła do składania ubrań i odrzucania tych, w których już nie chodziła. – I właśnie dlatego nie lubię, kiedy chodzicie po tym lesie. Sama widzisz, czym to grozi: jeden nieostrożny krok i zostajesz pochłonięta przez bagno.

– Nie sądzę, aby ten ktoś zginął, bo wpadł do bagna.

– Czyli skoro on się nie utopił, to wam też to nie grozi? – Lisa zmarszczyła brwi, znowu przyglądając się bratanicy, jednak już z naganą.

– Nie o to chodzi – obruszyła się Elenor. Podobnych rozmów przeprowadziła z ciotką już kilka, za każdym razem z podobnym skutkiem.

Lisa nie spuszczała z niej wzroku, dezaprobata zniknęła jednak z jej oblicza, na powrót zastąpiona dociekliwością.

– A o co? – zapytała tylko.

Elenor znowu poczuła dziwny ciężar, który nie chciał zniknąć.

– Nie wiem. Ja... – Zawahała się. – Widziałyśmy dzisiaj tych policjantów. Clem stwierdziła, że codziennie musiałyśmy po tym kimś dreptać.

Spojrzenie Lisy nieco złagodniało. Ciotka wstała i podeszła do bratanicy, aby zaraz potem otoczyć ją ramionami i mocno ścisnąć.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale temu komuś na pewno było wszystko jedno, czy ktoś po nim chodzi, czy nie.

– Ciociu...

Lisa odsunęła się nieco, aby móc na nią popatrzeć.

– Nie powinnaś o tym myśleć – rzekła poważnym, nieuznającym sprzeciwu tonem, którym często przemawiała do swoich bratanic. – Niestety, takie rzeczy zdarzają się na świecie, nic na to nie poradzisz. Im szybciej o tym zapomnisz, tym lepiej.

Elenor pokiwała lekko głową.

Zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby ciotka Lisa mogła mieć własne dzieci.

Rozdział 9

Niebo wreszcie zasnuło się ciemnymi chmurami. Wciąż nie grzmiało, ale w powietrzu już można było wyczuć tę dziwną do określenia elektryczność, która sprawiała, że całe ciało tężało w napiętym wyczekiwaniu. Cykady umilkły, nie zapadła jednak cisza – drzewa wciąż z ożywieniem szeptały, jeszcze głośniejsze niż wcześniej, a z oddali dochodził rzegot żab, brzmiący niemal jak ludzkie głosy. Clementine otworzyła szeroko okna, aby móc mu się przysłuchiwać.

Dzień przeszedł w wieczór, a wieczór w noc.

Clementine siedziała później na drzewie przy domu i wpatrywała się w ciemność. Nie zrywała czereśni, nie wieszła ich na uszach i nie udawała, że to kolczyki. Próbowwała wtopić się w mrok i zniknąć. Nie udało jej się to.

Pod drzewem stanęła Ginger i zadarła głowę – we włosach młodszej siostry nie tkwiły już kwiaty ani liście, jak niemal zawsze o tak późnej porze, Clementine doszukała się w tym jednak przygnębiającego znaku. Westchnęła przeciągle.

– Czego chcesz?

Ginger nie skrzywiła się, jej twarz pozostała łagodna i Clementine zaczęła się zastanawiać, jak jej młodsza siostra to robi.

Obie przyszły na świat w tym samym roku i Charlie żartował czasem, że są bliźniaczkami: Clementine urodziła się w lutym, a Ginger w grudniu. Obie były bardzo młode – zostały im jeszcze dwa lata nauki, więc wybór uczelni stanowił dla Clementine odległą, zbyt odległą przyszłość. Niemal nieprawdziwą.

– Nie powinnaś tam siedzieć – powiedziała spokojnie Ginger. – Może cię trafić piorun.

Clementine spojrzała w górę, na zachmurzone, lecz wciąż spokojne niebo.

– Serio? – spytała sceptycznie, nieco zbyt głośno nawet we własnych uszach.

Jej młodsza siostra pozostała niewzruszona. Tylko ona – z wyjątkiem ich ojca – miała do niej tyle cierpliwości.

– Piorun może strzelić nawet z bezchmurnego nieba – stwierdziła. – Jeśli ma się pecha.

Dziewczyna parsknęła, starając się odegnać nagły ciężar, który osiadł na jej piersiach. Zerknęła w dół, na czekającą siostrę, niemal całkiem zasłoniętą przez liście czereśni. Znowu westchnęła i po chwili posłusznie zeszła, ostrożnie podpierając się bosymi stopami na gałęziach. Lekko stanęła na ziemi – pokonywała tę trasę tysiące razy, więc przychodziło jej to już naturalnie, nawet z zamkniętymi oczami.

– Gdzie Elenor? – zapytała.

– W domu.

Ruszyły do środka, popychane przez gorące, duszne powietrze. Nie musiały długo szukać, bo wszyscy rozsiedli się w salonie. Tata leżał wyciągnięty na kanapie, ramieniem zasłaniając oczy, i cicho pochrapywał, a na jego policzkach i brodzie widać było cień zarostu, jakby mężczyzna nigdy się nie golił. Ciotka siedziała w fotelu, z mężem u swoich stóp, który swobodnie opierał głowę o jej kolana i pozwalał, aby przeczesywała mu włosy. Wpatrywali się w telewizor ustawiony na meblościance. Elenor, rozciągnięta w poprzek na podłodze, również na niego patrzyła, ale raczej mimowolnie, skupiając się głównie na szkicowniku rozłożonym

przed jej nosem. Nawet babunia tu była; siedziała w drugim fotelu, utkwivszy niewidzące spojrzenie w migającym ekranie.

Wtedy noc przeciął pierwszy błysk i nad ich głowami rozległ się donośny, przeciągający się w nieskończoność pomruk. A potem lunął deszcz.

– Mówiłam – stwierdziła swobodnie Ginger.

Clementine spojrzała na nią spod zmrużonych powiek, nie odezwała się jednak słowem.

– I koniec oglądania – mruknęła Lisa.

Charlie się zaśmiał, uwolnił spod jej dłoni i wyłączył telewizor. W chwili, kiedy sięgał za pudło, aby odłączyć je od prądu, przebudził się Eric.

– Co się dzieje?

– Burza, tato. – Clementine rzuciła się na jego nogi, ale w ostatniej chwili mężczyzna zdążył je zabrać. – Matka natura wreszcie uznała, że wystarczająco długo spała.

Tata uśmiechnął się lekko, prawie niezauważalnie.

– Myślisz, że w czasie suszy nie pracuje?

Pojawiła się kolejna błyskawica, po której tak potężnie zagrzmiało, że cały dom zatrzęsł się w posadach. Babunia skuliła się, wystraszona.

– Nic się nie dzieje, mamo. – Lisa podeszła do niej i złapała ją za dłonie. – Chodź, zrobię ci herbaty i dam coś na uspokojenie. Będziesz lepiej spała.

Pociągnęła staruszkę w stronę wyjścia, a ona jak zwykle ulegle podążyła za córką, bez najmniejszego oporu. Ginger odsunęła im się z drogi, po czym zajęła wolny fotel, podciągając kolana pod samą brodę.

Światła zamigotały.

– Cholera – mruknął Charlie, wpatrując się w żyrandol. – Chyba szykuje się prawdziwa burza.

– A kiedy nie byłaby prawdziwa? – parsknęła Clementine, wpatrując się w niego ze zmarszczonymi brwiami.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– Wiesz, o co mi chodzi – zaśmiał się. – O taką... wielką burzę.

Dziewczyna przewróciła oczami, ale to w żaden sposób nie wyprowadziło go z równowagi. Jego ramiona zatrzęśły się od bezgłośnego śmiechu, kiedy zajmował miejsce obok Elenor, po turecku krzyżując nogi.

Deszcz tymczasem przybrał na sile, zupełnie jakby usiłował pozbyć się wszelkich śladów, jakie pozostały w tamtym szczególnym miejscu w lesie, zmywając ślady buciorów i dotyk obcych dłoni. A może wcale nie to było jego celem – może niebo tak naprawdę płakało, rozpaczając za tym, kto legł głęboko między drzewami, zapomniany i okryty tajemnicą?

Albo płakało z powodu ofiar, które dopiero miały zostać znalezione?

* * *

Burza zmyła z Conetoe kurz, oczyściła powietrze, wypełniając je zapachem mokrej ziemi i liści. Zacinający deszcz rysował na szybie podłużne smugi, a siostry Marsden przyglądały się im, w milczeniu leżąc w swoich łózkach.

Nie mogły spać, ale też nie miały ochoty rozmawiać.

Ginger próbowała na tle szumu dosłyszeć kroki na strychu, ale nic nie dochodziło do jej uszu. Clementine patrzyła na szybę i wyobrażała sobie, że to na nią pada deszcz i spływa po skórze wstęgami. Elenor myślała o Mattiasie Marsdenie i rysowała sobie w głowie jego obraz.

A potem przyszedł ranek, a wraz z nim szeryf Brewer.

Rozdział 10

Jak każdego poranka Marsdenowie rozsiedli się przy stole w kuchni. Charlie przygotowywał dla wszystkich śniadanie, bo mężczyzna lubił gotować i robił to, kiedy tylko mógł. Być może powinien zostać zawodowym kucharzem, zamiast wciskać ludziom ubezpieczenia. Ale jak często powtarzał, z tej roboty dostawał wystarczająco dużo pieniędzy, aby w przyszłości odremontować dom – a pragnął tego ponad wszystko, nie licząc jednego, czego dostać nie mógł.

Przez uchylone okno wpadało ciepłe powietrze przesycone zapachem minionej burzy, krople deszczu spływały po liściach i rynnach, tworząc kałuże na spijającej wodę ziemi. Już za jakiś czas nie miał zostać nawet ślad po nawałnicy – jednak wisiała jeszcze w powietrzu, niczym żywe wspomnienie dotyku czyichś dłoni.

Do domu Marsdenów zmierzał pojazd szeryfa. Wjeżdżając na posesję, sedan zrobił głębokie bruzdy w ziemi, rozchlapując błoto na boki. Marsdenowie podnieśli głowy znad talerzy, patrząc na siebie z napięciem i zaskoczeniem; jedni się domyślali, o co chodzi, do drugich dopiero to docierało.

Lisa wstała, jeszcze zanim rozległo się pukanie. Choć z kuchennego okna nie mieli zbyt dobrego widoku na podjazd, słyszeli ryk silnika, kiedy samochód wjechał na podwórko, a potem trzaśnięcie drzwi.

W progu stał Roger Brewer, szczupły mężczyzna po czterdziestce, niezbyt przystojny, ale też wcale nie brzydki, z kanciastą twarzą i wąskimi ustami. Zaczął siwieć już za młodu. Sercem całkowicie wrósł w Conetoe.

– O co chodzi? – zapytała nieufnie Lisa.

Siostry Marsden wychyliły głowy z kuchni, jednocześnie starając zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Ich ojciec i wuj wyszli na korytarz.

Szeryf ściągnął z głowy kapelusz.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy moglibyśmy porozmawiać? Najlepiej w środku?

Lisa z wahaniem się odsunęła, wpuszczając mężczyznę do środka.

– Co się dzieje? – zapytała. – Czy moje bratanice...

– Nie, nie – przerwał jej pan Brewer.

Clementine się skrzywiła, bo wiedziała doskonale, że ciotka nie miała na myśli wszystkich swoich bratanic, ale właśnie ją. Szybko jednak o tym zapomniała, patrząc na napiętą twarz szeryfa.

– Pewnie słyszeliście, że w lesie... – odchrząknął i zamilkł, jakby próbował zebrać myśli.

Siostry wraz z ojcem wciąż sterczały w progu kuchni, Lisa stała niedaleko, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Mąż podszedł do niej i położył jej dłoń na plecach, pierwszy raz od bardzo dawna się nie uśmiechając. Jediną osobą, która zdawała się w tym nie uczestniczyć, pozostawała babunia, z przestrawieniem rozglądająca się po kuchni.

Szeryf ponownie odchrząknął i zaczął raz jeszcze.

– Pewnie słyszeliście, że w lesie znaleziono ciało. Na szczęście szybko zdołaliśmy odkryć tożsamość. – Nieprzerwanie miał kapelusz w dłoniach. – Głównie dzięki szczęściu, ale jednak.

Siostry wymieniły spojrzenia.

– Niech pan to wreszcie powie – popędziła go Elenor. Zacisnęła usta w wąską linię, a w jej oczach znowu zaczął czaić się smutek.

Bo w końcu chyba lepiej jest wiedzieć.

I właśnie dlatego szeryf wreszcie to z siebie wyrzucił:

– Zdaje się, że w końcu znaleźliśmy Mattiasa Marsdena.

Bo niektóre tajemnice chcą zostać odkryte, nawet jeśli były ukryte pod ziemią przez dwadzieścia lat.

KSIĘGA DRUGA

**TAMTO SZCZEGÓLNE
MIEJSCE W LESIE**

Rozdział 11

Rodzinę Marsdenów uważano za pechową. Dirk Brewer też tak czasem sądził, choć nigdy by się do tego nie przyznał – nawet przed samym sobą. Rzadko jednak o niej myślał, szczególnie że zwykle bywał naprawdę zajęty – miał mnóstwo obowiązków w szkole, czasem w domu, gdy musiał zajmować się młodszym rodzeństwem, a kiedy nic na nim nie ciążyło, spotykał się ze znajomymi.

Teraz natomiast nie potrafił wyrzucić Marsdenów z głowy.

Nie mógł tego pojąć. Dotknął dłonią piersi, gdzie jeszcze niedawno poczuł ten dziwny, osobliwy ucisk – nic podobnego mu się jeszcze dotąd nie przydarzyło. Może właśnie dlatego nie potrafił pozbierać myśli?

Wpatrywał się w telefon wiszący w kuchni, próbując podjąć decyzję. Podniósł powoli słuchawkę, gorączkowo myśląc, do kogo z paczki zadzwonić. W końcu wybrał Gię, bo dziewczyna była skrajnie bezkonfliktowa i przyjmowała wszystko, co jej się powiedziało – reszta obrzuciłaby go gradem pytań, na które nie potrafiłby odpowiedzieć, nawet gdyby chciał.

Odebrała jej mama.

– Och, witaj, Dirk! – zawołała pani Bryant, kiedy tylko się przedstawił. – Już ją wołam, poczekaj chwilę, dobrze?

– Jasne. – Dirk się uśmiechnął, choć kobieta nie mogła tego zobaczyć. Oparł się czołem o ścianę obok telefonu i przymknął oczy. Nie miał pojęcia, co robi.

– Halo?

– Cześć, Gia.

– Hej. Kurde, można by się spodziewać, że dzień po burzy będzie chłodniej, ale tu dalej jest strasznie gorąco, no nie?

– Chyba tak. Słuchaj, nie będę mógł się dzisiaj z wami spotkać. Przekażesz reszcie?

– Jasne. – W jej głosie nie było żadnego wahania. – To do zobaczenia kiedy indziej.

– Pewnie. To na razie.

Delikatnie odłożył słuchawkę na widełki, a ciężar na piersiach nieco zelżał. Napięcie go jednak nie opuszczało od czasu, gdy odwiedziły go siostry Marsden.

Jego mama siedziała w pracowni i malowała kolejny obraz, Dirk zajrzał do niej na chwilę, aby powiedzieć, że wychodzi. A potem ruszył w poszukiwaniu odpowiedzi.

I niezwykłości.

* * *

Skrzywił się, kiedy wszedł w pajęczynę, mimo to się nie zatrzymał. Chciał odwiedzić miejsce, w którym znaleziono ciało, lecz nie potrafił go znaleźć. Kompletnie nie znał tego lasu. Zrobiło mu się trochę głupio, w końcu całe życie spędził w jego sąsiedztwie; jasne, czasem bawił się w nim jako dziecko, ale nigdy nie zagłębiał się między drzewa – ojciec kategorycznie mu tego zabraniał. Bał się, że syn mógłby wpaść do jednego z bagien i się utopić.

Dlatego teraz chłopak uważnie patrzył pod nogi i ostrożnie stawiał stopy. Próbował jednocześnie zrozumieć, co robił tu ten człowiek – co skłoniło go do tego, żeby zajść tak daleko? Może się zgubił?

Coś poruszyło się w głębi poszycia, co sprawiło, że Dirk raptownie się zatrzymał. Wstrzymując oddech, rozejrzał się dookoła, a wtedy gdzieś między drzewami mignęło mu rozłożyste poroże,

szybko się więc uspokoił. To tylko jeleni. Jelenie nie robią ludziom krzywdy. Nie to co wilki.

Szybko zganił się w myślach. W tym lesie od bardzo dawna nie widziano wilków. Powinien więc przestać zachowywać się jak dziecko – przecież nic go tu nie ugryzie, szczególnie drzewa. To, że ktoś tu umarł, nie oznacza jeszcze, że i on...

Odetchnął głęboko, usiłując się uspokoić, i ruszył dalej.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie ma pojęcia, gdzie znaleziono ciało. Jasne, ojciec wspominał coś, że to tuż przy bagnach, ale mokradła były spore, a on nie znał terenu na tyle dobrze, aby błąkać się po okolicy.

Co on właściwie wyprawiał? Czy całkiem postradał rozum, aby bez zastanowienia ruszyć przed siebie, w miejsce, przed którym wszyscy go ostrzegali? Poza tym co miał zamiar zrobić, gdyby już tam dotarł?

Pokręcił głową, zrezygnowany. Chyba lepiej zakończyć to szaleństwo, kiedy jeszcze nikt o nim nie wie. Później będzie się z tego śmiał – tak, będzie się śmiał z tego, do jakiego amoku jest w stanie doprowadzić go łaknące niezwykłości serce. A przecież w całej tej sytuacji wcale nie ma nawet grama niebywałości – ludzie umierali codziennie. Po prostu na ogół nie w takich okolicznościach, tak blisko jego domu.

Ze spuszczoną głową ruszył z powrotem, zawstydzony i pokonany. Dobrze, że nikogo tu nie było. Podniósł na chwilę głowę, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie widzi. Patrzyła na niego jednak tylko sarna stojąca daleko w oddali; postawiła na sztorc uszy, czujna i wygięta w łuk.

Dirk zatrzymał się zaskoczony. Przez chwilę zwyczajnie na nią patrzył, urzeczony. Kojarzyła mu się z... Kiedyś widział, jak na zajęciach sportowych Clementine Marsden biegnie. Wyglądała,

jakby płynęła w powietrzu, włosy rozwiały jej się na wietrze, a ciało wydawało się jeszcze smuklejsze, stworzone do pędu. To samo pomyślał o tej sarnie, kiedy ruszyła spłoszona. Nagle przypomniał sobie o jeleniu widzianym chwilę wcześniej. Nie powinien gdzieś się tu kręcić? Zaczął się niepokoić, choć nie miał pojęcia dlaczego – drzewa zdawały się naciskać na niego ze wszystkich stron, zapanowała dziwna, napierająca na uszy cisza, tylko drzewa nieprzerwanie szumiały. To wszystko wydawało się takie oderwane od rzeczywistości. Przez moment chłopak miał wrażenie, że to może tylko sen i za chwilę się obudzi.

Ruszył przed siebie biegiem. Przestał patrzeć pod nogi, zapomniał o ostrożności. Teraz chciał już tylko wrócić do domu. Drzewa szaleńczo szumiały, wyginały się od napierającego na nie wiatru. Dirk się potykał, wszystko zamazywało mu się przed oczyma, obezwładniał go jakiś niewytłumaczalny strach. Zahaczył o coś nogą i upadł. Zarył palcami w ziemię, poczuł, jak wilgoć wdziera mu się do butów. Krzyknął i szybko podkulił nogi, widząc, że woda jest już wszędzie; mętna tafla otaczała go z obu stron, ciemnogrnatowa, przykryta cieniem starych olszyn. Oddech powodował kłucie w płucach, serce obijało mu się o żebra. Zobaczył przy swojej dłoni drobne białe kwiatki w kształcie rozgwiazdy.

– Co to miało być?! – zapytał sam siebie.

Ścieżka była wąska i znikąca pod turzycą, w dodatku wydawała się pod palcami wilgotna, jakby ledwie wyłaniała się znad tafli wody. Pewnie łatwo było o poślizgnięcie się i skąpanie w zbiorniku.

Dirk odetchnął głęboko i oparł łokcie na kolanach, chowając twarz w dłoniach. Wciąż czuł serce szaleńczo bijące w piersiach. Już się nie dziwił, że tata ostrzegał go przed mokradłami.

Kolejny trzask. Chłopak poderwał głowę i obejrzał się; przez chwilę wydawało mu się...

– A ty co tu robisz?

Rozdział 12

Eric Marsden nie chciał tego słuchać.

Pan Brewer tłumaczył im właśnie, że wujka Mattiasa przewieziono do kostnicy w sąsiednim mieście, aby koroner mógł zbadać przyczynę śmierci. Kiedy Elenor zapytała, czy wznowią śledztwo, Eric wyszedł tylnymi drzwiami, a Clementine podążyła za nim.

– Tato?

Mężczyzna stał na środku podwórka, wpatrzony w las, więc dziewczyna widziała jedynie jego szerokie plecy. Poczła gulę w gardle.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Ramiona jej ojca zeszywniały.

– A czy może być wszystko w porządku?

Clementine nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić. Podeszła więc do niego i po prostu go objęła. Niestety, nie poczuła, aby choć odrobinę się rozluźnił.

– Chyba lepiej jest wiedzieć, prawda? – zapytała niepewnie, wtulona w jego koszulę, jak zawsze pachnącą drewnem i odrobiną piżma. – Elenor tak mówiła – dodała.

– I miała rację. Lepiej jest wiedzieć. – Głos mężczyzny był dziwnie matowy, pozbawiony wszelkich emocji, co sprawiło, że Clementine poczuła nieprzyjemne ciarki przebiegające jej po plecach. Chciała tak mocno ścisnąć ojca, aby w końcu wydusił z siebie, że wszystko będzie dobrze. Nie mogła jednak tego zrobić. On nawet nie odwzajemniał uścisku – jego dłonie zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia.

– Wiesz co? – zapytał, a Clementine oderwała się od niego, aby móc spojrzeć mu w twarz. Miała dziwny kolor i wydawała się równie bez wyrazu jak jego głos.

Dziewczyna chciała mu powiedzieć, że ją przeraża, nie odezwała się jednak słowem.

– Czasem mi go przypominasz – powiedział wreszcie, wciąż patrząc na las, zupełnie jakby jego brat zaraz miał się z niego wyłonić, cały i zdrowy. – Chociaż nie jesteś dokładnie taka jak on... Brakowało mu twojej zadziorności – parsknął smutnym uśmiechem. – Ale czasem jak gdzieś pędzisz albo czegoś wypatrujesz... On też cały czas czegoś szukał.

Clementine miała zamiar zaprzeczyć, powiedzieć, że wcale niczego nie szuka, lecz ojciec mówił dalej:

– On miał taki sam stosunek do tego miejsca jak ty. Widzę czasem, jak bardzo Elenor chce się stąd wyrwać. I jak swego czasu Lisa chciała tego samego. Ale gdy myślę o tobie, nie ma dla ciebie lepszego miejsca niż tamta czereśnia.

Dziewczyna czuła, jak z każdym słowem ojca coraz bardziej sztywnieje. Gdy o sobie myślała, również nie potrafiła wyobrazić dla siebie lepszego miejsca niż tamto drzewo. Albo las. I właśnie to stanowiło problem.

– Mattias też taki był – ciągnął tata. – Czasem go nie rozumiałem. Przy ludziach wyglądał na spiętego, ale gdy zostawaliśmy sami, stawał się rozmarzony, tak jak ty na tej czereśni.

Nieoczekiwanie wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po głowie – często tak robił, to był jeden z jego najczęstszych sposobów wyrażania czułości, mimo to zaskoczył ją tym. Wciąż się nie odzywała, nawet gdy po prostu odszedł, okrążając dom, wpatrzony w swoje stopy. Nie miała pojęcia, dokąd idzie.

Dziwna gula w gardle nie znikwała. Clementine czuła, że miało się wydarzyć coś złego.

* * *

Pan Brewer skłonił się i wyszedł akurat w chwili, kiedy Eric wyjeżdżał z podjazdu, omijając radiowóz łukiem po trawie. Nikt nie skomentował tego nawet słowem.

– Przynajmniej wznowią śledztwo – stwierdził Charlie po chwili, kiedy milczenie zaczęło się przeciągać.

– I co znajdą? – mruknęła Lisa. – Po tylu latach?

Nagle rozległ się krzyk. Babunia wpadła w panikę, wyczuwając pewnie napięcie wśród pozostałych członków rodziny. Coś roztrzaskało się z hukiem, drobinki porcelany rozsypały się po całej kuchni. Elenor poczuła, jak cała sztywnieje. Odsunęła się, przepuszczając ciotkę. Babunia wciąż krzyczała, słowa mieszały się ze sobą – być może dźwięki wydobywające się z gardła staruszki nigdy nie były słowami.

– Lepiej zostawmy je same – powiedział Charlie, chwytając bratanicę lekko za ramiona.

Wyszli na tył domu. Po Clementine nie było już śladu, nawet na czereśni nie majaczyła jej sylwetka. Elenor ledwie to zauważyła.

– Jak się czujecie? – zapytał Charlie, obejmując je ramionami.

– Bywało lepiej – mruknęła Elenor, wyswabadzając się z jego uścisku; Ginger tylko mocniej wtuliła się w wuja.

Charlie wyglądał, jakby chciał je jakoś pocieszyć, ale nie bardzo wiedział jak – Elenor była wdzięczna już za to, uśmiechnęła się więc do niego i niezręcznie poklepała po plecach.

– Dzięki. Na pewno wszystko się jakoś ułoży.

– Naprawdę uważam, że wznowienie śledztwa to dobra wiadomość – stwierdził. Spojrzał na dom i zamyślił się. – Jestem

pewien, że coś znajdą.

Elenor wzruszyła ramionami.

– Miejmy taką nadzieję.

* * *

Jak zwykle Clementine biegła truchtem, przemieszczając się zwinnie między drzewami. Wciąż czuła, jak serce szaleje jej w piersiach, przed oczami miała dziwnie beznamiętną, niczym wypraną z emocji twarz ojca. Nie podobało jej się to ani też słowa, które przed chwilą do niej powiedział.

Nie miał racji, nie miał racji, nie miał racji...

Drzewa nieprzerwanie szeptały, w powietrzu coś wisiało – nie burza, lecz coś innego, prastarego, coś, co obserwowało ją spomiędzy drzew. Clementine nie zatrzymywała się, choć czuła, jak włosy na karku stają jej dęba. Pędziła, otoczona znajomymi zapachami, dużymi susami przeskakując nad nierównościami w ziemi.

Jej ciotka zrugałaby ją, gdyby teraz mogła zobaczyć swoją bratanicę – w tym lesie wystarczył jeden nieostrożny krok, aby zdarzył się wypadek, Clementine знаła jednak głuszę lepiej niż samą siebie; wystarczyło pojedyncze spojrzenie, aby wiedzieć, gdzie się znajduje. W tym miejscu nic jej nie groziło.

Znowu przypomniała sobie słowa ojca. Jeśli rzeczywiście była tak podobna do Mattiasa, jak twierdził ojciec, to czy jej wuj – którego nigdy nie miała okazji poznać – czuł się w tym miejscu równie pewnie? Czy właśnie to nie doprowadziło do jego śmierci? Może tak jak ona biegł, nie patrząc pod nogi, i nieoczekiwanie wpadł na coś, czego się nie spodziewał?

Zwolniła, a jej serce wybijało szaleńczy rytm. To na pewno nie było tak.

Nagle nawiedziła ją dziwna myśl, że Mattias nie umarł, bo wpadł do bagna ani nie przewrócił się i nie uderzył głową o jakiś wystający kamień lub korzeń.

Clementine poczuła przeszywającą pewność, że ktoś doprowadził do jego śmierci.

Rozdział 13

Clementine poruszała się teraz wolnym truchtem, próbując zapanować nad oddechem. Zdała sobie sprawę z tego, że drzewa nie dają już jej takiej ochrony jak niegdyś – a przynajmniej takie odnosiła wrażenie.

Nagle dostrzegła coś w oddali, dzięki czemu na chwilę zapomniała o depresyjnych myślach. Przystanęła, mrużąc oczy. Dostrzegła koszulę w kratę i falujące złote włosy; momentalnie się naburmuszyła, zupełnie jakby Dirk był kolejnym elementem należącym do świata żółtych taśm i policyjnych kurtek.

Podeszła do niego, zaciskając dłonie w pięści.

– A ty co tu robisz?

Chłopak patrzył na nią z szeroko otwartymi czarnymi oczyma – kulił się na ścieżce między bagnistymi jeziorami i miał przemoczone tenisówki; musiał wpaść do jednego z nich. Wydawał się przestraszony.

– Ja... chyba się zgubiłem.

Clementine parsknęła i rozejrzała się dookoła – otaczały ich stare olszyny i białe kwiaty. Panował tu lekki półmrok, bo słońce miało problem z przedostaniem się przez gałęzie, powietrze przybrało mętny seledynowy kolor.

– Więc co... – Zmarszczyła brwi. – Mam cię odprowadzić?

Dirk wstał i otrzepał ubranie, próbując doprowadzić się do porządku, ciemne mokre plamy zostały jednak na jego džinsach.

– Nie trzeba, poradzę sobie.

– Czy nie mówiłeś przed chwilą, że się zgubiłeś?

Rozejrzał się po okolicy z wahaniem.

– Co tu właściwie robisz? – zapytała Clementine, krzyżując ramiona na piersiach. – Tak naprawdę, bo wiesz... Żeby zgubić się w lesie, najpierw trzeba do niego wejść.

Twarz Dirka lekko poczerwieniała.

– Chciałem przyjść w miejsce, w którym znaleziono ciało – powiedział, nie patrząc na nią.

– Po co? – zapytała zaskoczona Clementine.

– Nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami, coraz bardziej się rumieniąc; czerwone zrobiły się nawet jego uszy. – Chyba po prostu chciałem się czegoś dowiedzieć.

Clementine parsknęła. Ominęła go i ruszyła ścieżką, nie oglądając się za siebie.

– Już nic tam nie znajdziesz – stwierdziła. – I jakbyś jeszcze nie wiedział, to był Mattias Marsden.

Stopy lekko zapadały jej się w ziemi, gdzieś w pobliżu rozległ się żabi rechot. Cała okolica wydawała się jednak wymarła.

Dirk dogonił ją, głośno plaskając butami.

– Wasz wujek? Ten, który... zaginął?

– Ten sam – mruknęła Clementine, oglądając się przez ramię.

Na twarzy chłopaka widziała zmieszanie, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Bardzo mi przykro – wydukał wreszcie, znowu spuszczać wzrok.

– Chyba już za późno na kondolencje. Mattias nie żyje od dwudziestu lat.

– Wcześniejsze chyba nie byłyby na miejscu – zauważył nieśmiało.

Nieoczekiwanie Clementine się roześmiała.

– Cóż, nawet gdybyś chciał, miałbyś z tym problem. No bo wiesz, jeszcze się wtedy nie urodziłeś. – Wciąż śmiejąc się pod nosem,

rozłożyła ramiona i przeszła po największym odcinku ścieżki, starając się nie rozdeptać białych kwiatuszków fiołka.

– Tak, zabawne – przyznał Dirk, choć w jego głosie nie słychać było rozbawienia. – Clementine, proszę, poczekaj na mnie.

Dziewczyna zwolniła nieco. Mimo wszystko nie chciała go tu zostawiać, bo gdyby coś mu się stało, miałaby go na sumieniu. Machnęła zachęcająco ręką.

– Chodź.

– Nie boisz się? – zapytał. – Te bagna wyglądają naprawdę niebezpiecznie.

Clementine wzruszyła ramionami.

– Nie, jeśli jesteś ostrożny. Po prostu trzeba wiedzieć, jak się zachowywać. – Uśmiechnęła się do siebie. – Pamiętaj, nie idź za ognikami.

– Zapamiętam. Hej, Clementine?

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Możesz mi mówić po prostu Clem.

– Jasne. Myślisz, że Mattias szedł za ognikami?

Zatrzymała się, przez co chłopak na nią wpadł. Zachwiał się, przytrzymała go więc, aby nie wpadł do wody.

– Tylko żartowałam z tymi ognikami. – Cofnęła się o krok, zdając sobie sprawę z tego, że stoi zbyt blisko niego. – Poza tym jestem pewna, że Mattias był zbyt mądry, żeby biegać za światłami.

– Jasne. – Dirk przecesał palcami złote fale, zgarniając je z czoła. Wyglądał dziwnie w otoczeniu starych olszyn i granatowych jezior. Zupełnie jakby do rąbania drwa założył garnitur. – Ale coś musiał tu robić, prawda?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Pewnie to samo co my zazwyczaj. Wiesz, że... – Zamilkła raptownie. – Leżał na naszej trasie. Ciekawe, czy szedł w to samo

miejsce.

Dirk uważnie jej się przyjrzał i zmarszczył brwi.

– Kompletnie nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Clementine złapała go za przód koszuli.

– Mamy takie miejsce... – zaczęła i umilkła zamyślona. Po chwili uderzyła chłopaka z całej siły w ramię.

Dirk skrzywił się, zaskoczony otworzył usta.

– Za co to?

– Obiecuj, że nikomu o tym nie powiesz.

– Co? Tak, obiecuję. Kurde, nie musiałaś mnie bić – rzekł z pretensją w głosie, rozmasowując obolałe miejsce.

– Dzięki temu zapamiętasz. – Chwycała go mocniej i pociągnęła za sobą. – Więc mamy takie miejsce, ja i moje siostry. To opuszczony dom za lasem. – Ze świstem wypuściła powietrze przez nos. – Jak ona się nazywała? Garcia? Kobieta, do której kiedyś należał?

– Lorelei Garcia – odpowiedział Dirk. – Słyszałem o niej. Podobno była szalona.

Clementine pokiwała głową.

– A co, jeśli Mattias szedł właśnie tam? – zapytała.

– Wtedy chyba dom nie był jeszcze opuszczony.

– Dokładnie. – Dziewczyna czuła dziwne podekscytowanie, jakby była bliska rozwiązania zagadki. To musiało się jakoś łączyć: ścieżka sióstr, Mattias i stary dom.

– Myślisz, że Mattias mógł iść do tej kobiety? – dopytywał Dirk, posłusznie podążając za nią.

– A ty nie?

Chłopak objął dłonią pięść Clementine, którą ona wciąż zaciskała na przodzie jego koszuli.

– To chyba mało prawdopodobne. Sam nie wiem.

Spojrzała na niego przez ramię.

– Możemy zapytać – stwierdziła.

– Kogo? Ta kobieta już chyba nie żyje.

Clementine zagryzła wargę, ale nie zatrzymywała się i Dirk w końcu puścił jej rękę.

– Miałam raczej na myśli mojego tatę – powiedziała przyciszonym głosem.

– W porządku. To chodźmy do niego – rzekł chłopak pewnym głosem.

Dziewczyna przypominała sobie jednak, w jakim stanie był dzisiaj Eric Marsden, jego beznamiętną twarz i dziwne słowa. Zdała sobie sprawę z tego, że nie ma ochoty na rozmowę z nim – a przynajmniej nie dzisiaj. Poczowała ukłucie żalu w sercu, wrócił niepokój. Nie zamierzała się jednak do tego przyznawać, a do tego pojawił się inny problem.

– Nie jestem pewna, gdzie on teraz jest.

Dirk nie odpowiedział.

– Ale zrobię to, kiedy wróci do domu – dodała, jakby próbowała się usprawiedliwić. Wpadła w złość na siebie. W końcu wcale nie musiała niczego wyjaśniać, szczególnie Dirkowski, który urwał się wprost ze świata urzędów i wyprasowanych koszul.

Bynajmniej nie musiał wiedzieć o tym, co działo się w jej rodzinie.

Rozdział 14

Drobinki kurzu wirowały w świetlistych smugach światła wpadających przez nieduże wąskie okna. Elenor przyglądała się ich tańcowi, skulona na jednym z foteli wniesionych na strych tak dawno temu, że pewnie nikt już o nich nie pamiętał – miały ciemnozieloną tapicerkę z wielkimi szarzielonymi plamami tworzącymi kwiaty. Dziewczyna lubiła je, bo wygodnie się w nich siedziało, znacznie lepiej niż w tych stojących w salonie.

Cały strych stanowił graciarnię, do której od lat trafiały wszystkie niechciane przedmioty. Możliwe, że właśnie dlatego Elenor tak lubiła to miejsce – sama czuła się czasem jak jedna z tych rzeczy, podczas gdy Conetoe było jak strych świata.

Teraz przyglądała się wszystkiemu, co znajdowało się w pomieszczeniu: starej szafie, komodzie, drewnianej drabinie, zbyt niestabilnej, aby z niej korzystać, obracanemu fotelowi, wieszakowi krawieckiemu, wiekowemu stolikowi z maszyną do szycia... Stało tu znacznie więcej gratów, poupychanych po kątach, aby zajmowały jak najmniej przestrzeni, wszystko otulone kurzem i pajęczynami.

To był mały wszechświat Elenor. Pomagał jej, gdy musiała być w ciszy, gdy smutek stawał się tak wielki, że potrzebowała chwili, aby znowu go zdusić. Bo właśnie tym była – niedużą istotą w dużym świecie, bojącą się, że w końcu dosięgnie ją pech.

Tak jak to się stało z Mattiasem Marsdenem.

Przymknęła na moment oczy i wtedy usłyszała kroki na drabince prowadzącej na strych. Rozwarła powieki, aby sprawdzić, kto przyszedł i zamierzał jej przeszkadzać. Nie poruszyła się jednak ani odrobinę, skulona w fotelu.

– Cześć – przywitała się Ginger. Przechodząc przez otwór w podłodze, podparła się dłońmi, aby nie stracić równowagi na drewnianych szczeblach. Jej włosy zdobiły liście akacji.

– Hej. Czegoś potrzebujesz? – zapytała Elenor.

Młodsza siostra uśmiechnęła się przepaszająco, ledwie zauważalnie wzruszając ramionami.

– Przyszłam tylko pooglądać zdjęcia.

Elenor usiadła prosto w fotelu, przyglądając się dziewczynie.

– Zdjęcia?

Ginger podeszła bliżej, rozglądając się po pomieszczeniu. Jeśli najstarsza siostra idealnie pasowała do wszystkich znajdujących się tu rzeczy, to najmłodsza odcinała się od ścian, jakby wycięto ją z zupełnie innego rysunku, a potem na siłę wklejono do tego.

– Chyba gdzieś tu powinny być. – Dziewczyna podeszła do komody i z cichym zgrzytem otworzyła drzwiczki. – Stare zdjęcia taty z dzieciństwa. I wujka.

– To nie tu. – Elenor wstała i zbliżyła się do szafy, w której ułożono tekturowe pudła po butach, ustawione jedne na drugich. Zaczęła je wyciągać i kłaść na podłodze, Ginger tymczasem otwierała i przeglądała.

Część z nich wypełniały stare czasopisma, listy i nieważne dokumenty, szybko jednak dziewczęta znalazły to, czego szukały. W trzech pudłach znajdowały się zdjęcia, siostry od razu odrzuciły te, na których były one same – kolorowe fotografie przedstawiające małe dziewczynki o ciemnych włosach i ciemnych oczach oraz ich matkę stojącą zawsze nieco z boku; kobietę, która już za jakiś czas miała zniknąć. Elenor trochę zbyt gwałtownie wrzuciła zdjęcia na dno pudła, aby zaraz sięgnąć po kolejną paczkę.

W końcu natrafiły na te fotografie, których szukały. Elenor chwyciła jedną z nich i przysunęła bliżej oczu – na czarno-białym

zdjęciu widać było dom Marsdenów. Dziewczyny trochę dziwnie się czuły, patrząc na niego, budynek zdawał się im bowiem zarówno obcy, jak i znajomy. Nie porastał go bluszcz, ściany wyglądały nienaturalnie nago, a na podwórku zamiast gęstej trawy ujrzały ubitą ziemię. Na samym jego środku, w centrum fotografii, stała drewniana przyczepa do wożenia drewna. Siostry pochyliły się jednocześnie, zupełnie jak na rozkaz – nie patrzyły jednak na przyczepę, lecz na siedzących na niej chłopców.

Byli identyczni. Musieli mieć jakieś trzynaście, może czternaście lat, jeden się uśmiechał, a drugi nie – ani Ginger, ani Elenor nie wiedziały, który jest który. Wyglądali dziko, jak dzieci drzew i kamieni, z rozczochranymi włosami i brudnymi buziami. Wydawali się tacy spokojni. Elenor nie potrafiła pozbyć się myśli, że kilka lat później ci sami chłopcy się zagubili – jeden w lesie za domem, drugi we własnym ciele. Coś ścisnęło ją za gardło.

Ginger sięgnęła po kolejne zdjęcia ukazujące chłopców w różnym wieku – gdzieś tam pojawiała się również mała Lisa, roześmiana dziewczynka o puciołowatych policzkach. Na jednym z rozmazanych ujęć próbowała zrobić gwiazdę.

Elenor również sięgnęła po jedną fotografię i uniosła w górę. Ze zdjęcia patrzyła na nią Estella Marsden, znacznie młodsza, bez tego bezmyślnego, uległego wyrazu twarzy i białych włosów otaczających policzki. Obok stał jej mąż. Elenor niezbyt wiele o nim wiedziała, tylko tyle że był spokojnym, niemal apatycznym mężczyzną, który zmarł niedługo po narodzinach Lisy.

– Tak dziwnie się na nie patrzy, prawda? – zapytała Ginger.

Elenor zgodziła się z nią. Z ludźmi było tak samo jak z domem – wydawali się jednocześnie znajomi i niemal obcy. Szczególnie jeśli chodzi o babunię oraz Erica Marsdena.

– Ciekawe, jacy wtedy byli – zastanowiła się Elenor.

Jej młodsza siostra podała jej następne zdjęcie.

– Na przykład tata.

– Albo wujek.

Starsza dziewczyna wrzuciła resztę zdjęć do pudełka. Koszulka lepiła jej się do pleców, powietrze robiło się coraz bardziej parne i gorące, przez co trudno było tu oddychać. Nawet liście we włosach Ginger niemal już całkiem oklapły.

– Tak w ogóle to gdzie jest Clem? – zapytała pierwsza z sióstr, wkładając kartony z powrotem do szafy.

– Nie mam pojęcia. – Ginger wzruszyła ramionami. – Pewnie wałęsa się po okolicy.

Elenor pokręciła głową.

– Nie powinna się oddalać. To, co się...

– A dziwisz się? – przerwała jej młodsza dziewczyna. Podciągnęła kolana do piersi i oparła na nich brodę. – Babcia jest prawie nieprzytomna z powodu leków, tata zniknął, a ciocia siedzi na dole i płacze.

Elenor poczuła, jak ciężar w piersiach coraz mocniej napiera na jej wnętrzności.

– Płacze?

Ginger potwierdziła, powoli kiwając głową. Nie patrzyła na starszą siostrę.

– Chyba powinniśmy do niej zejść... – zaczęła niepewnie Elenor, ale młodsza jej przerwała, wypowiadając słowa w stronę swoich kolan:

– Charlie z nią jest.

Starsza z dziewcząt westchnęła ciężko, próbując pozbyć się ciężaru z piersi. Po chwili położyła się na wznak na podłodze i wlepiła spojrzenie w drewniane krokwie.

– Dzisiejszy dzień jest paskudny – stwierdziła bardziej do siebie niż do siostry.

Ginger położyła się obok, a kwiecista spódnica rozlała się kolorową plamą wokół jej ud. Wyglądała na jeszcze bardziej drobniutką, jakby była tylko porcelanową lalką wyrzuconą na strych na pastwę kurzu.

Elenor nie podobała się ta myśl.

Podobnie zresztą jak następna – że taki pech mógłby dosięgnąć i jej siostry. W końcu nieraz chadzały dokładnie tą samą trasą, na której umarł Mattias Marsden.

Co by zrobiła, gdyby to się stało? Załamała się i zagubiła w żałobie, tak jak jej ojciec?

Poczuła gulę w gardle, a pod powiekami zapiekły ją łzy. Zaciśnęła zęby na wardze, aby się nie rozpłakać, ale musiała najwyraźniej wydać z siebie jakiś dźwięk, bo Ginger bez słowa odnalazła palcami jej dłoń i lekko ścisnęła.

A potem cichutko zanuciła:

*Leżę cicho na dnie jeziora,
Pozwalam, aby dookoła przemijał świat;
I już niemal zapominam, jak brzmiały słowa,
Dźwięki, melodie.*

*Nie mogę przypomnieć sobie, od ilu lat skrywają mnie głębiny.
I czy jest tam w górze ktokolwiek, choć jedna osoba,
Która wciąż mnie jeszcze wspomina.*

*Ale to nieważne, bo światło przelewa się nad moją głową,
A ja czasem,
Często,
Bez ustanku zapominam nie tylko o słowach,*

Ale i o żalu, co skradł mi chyłkiem serce.

*Właściwie nie wiem nawet, czy wciąż chcę wracać,
Czy jest do czego, czy jest ktoś, ktokolwiek, kto jeszcze czeka.
Więc trwam sobie w ciszy, bo boję się odezwać,
Ale czasem to nieważne, bo i tak zapominam o słowach,
Gdy patrzę, jak światło przelewa się nad moją głową,
Tak powoli, tak leniwie,
Są jak myśli, choć nadal nie wiem, czy są moje...*

Elenor mocniej objęła palcami dłoń siostry, kiedy jej głos stał się tak cichy, że aż niemal niedosłyszalny.

Rozdział 15

Clementine i Dirk trafili w końcu na wąską polanę porośniętą dzikim kwieciem sięgającym niemal pasa – niebieskie kwiaty koziełka walczyły z fioletowymi storczykami oraz różowymi pomocnikami baldaszkowymi, przypominającymi nieco dzwonki, z płatkami skierowanymi ku dołowi. Gdyby była z nimi Ginger, jej głowę najpewniej już zdobiłyby ich kolory. Clementine jednak tylko dotknęła ich delikatnie opuszkami palców, wdychając w płuca duszny, słodkawy zapach. Być może powiedzenie, że siostry Marsden zrodziły drzewa i kamienie, nie było do końca prawdą, bo dziewczyna czuła się również dzieckiem tego miejsca. Tak barwnego, że wręcz nierzeczywistego.

Kwiecisty pas oddzielał od siebie dwa lasy, jeden mniejszy od drugiego. Nastolatki wyszły właśnie z zagajnika pełnego topoli, jesionów i wiązów, przed sobą miały natomiast wysokie dęby rosnące wprost ku niebu. Clementine wiedziała, że drzewa, podobnie jak ziemia, na której się wznosiły, należały niegdyś do Lorelei Garcii, ale pod jej nieobecność stały się tak dzikie i nieokiełznane jak te sąsiadujące z nimi za błoniami.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedziała dziewczyna, bez wahania wkraczając w cień i niemal bezszelestnie stawiając stopy.

Dirk podążył za nią, co chwilę patrząc pod nogi, aby nie potknąć się o gęste runo leśne. Clementine czuła na skórze jego ciekawość, przez co sama zaczęła coraz bardziej fascynować się jego osobą, miała bowiem wrażenie, że za jego czarnymi oczyma kryje się coś więcej, czego dotąd nie zauważyła.

Co to jest, Dirku Brewerze?

Zerknęła w jego stronę, ale szybko odwróciła wzrok. Dotknęła szorstkiej kory dębu, żałując, że nie potrafi mówić ich językiem; drzewa znały odpowiedź na tak wiele pytań, a ona nie mogła ich nawet zadać.

Wreszcie dotarli na miejsce.

Dom zbudowano z czerwonej cegły. Z każdej strony obrastała go dzika akacja, przykrywając cynober zielenią. Cały budynek zdawał się ukrywać – nie tylko za krzakami, ale również za szerokimi koronami jabłoni i grusz, dumnie rozkładającymi ramiona. Właśnie to między innymi urzekło w nim siostry Marsden – bo był stary i porośnięty, z mchem i kępami szarozielonej trawy wyrastającymi z dachówek, otoczony przez zapuszczony ogród, którym Ginger próbowała się nieśmiało zająć.

– Witamy w naszym spokojnym zakątku – powiedziała Clementine z niemal nabożną czcią. – Tutaj dzieją się wszystkie magiczne rzeczy.

– Magiczne? – zapytał cicho Dirk.

Dziewczyna parsknęła, ale bez złośliwości.

– Chodź, rozejrzemy się w środku.

Ruszyła ścieżką wydeptaną przez nią oraz jej siostry, a także przez sarny wędrujące po okolicy, gdy nikt nie patrzy. Choć niegdyś z pewnością aleja prowadziła od domu do miasteczka, teraz nie było po niej śladu. Domostwo zostało niemal całkiem zapomniane – a może to, że Lorelei Garcję uważano za szaloną, skutecznie powstrzymywało mieszkańców Conetoe przed kręceniem się w pobliżu.

Dirk z oczarowaniem rozglądał się dookoła i Clementine doskonale rozumiała dlaczego. Dom oraz otaczający go sad były opuszczone, zrujnowane. Jednocześnie Clem nie opuszczała myśl, że ściany albo zamieszkujące je duchy bezustannie ją obserwują.

Są takie miejsca, które mają duszę. Jak na tak małą miścinę Conetoe miało takich miejsc kilka. To było jedno z nich.

– No chodź – powiedziała z uśmiejchem. Ruszyła w stronę drzwi, przeciskając się między gałęziami czarnego bzu i osłaniając dłońmi oczy.

Dirk szedł krok za nią, przytrzymując gałęzie, aby nie biły ich po twarzy. Dziewczyna pchnęła wrota, przez przypadek odrywając kolejne płaty poszarzałej farby, po czym wkroczyła do środka.

W powietrzu wisiał ciężki zapach kurzu oraz starości i nawet po tylu latach czuć było woń sędziwego człowieka. Nastolatki znalazły się w niewielkim holu, w którym ze ścian odklejała się tapeta, zwijając brzegi w pomięty rulon. Jako że słońce nie dochodziło tu tak jak w pozostałych częściach domu, łatwo było odgadnąć, jaki kolor miał papier: jasny, radosny błękit, ze wzorami typowymi dla lat pięćdziesiątych. Clementine poczuła, jak pył drażni jej nozdrza.

– I co teraz? – zapytał chłopak, nieśmiało przestępując przez próg i zaglądając do kolejnych pomieszczeń.

Zatrzymał się w drzwiach prowadzących do salonu i Clementine od razu się domyśliła, na co patrzy.

Pokój był niewielki, stały w nim tylko drewniana meblościanka z pustymi, szklanymi gablotami oraz wiekowa kanapa o zielonej tapicerce, z kanciastym oparciem i podłokietnikami. Nic szczególnego. Ściany pokrywała brzydka bura tapeta, a pod sufitem wisiał żyrandol z trzema szklanymi abażurami, z których już dawno wykręcono żarówki.

Nie na to jednak patrzył Dirk, lecz na malunek wykonany prawdopodobnie węglem, przykrywający paskudny wzór na wypłowiałej tapecie.

Przedstawiał stwora. Dużą, barczystą istotę z jelenią czaszką zamiast głowy, której poroże porastał bluszcz chwytający się jej rogów niczym za pień drzewa. Stwór wcale jednak nie wyglądał złowrogo, nawet z pustymi otworami zamiast oczu i wyraźnie widocznymi trzonowcami, lecz dziwnie i nierzeczywiście, jakby był tylko element pełnego nieścisłości snu. Clementine nigdy się go nie bała, nawet w dzieciństwie – powiedziałaaby raczej, że ją fascynował. Zawsze chciała się dowiedzieć, skąd się tu wziął.

– Jest go jeszcze więcej – powiedziała, stając za Dirkiem. – W pozostałych pokojach.

– Naprawdę? – Chłopak zerknął na nią, unosząc ze zdziwieniem brwi. – Wiesz, kto go namalował?

Dziewczyna wzruszyła tylko ramionami.

– Garcia? Może właśnie dlatego mówiono o niej, że jest szalona. Może to wcale nie były tylko plotki.

Dirk ruszył obejrzeć kolejne malunki, a Clementine podążyła za nim, aby patrzeć na jego zadziwioną minę.

Rysunki znajdowały się niemal wszędzie. Na ścianach kuchni, w której zostały już tylko stół, kilka krzeseł i rozsypujący się kamienny piec; w sypialni, choć trudno było ją już tak określać, skoro niczego tu nie było prócz pustej komody pełnej półek, nadgniętego materaca leżącego na podłodze oraz starych drzwi luzem opartych o framugę. Wszystko, co cenne, dawno zostało zabrane, prawdopodobnie przez ostatnich żywych krewnych kobiety – zostały się tylko nikomu niepotrzebne graty oraz te malunki.

A były one piękne, nawet te wykonane szybką ręką. I wszystkie przedstawiały dokładnie tę samą istotę – o jeleniej głowie i porośniętym gęstym listowiem porożu. Czasem przedstawiono ją z półprofilu, a czasem z frontu. Bez względu jednak na to, w którą

stronę się wykręcała, bestia wciąż obserwowała wszystkich w domostwie.

– Naprawdę były tu od początku? – zapytał Dirk, stojąc na środku salonu, jakby bał się zbliżyć do ścian.

– Jeśli „od początku” znaczy „od kiedy my zaczęliśmy tu przychodzić”, to tak. Znaczący były tu już, kiedy znalazłyśmy to miejsce. – Clementine zakręciła się wokół własnej osi, przyglądając się wszystkim malunkom. Wciąż wyglądały na bardzo dobrze zachowane, może dlatego, że przez zakurzone i zarośnięte bluszczem okna dostawało się niewiele słońca. Odnosili wrażenie, że powietrze w domu ma mętny, lekko zielonkawy odcień, jakby znaleźli się w szklanej butelce po oranżadzie.

– Ile miałyście wtedy lat? – zapytał młody Brewer.

– Kiedy przyszłyśmy tu po raz pierwszy? – Dziewczyna zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć. – Ja mogłam mieć z... dziewięć? Dziesięć? Nie jestem pewna.

Dirk uniósł brwi, przyglądając się jej uważnie.

– I wasz tata wam na to pozwolił?!

– Na co? Na szwendanie się po okolicy?

– Chociażby! – Dirk przeczesał palcami swoje złote włosy. – Nic dziwnego, że wasza rodzina jest...

Clementine poczuła rosnącą wściekłość, która na chwilę ją oślepiła. Dziewczyna tak mocno zacisnęła zęby, że niemal słyszała, jak pękają kości w jej żuchwie.

– No, jaka? Pechowa? – wysyczała. – No dalej, dokończ – rzuciła, jakby wyzywała go na pojedynek. Paliło ją w przełyku, nie potrafiła odetchnąć. Całe jej ciało napięło się w oczekiwaniu na ten jeden, jedyny gest, który usprawiedliwiłby wybuch.

On jednak tylko stał i patrzył, na przemian otwierając i zamykając usta – gwałtownie poczerwieniał, ale nie ze złości, lecz

ze wstydu.

– Nie to chciałem powiedzieć – rzekł cicho, spuszcżając wzrok.

– A niby co?

– Ja... przepraszam. Naprawdę nie chciałem tego powiedzieć.

Dziewczyna zacisnęła powieki, próbując się uspokoić, mimo że serce wybijało szalony rytm w jej piersiach, boleśnie uderzając o żebra. Odwróciła się plecami do Dirka i na chwilę otworzyła oczy, napotyając wzrok tajemniczej istoty zdobiącej ściany. Przyłożyła do niej dłoń, niemal dosięgając palcami smolistych linii – tylko na tyle się odważyła. Siostry Marsden nigdy nie dotykały rysunków.

– Naprawdę przepraszam – powtórzył Dirk.

Ona wciąż się jednak nie odwracała, przyglądając się własnej dłoni rozciągniętej na gładkiej ścianie. Z jej ust zaczęły wypływać słowa.

– Ciotka próbowała nam tego zakazywać. Miała tylko kilka lat, jak wujek zaginał, ale... – Clementine zamilkła na moment, po czym głęboko odetchnęła i podjęła wątek: – To tak, jakby zakazać nam oddychać. No i nie jest naszą mamą, więc łatwo jej nie słuchać, a tatę wcale nie interesuje, co robimy.

– To nie jest zdrowe.

Clementine w końcu się odwróciła i spojrzała na Dirka.

– Masz na myśli jego zaufanie? – zapytała nieco kpiarskim tonem, unosząc wysoko brwi.

Chłopak potrząsnął głową.

– Zaufanie jest dobre, ale nie wolno ufać dzieciom tak jak dorosłym.

Clementine rzuciła się na materac i w powietrze uniosły się drobinki kurzu gryzące w nozdrza i gardło.

– Niby dlaczego?

Dirk kucnął przed nią, kładąc dłonie płasko na materacu.

– Bo dzieci to nie dorośli – rzekł z mocą, jakby naprawdę zależało mu, żeby to zrozumiała. – Czasem wpadnie im coś głupiego do głowy i nie wiedzą, jakie to może mieć konsekwencje. Bo nie są tak ostrożne.

Dziewczyna pochyliła się, zbliżając swoją twarz do twarzy Dirka.

– Jeśli pijesz do mojego wujka, to musisz wiedzieć, że kiedy zaginął, był niemal dorosły. Miał siedemnaście lat.

Potrząsnął głową.

– Nie o to...

– Pilnowaliśmy siebie nawzajem – przerwała mu, wciąż wbijając spojrzenie w jego oblicze. – Wiedzialiśmy, czym może grozić wpadnięcie do bagna i co robić, w razie gdyby tak się stało. My nigdy nie bałyśmy się lasu, a jak się czegoś nie boisz, lepiej to rozumiesz. Dirk, my znamy każdy centymetr tego miejsca.

Chłopak nie wydawał się przekonany.

– Myślę, że waszemu wujkowi też się tak wydawało.

Clementine westchnęła, jakby nie miała już na to siły. Trąciła jego rękę i wstała, po czym ruszyła w głąb domu, nawet się nie odwracając.

– A jeśli o nim mowa, mieliśmy czegoś poszukać.

Rozdział 16

Dom miał tylko parter i składał się z czterech pokoi, w tym kuchni – nie było nawet ubikacji, zamiast niej na zewnątrz stał rozlatujący się, niemal doszczętnie zbutwiały wychodek, z którego nie korzystały już nawet siostry Marsden. Dirk oraz Clementine nie musieli więc długo szukać, aby się przekonać, że nie znajdą tu niczego, co świadczyłoby o znajomości Mattiasa Marsdena i Lorelei Garcii.

W posiadłości zostały tylko śmieci i tajemnicze malunki.

– Chyba rzeczywiście będziemy musieli zasięgnąć języka – mruknął Dirk, zaskoczony tym, jak szybko i mocno zaangażował się w całą tę historię.

– Zasięgnąć języka? – powtórzyła Clementine. – Kto jeszcze tak mówi?

– Nie kpij sobie – odparł chłopak, choć wcale nie czuł się urażony; jego myśli błądziły zbyt daleko, aby się tym przejąć.

Siedzieli na zewnątrz, pod jedną z jabłoni, a światło przedzierające się przez liście tworzyło na trawie złociste plamy. Clementine podniosła jabłko, poobracała je w palcach, po czym wgrzyzła się w nie zębami. Dirk nie potrafił oderwać oczu od jej dłoni.

– Popytam mojego tatę – powiedział. – Jestem pewien, że coś wie.

– Ja też zapytam swojego. Jak już wróci do domu.

Dirk się zawahał, wciąż wlepiając w nią wzrok.

– A tak w ogóle... – odchrząknął. – Jak się czujecie?

Clementine podciągnęła kolana pod brodę, przyglądając się śladom zębów na owocu.

– A jak niby mamy się czuć?

– Sam nie wiem. Nigdy coś takiego mnie nie spotkało. – Zaciśnął usta w wąską linię, a po chwili wahania wyciągnął dłoń i ujął nadgarstek dziewczyny, zmuszając ją, aby na niego spojrzała. – A ty jak się trzymasz?

Wzruszyła ramionami.

– Jeszcze się nie rozleciałam, więc chyba dobrze. Po prostu szkoda mi taty.

– Tak. – Puścił ją i odwrócił wzrok. – I szkoda twojego wujka. Jestem pewien, że na to nie zasłużył.

Clementine nie odpowiedziała, zamiast tego chwyciła jabłko i dłońmi rozerwała je na pół. Podała chłopakowi część, tę bez śladów zębów.

– Łał – mruknął Dirk, przyjmując podarunek. – Jestem pod wrażeniem.

– Wystarczy odrobina siły – odparła dziewczyna, biorąc kolejny kęs.

Brewer poszedł w jej ślady i poczuł na języku smak wczesnoletniej papierówki.

Było tu tak spokojnie. Słyszał tylko świergot ptaków i nic więcej, zupełnie jakby ich dwoje pozostało jedynymi ludźmi na tej planecie. Przez chwilę miał ochotę zatopić się w tym uczuciu, jego łaknące niezwykłości serce po raz kolejny poruszyło się w klatce piersiowej. Zaskoczony chłopak głęboko odetchnął.

– Chyba zaczynam lubić to miejsce – przyznał.

– Prawda? Jest niezwykle. – Clementine wyciągnęła przed siebie nogi i uśmiechnęła się do niego. – Kiedyś ja i moje siostry wyobrażałyśmy sobie, że tutaj mieszkamy.

– W sumie mogłybyście – stwierdził. – Rodzina Garcíów pewnie z chęcią pozbyłaby się tego domu, i to za niedużą cenę.

Dziewczyna potrząsnęła jednak głową.

– Ale wyremontowanie go kosztowałoby krocie. Nie stać nas na to.

Chłopak zmarszczył lekko brwi, przypatrując się swojej towarzyszce.

– To dlatego mieszkacie wszyscy razem? Bo nie stać was na przeprowadzkę?

– Nie do końca – odparła dziewczyna i Dirk miał już zacząć się dopytywać, gdy po chwili kontynuowała: – Kiedy urodziła się Elenor, tata zaczął pracę w budowlance, żeby odłożyć trochę pieniędzy na nowy dom. Ale potem mama nas zostawiła i... zostaliśmy. Nasza ciotka nie pracuje, bo musi zajmować się babunią, więc wzięła i nas pod swoją opiekę. Tata był zbyt... To dobry człowiek, naprawdę, ale nie dałby sobie ze wszystkim rady.

Zamilkli na moment i Dirk nie mógł przestać myśleć o tym, co właśnie usłyszał. Conetoe to niewielkie miasteczko, więc chcąc nie chcąc, wiedziało się nieco o jego mieszkańcach. Słyszał historię o matce dziewczyn, a przynajmniej część.

– Do dzisiaj nie do końca wiemy, dlaczego odeszła – ciągnęła Clementine. – Może nie była jeszcze gotowa na dzieci, szczególnie na trójkę. Może chciała uciec od Conetoe albo przed... – nie dokończyła, ale Dirk podejrzewał, co chciała powiedzieć.

Przed pechem Marsdenów.

Przełknął ślinę.

– Chcesz się tego dowiedzieć? – zapytał.

– Nie – ucięła Clementine i rzuciła ogryzkiem. Wstała. Nastrój prysł. – Powinnam wracać do domu. Chodź, odprowadzę cię do miasteczka. – Podała mu dłoń, a on ją ujął i również się podniósł.

– Myślę, że sam trafię – powiedział, nie wiedząc dlaczego.

– Daj spokój. – Dziewczyna machnęła ręką. – Jeszcze znowu się zgubisz, a ja będę miała cię na sumieniu. No chodź.

Dom i sad w końcu zniknęły im z oczu, a oni ruszyli przez dębowy laszek, prawie się do siebie nie odzywając – Clementine poprowadziła chłopaka dalej, aż dotarli do kwiecistej łąki i poszli wzdłuż niej. Kierowali się na zachód w stronę miasteczka, mając po obu stronach ściany stworzone z drzew.

Dirk zerwał storczyk i przyjrzał się fioletowym kwiatkom. Clementine delikatnie wyjęła mu go z dłoni, po czym wplotła sobie we włosy. Kiedy znaleźli się już w miasteczku, oddała mu kwiat, uśmiechając się lekko. Dołeczek w jednym policzku uwydatnił się podczas uśmiechu. Dirk przyjął nieśmiało storczyk, przyglądając się liliowym płatkom i nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Wypytaj swojego tatę – powiedziała dziewczyna na odchodne, cofając się tyłem.

Dirk uznał, że dziwnie wyglądała w otoczeniu budynków, chociaż właśnie na tym tle zawsze ją oglądał. Chodził z nią do jednej klasy i niemal codziennie mijał ją na szkolnym korytarzu, ale do tej pory nie miał okazji dłużej z nią porozmawiać. Dlaczego? – zastanowił się.

– Jasne – odpowiedział, wciąż ściskając storczyk. – Odezwę się, kiedy tylko czegoś się dowiem.

Clementine kiwnęła głową i w podskokach ruszyła chodnikiem. Dirk zdał sobie sprawę z tego, że wcale nie musiała odprowadzać go tak daleko.

Z zamyślenia wyrwało go mocne klepięcie.

– Dirk! – zawołał Quentin. Jego przyjaciel jak zwykle siedział na swoim BMX-ie. – Nie wiedziałem, że zadajesz się z młódkami Marsden!

Podeszły do nich jeszcze dwie dziewczyny: Gia, z którą rozmawiał tego ranka przez telefon, drobna, uśmiechnięta i jak zwykle przyjmująca wszystko bez zastrzeżeń, oraz Moira o twarzy jak marmur.

– Nie bądź wredny – rzekła ta druga, mocniej ściskając aparat wiszący na jej szyi. – I nie nazywaj ich młódkami, w twoich ustach brzmi to obrzydliwie.

– Tak jest, Mroczny Lordzie – zgodził się Quentin, mocno szarpiąc za kierownicę, aby stanąć na tylnym kole roweru.

Moira zmrużyła z niezadowoleniem oczy, nie lubiła bowiem, gdy chłopak tak ją nazywał. Choć nią nie była, zbyt często brano ją za jędzę – pewnie z powodu nienaganych, wyprasowanych w kant koszulek polo, ciasno związanych włosów oraz nieprzeniknionej twarzy.

– Myślisz, że powinnam ją dogonić? – zapytała Dirka, a między jej brwiami pojawiła się delikatna zmarszczka, lecz szybko zniknęła.
– Złożyć kondolencje?

– Och, czyli słyszeliście już o tym? – zapytał cicho Dirk, przyglądając się swoim przyjaciółkom.

– O tak – westchnęła Gia. – To bardzo smutne.

Dirk spuścił wzrok i spojrzał na kwiatek trzymany w dłoni.

– Idę, muszę porozmawiać z ojcem – rzekł. – Widzimy się później.

– Ukrył storczyk w dłoni i odwrócił się.

– Nie odpowiedziałeś mi – rzekła spokojnie Moira.

Quentin był głośniejszy, jego głos poniósł się po ulicy:

– Opowiem wszystko Kenny’emu, gdy zadzwoni z tej swojej wyprawy! Dowie się, że tracisz głowę dla Marsdenówny!

Dirk machnął tylko ręką, bo przez lata kolegowania się z Quentinem nauczył się co najmniej jednego: w takich sytuacjach

wystarczy go ignorować, bo próba obrony tylko niepotrzebnie go nakręci.

Ruszył biegiem i jego głowę momentalnie wypełnił rytm, jaki wybijały obute w tenisówki stopy na chodnikowych płytach. Już chwilę potem stał w progu własnego domu – mama wraz z dziećmi robiła w kuchni lemoniadę. Chłopak zdał sobie wtedy sprawę z tego, że oprócz połówki jabłka nie miał tego dnia w ustach nic innego.

– Dirk! – zawołał Zachary, rzucając się na niego. – Chodź, robimy lemoniadę.

– Zaraz przyjdę. – Chłopak czule poklepał go po plecach. – Wiesz może, czy tata jest w domu?

Siedmiolatek pokręcił głową.

– Nie widziałem go.

– Jest jeszcze w pracy – odpowiedziała matka, wkładając do ust plasterki cytryny.

– Jeszcze? – zdziwił się Dirk, zanim uzmysłowił sobie, że z powodu ostatnich wydarzeń ojciec pewnie ma sporo roboty. – Ach, no tak. Zaraz przyjdę – dodał szybko, po czym popędził na górę, aby włożyć storczyk do jednej z książek stojących na półce w jego pokoju.

Zrobił to szybko, wsuwając kwiatek między kartki „Hobbita” i odłożył go na miejsce. Szybko rozejrzał się po pomieszczeniu, podniósł z podłogi kontrolery od Nintendo i położył je na pudle od telewizora, bo nagle przejął go strach, że mógłby je rozdeptać. Ruszył na dół, z powrotem do kuchni.

Mama podała mu szklankę orzeźwiającego cytrynowego napoju.

– Dzięki – westchnął Dirk i wychylił ją, niemal od razu wypijając chłodny kwaskowy płyn. – Znajdę tatę w jego biurze? – zapytał.

– Chyba tak. A dlaczego pytasz?

– Muszę z nim pogadać – powiedział tylko, myjąc szklanę w zlewie. Odstawił ją na suszarkę i popędził w stronę wyjścia, słysząc za sobą śmiech dziewczynek.

Po chwili już go nie było.

* * *

Biuro szeryfa znajdowało się tuż przy ratuszu i jedyne, co odróżniało go od pozostałych budynków, to niewielki szyld z napisem „Policja”. Dirk wszedł do środka i w twarz uderzył go zapach drzewa sandałowego oraz przyjemny chłód pracującej na pełnych obrotach klimatyzacji. Policjanci siedzieli przy swoich biurkach, zakopani pod tonami papierów.

– Dirk! – przywitał się pan Sanders, mężczyzna w wieku jego ojca oraz bliski przyjaciel rodziny.

– Dzień dobry. – Chłopak uściśnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń. – Jest tu może mój tata?

– U siebie. – Sanders uśmiechnął się pod sumiastymi wąsami i wskazał ruchem głowy w głąb biura, gdzie znajdował się gabinet szeryfa.

– Dobra, dzięki.

Chłopak ruszył przez gwarne pomieszczenie do pokoju oddzielonego od reszty cienkimi ścianami. Zapukał i wszedł do środka, gdy dobiegło go przyzwolenie. Nawet przez drzwi słyszał zmęczenie w głosie ojca.

– Cześć, tato.

Mężczyzna uśmiechnął się, odkładając słuchawkę.

– Synu.

Pomieszczenie było niewielkie, mieściły się w nim zaledwie regał na dokumenty, biurko oraz trzy obite siedziska. Ponadto wszędzie – na blacie oraz ścianach – wisiały bądź stały oprawione w ramki

zdjęcia, wycinki z gazet i wszystkie ważne z jakiegoś powodu bibeloty, w tym dyplomy i pamiątki z pobytu ojca w wojsku. Zapach drzewa sandałowego był tu intensywniejszy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedział Dirk, siadając na krześle. Podciągnął nogi i skrzyżował je po turecku.

– Oczywiście, że nie – odparł tata. Sięgnął po kubek stojący obok jego dłoni i napił się. Szybko wypluł jednak płyn z powrotem do naczynia. – Cholera – sarknął. – Potrzebuję nowej kawy.

Dirk się zaśmiał.

– Tato, chciałbym cię o coś zapytać.

Mężczyzna uniósł brwi.

– O co chodzi?

– Wiesz coś może na temat Lorelei Garcii? To do niej należał ten opuszczony dom za lasem.

Brwi taty uniosły się jeszcze wyżej, niemal dosięgnęły linii włosów. Dirk głośno przełknął ślinę.

– Dlaczego nagle zaczęła cię interesować? – Szeryf pochylił się, opierając łokcie na blacie biurka.

Chłopak otworzył usta, aby odpowiedzieć, nagle się jednak zawahał.

Bo co miał powiedzieć? Że jego serce, odkąd pamiętał, pragnęło czegoś niezwykłego, czegoś, co wypełni pustkę, która niczym czarna dziura latami rosła mu w piersiach? A teraz po tylu latach znieruchomiła pompa nagle się poruszyła?

Ponieważ właśnie tym był Dirk, choć nikt poza nim samym nie miał o tym pojęcia – tęsknotą za niebywałością i oryginalnością, za czymś więcej niż szkolne korytarze, obowiązki i brak magii w powietrzu. Wszystko, co łączyło się z Lorelei Garcia i Mattiasem Marsdenem, poruszało odpowiednie struny w jego duszy. Równie

dobrze ktoś mógłby stanąć mu koło ucha i krzyżeć, że upragniony czas w końcu nadszedł.

Nie mógł jednak tego powiedzieć, nie teraz. Wybrał więc inną część prawdy.

– Spotkałem Clementine i razem przeszliśmy się do jej domu. Zdałem sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nic o niej nie wiem i... – zaczął się jąkać.

– W porządku, w porządku. – Tata odchylił się i z powrotem opadł na oparcie krzesła. Podrapał się po policzku, na którym było już widać cień zarostu. – Zaczniemy od początku.

Tym razem to Dirk się pochylił, czując, jak ciekawość rozsadza mu piersi.

– Nigdy nie miała dzieci – podjął opowieść tata – ale z tego, co mi wiadomo, jej siostry urodziły synów. Nie pochodziła stąd, ale przeprowadziła się, kiedy wyszła za mąż za tutejszego murarza. To on postawił dla nich dom. – To był chyba trzydziesty piąty. W każdym razie jej mąż zmarł sześć albo siedem lat potem.

– Mówią, że oszalała z samotności – wtrącił Dirk.

Jego ojciec się zaśmiał.

– Och, na pewno była szalona. Możliwe też, że z powodu samotności, w końcu owdowiała, nie mając jeszcze dwudziestu pięciu lat, ale raczej w to wątpię. Ona... – machnął ręką, jakby próbował uchwycić odpowiednie słowo – raczej lubiła być sama. Nikogo nie zapraszała, a intruzów poganiała strzelbą. Mnie w młodości prawie zabiła.

Dirk szeroko otworzył usta ze zdumienia, a jego ojciec roześmiał się jeszcze głośniej.

– O, tak – powiedział, wciąż szeroko się uśmiechając. – Ja, Sanders i jeszcze kilku naszych kumpli zakradliśmy się kiedyś pod jej dom. Musiała nas usłyszeć, bo wypadła na zewnątrz i zaczęła krzyżeć,

żebyśmy się wynosili. A potem strzeliła. Trafiła w ziemię pół metra od mojej nogi.

– I nigdzie tego nie zgłosiliście?!

– Chłopaku, mieliśmy po czternaście lat. – Tata podrapał się po dolnej wardze i odchylił się na oparciu, układając nogi na blacie biurka. – Mieliśmy wrażenie, że jeśli to zrobimy, ona w jakiś sposób będzie wiedziała, że to my, i się na nas zemści – parsknął krótkim śmiechem. – Poza tym sami byliśmy sobie winni. Nie wolno zakradać się nocą pod cudze domy.

Dirk nie odezwał się już słowem, czekając na dalszą część opowieści.

– Jak już więc mówiłem – kontynuował tata – była raczej dziwną starszą panią. Gdy tylko pojawiała się w miasteczku, wydawała się taka... zdystansowana. Nie zrozum mnie źle, zawsze była uprzejma, ale jednocześnie... Trudno to określić. Ciągle do siebie szeptała. Mówiliśmy, że przywołuje duchy, po czym więzi je w domu i właśnie dlatego nie lubi mieć gości, bo ktoś mógłby je przez przypadek uwolnić. Głupie gadanie. – Mężczyzna spuścił nogi i usiadł prosto. – Tak naprawdę wszyscy inni też niewiele o niej wiedzą. – Przepraszająco wzruszył ramionami. – Trudno znać kogoś, kto wszystko trzymał w tajemnicy. Mogę ci tylko powiedzieć, że zmarła jakiś czas po tym, jak zaginął Mattias Marsden. To było jakieś osiemnaście... nie, dziewiętnaście lat temu, czyli w siedemdziesiątym siódmym roku. Ją znaleziono martwą na początku siedemdziesiątego ósmego. Matka Sandersa w końcu poszła do niej do domu, bo niemal przez całą zimę Lorelei Garcia nie pojawiała się w jej sklepie.

– To wszystko? – zapytał Dirk, gdy jego ojciec zamilkł.

Tata znowu wzruszył ramionami.

– A czy... – zaczął chłopak – możliwe, że ona i Mattias się znali? To znaczy, czy się kolegowali?

– Dlaczego nagle ci to przyszło do głowy? – zdziwił się ojciec, gwałtownie marszcząc brwi, przez co na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

Odpowiedź przyszła sama.

– Bo jak już mówiłem, rozmawiałem dziś z Clementine. Jej dom i dom pani Garcii oddziela tylko las. A Mattiasa znaleziono w linii prostej między posiadłościami. Pomyśleliśmy, że być może tam właśnie siedł.

Tata jeszcze mocniej odchylił się na krześle, aż mebel zatrzeszczał i lekko zachwiał się na tylnych nogach.

– Cóż... – zaczął powoli. – Osobiście nic o tym nie wiem – powiedział wreszcie, a jego syn powoli wypuścił powietrze. – Nie kolegowałem się ani z Mattiasem, ani tym bardziej z Garcia.

Obaj zamilkli, wsłuchując się w dźwięki dobiegające zza cienkich ścian gabinetu. Dirk kilka razy przełknął ślinę, zanim odważył się zapytać:

– Jak myślisz... co się tam stało?

Tata wygiął usta w smutnym uśmiechu.

– Przekonamy się, gdy przyjdą wyniki z sekcji zwłok. Myślę jednak, że Mattias po prostu się przewrócił i uderzył o coś głową.

Dirk był niemal pewien, że na usta ojca cisnie się jedno słowo: „pech”. Usłyszał jednak coś innego.

– Chodźmy do domu, synu.

Rozdział 17

Siedziały w starym volkswagenie, opierając się o jego przerdzewiałe boki, i milczały, choć jeszcze przed chwilą wcale nie było tu tak cicho. Ginger wpatrywała się w zarośnięte bluszczem okienko, Clementine starała się wytrzepać zza dekoltu wszystkie okruszki, a Elenor wyciągała z nogawki ogrodniczek odstające nitki.

Wszystkie trzy myślały o tym, co powiedziała im Clem.

– Sama nie wiem – stwierdziła w końcu Elenor, mając jednak wrażenie, że zbyt późno.

– Ale tata na pewno wie – upierała się Clementine.

– I nawet jeśli to prawda, to co z tego? – Najstarsza siostra utkwiła w niej uważnie spojrzenie. – To. Nic. Nie. Zmienia.

Clementine parsknęła, dając spokój dekoltoowi i krzyżując ramiona na piersiach.

– Poza tym nawet nie wiem, czego się spodziewałaś, przeszukując tamten dom – stwierdziła Elenor nieco łagodniejszym tonem. – Przejrzałyśmy każdy kąt już dawno temu.

Jej siostra wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna. Może liczyłam na to, że coś przeoczyłyśmy?

Elenor powoli uniosła brwi.

– No co? – Clementine przewróciła oczami. – Może gdzieś tam jest jakaś tajna skrytka albo coś takiego – westchnęła, ale po chwili nagle spoważniała. – Po prostu chciałam się czymś zająć. Pomóc. Albo zrozumieć, sama nie wiem – rzekła, nieświadomie powtarzając słowa starszej siostry. – Nie miałam żadnego innego pomysłu, a chciałam się przydać.

Ginger wreszcie odwróciła wzrok od okienka i przyjrzała się siostrze, zaciskając usta w wąską linię.

– Tak w ogóle to gdzie jest tata? – zapytała cicho.

Elenor odetchnęła głęboko, po czym mocno przytuliła młodszą siostrę.

– Nie wiem, ale nie powinniśmy się martwić. Tata wróci, kiedy tylko będzie gotowy.

Chciała w to wierzyć. Tak bardzo chciała w to wierzyć!

* * *

Noc była gęsta i ciemna, powietrze stało w miejscu, nie dając ani odrobiny chłodu nawet teraz, gdy słońce wreszcie skryło się za horyzontem. Burza stała się jedynie zamglonym wspomnieniem, cała wilgoć wyparowała i każda, choćby najcieńsza warstwa ubrania wydawała się zbyt gruba.

Drzewa i świerszcze nuciły a cappella, łagodnie starając przekrzyczeć siebie nawzajem, i pewnie gdyby tylko znalazł się ktoś mówiący ich językiem, poznałby wszystkie historie świata – kiedy jednak głos przypomina szum, bardzo łatwo go nie docenić lub przeoczyć.

Wtedy noc przeciął donośny trzask i wszystkie trzy siostry Marsden usiadły prosto na swoich łóżkach, żadna z nich bowiem tak naprawdę nie spała.

Po domu przetoczył się głos.

– Tata! – zawołała z westchnieniem Ginger i wybiegła z pokoju, a za nią starsze siostry.

Eric próbował wdrapać się na piętro, ale nogi zbyt mocno się pod nim plątały – upadł, rozciągając się na drewnianych stopniach i uderzając bokiem głowy o ścianę. Ginger krzyknęła i podbiegła do ojca, chwytając go pod ramię, aby pomóc mu wstać.

Śmierdział uryną i alkoholem.

W korytarzu pojawili się Lisa i Charlie, akurat w chwili, kiedy Eric objął córkę za szyję, bełkocząc ledwie zrozumiałe podziękowania. Był naprawdę ciężki, cuchnęło mu z ust, a serce Ginger tak mocno galopowało jej w piersiach, że dziewczyna miała ochotę się rozpłakać.

– Zostaw go – powiedziała szorstko Lisa, choć wcale nie złościła się na bratanicę.

Charlie precyzyjnie się do nich i zastąpił dziewczynę, z większą siłą dźwigając Erica w górę.

– Elenor, zabierz siostry do pokoju – rozkazała ciotka.

Wszystkie trzy stały nadal w korytarzu jak wrośnięte.

Charlie mocno złapał mężczyznę pod ramiona i wciągnął go na piętro. Eric próbował iść, lecz nogi tak mocno uginały się pod nim, że całkiem stracił kontrolę nad swoim ciałem. Szarpnęło nim, więc szwagier lekko się od niego odsunął, w razie gdyby pijany Marsden miał zwymiotować, jednak ani odrobinę nie poluźnił uścisku.

Tata wciąż mamrotał podziękowania.

– Pewnie, stary – powiedział Charlie, ciągnąc go w stronę łazienki.

– Dla ciebie wszystko.

Lisa otworzyła przed nimi drzwi i odciągnęła zasłone prysznicową, po czym pomogła mężowi położyć brata do wanny. Eric próbował wstać, lecz kobieta mocno ścisnęła go za ramię i pchnęła, unieruchamiając go w miejscu.

– Siedź tu – warknęła.

Stojące w progu siostry doskonale widziały kamienną twarz ciotki, wymiociny na koszuli ojca i nagły strumień ciepłej wody, który po niej spłynął. Wtem obraz zasłonił im rysunek kojota na koszulce Charliego.

– Już wszystko dobrze. – Wuj otoczył je wszystkie ramionami. – Idźcie już spać, my się nim zajmujemy. A jutro sobie szczerze pogadamy, jak już wytrzeźwieje. Dobrze?

Ginger się rozpłakała, a Charlie wzmocnił uścisk, przez co dziewczyny wbijały sobie nawzajem łokcie w boki. Żadna jednak nie narzekała.

Tata zaczął przeklinać, rozchlapując wokoło wodę, a bijący od niego smród stał się nie do wytrzymania. Wujek oderwał się od dziewcząt, przepaszając, i zamknął drzwi łazienki tuż przed ich nosami.

Ginger wciąż nie przestawała płakać.

– Chyba nie zacznie znowu pić, prawda? – zapytała.

Elenor mocno uściśnęła jej dłoń i pociągnęła ją w stronę pokoju, z dala od łazienki i pijanego ojca.

– Na pewno nie – powiedziała. – Wszyscy mamy po prostu zły dzień.

Clementine cicho podążyła za nimi i bezgłośnie zamknęła drzwi. Elenor objęła Ginger i trwały tak przez chwilę, stojąc w ciemności, a drzewa i świerszcze nie przestawały śpiewać, zupełnie jakby tak naprawdę nic się nie wydarzyło.

Nieruchome powietrze stało się jeszcze bardziej uciążliwe. Wszystkie trzy chciały wierzyć w słowa Elenor. Wszystkie trzy.

– Cholera – syknęła niespodziewanie Clementine, szarpiąc siostry.

– Babunia! – Wskazała w stronę okna, za którym majaczyła ściana lasu oraz biała koszula nocna znikająca między drzewami.

Nawet nie musiały nic uzgadniać, zbiegły na dół do tylnego wyjścia i ruszyły bosą w kierunku lasu, z paniką wypatrując białej smugi. W niektórych oknach ich domu wciąż paliło się światło, dzięki czemu na zewnątrz nie było aż tak ciemno, blask nie dochodził jednak wystarczająco daleko.

– Babuniu! – krzyknęła Elenor.

Clementine wyminęła ją i popędziła przodem, slalomem omijając drzewa.

– Clem, poczekaj! – zawołała za nią najstarsza siostra, przyśpieszając kroku.

Wszystkie trzy rozglądały się na boki, poszukując błędzającej staruszki.

– To niemożliwe, żeby przeszła taki szmat drogi! – mruknęła Clementine, opierając się dłonią o pień drzewa.

– Tam! – pisnęła Ginger, klepiąc ją w ramię, po czym ostrożnym truchtem ruszyła we wskazanym przez siebie kierunku.

Siostry podążyły za nią i po chwili znowu zobaczyły białą smugę koszuli nocnej, wyraźnie odcinającą się od ciemności nocy.

Babunia wciąż parła naprzód, nawet gdy ją zawołały. Przystanęła dopiero w chwili, kiedy Ginger chwyciła ją delikatnie za ramię i obróciła twarzą do siebie. Staruszka spojrzała na nią ze zdumieniem, jakby kompletnie nie zdawała sobie sprawy z obecności wnuczek. Dziewczyna nie miała pewności, czy kobieta w ogóle wie, gdzie się znajduje.

– Nie powinnaś chodzić nocą po lesie – powiedziała mimo to.

– Lisa – westchnęła babunia i nagle struchlała.

– Babuniu, wiesz, że nie możesz się oddalać. – Elenor chwyciła staruszkę za drugie ramię i poprowadziła ją w stronę domu. – Mogłaś się zgubić.

– Przepraszam, Liso – powiedziała potulnie staruszka. Podobnie jak wnuczki nie miała na nogach butów. – Rozmawiałam po prostu z Mattiasem i trochę się zagapiłam.

Ginger poczuła, jak po plecach przebiegają jej dreszcze. Babcia równie dobrze mogła mieć na myśli tatę, ale... Głośno przełknęła ślinę, po czym zapytała:

– Babuniu... a gdzie jest teraz Mattias?

Clementine spojrzała na nią z ukosa, nie karcąco, lecz z ciekawością.

Starowinka natomiast się zawahała, a na jej twarzy znowu odmalował się ten wyraz przerażenia graniczącego ze skrępowaniem, gdy po raz kolejny złapało się ją na tym, że coś wyleciało jej z głowy, choć doskonale powinna to pamiętać. Niekiedy, gdy miała dobre dni, w pewien sposób zdawała sobie sprawę z tego, że czegoś jej brakuje – na ogół jednak płynęła przez życie w nieświadomości, wciąż trwając w latach siedemdziesiątych.

Teraz jednak coś do niej docierało. Ginger nie spuszczała z niej wzroku, choć przez to wciąż potykała się w ciemności.

– Ja... – W oczach babuleńki zaśniły łzy, w tej chwili doskonale widoczne, bo właśnie zbliżyły się do domu. – On... robi kanapki w kuchni. Wyszedł na chwilę do lasu, często to robi, ale teraz już wrócił.

Ginger wypuściła powietrze z ust.

– Masz rację, babuniu – zgodziła się Elenor, zaprzeczanie nie miało bowiem najmniejszego sensu. – A teraz położymy cię do łóżka, w porządku?

Kobieta pokiwała wolno głową.

Nie zapalając światła, poprowadziły ją z powrotem do sypialni i przykryły kocem. Babunia ani trochę nie protestowała. Ginger przyniosła szklanekę wody, którą postawiła na szafce nocnej, tak aby kobieta mogła po nią swobodnie sięgnąć, Clementine tymczasem pozamykała na klucz wszystkie drzwi, upewniając się, że babunia znowu nie wyruszy na nocne spaceru.

– Dobranoc, Liso – rzuciła staruszka, kiedy Elenor zamykała drzwi.

– Dobranoc – odparła dziewczyna. Pociągnęła siostry na piętro, do ich pustego pokoju.

W łazience wciąż paliło się światło – dochodziły z niej przytłumione głosy ciotki i jej męża, dziewczyny nie potrafiły jednak rozróżnić słów; razem z odgłosem prysznicza zlewały się w jednostajny, niezrozumiały szum. Ale przynajmniej nikt już nie przeklinał. Siostry jednak właściwie nie starały się nawet podsłuchiwać, były na to zbyt zmęczone.

Chciały tylko, aby ten dzień wreszcie się skończył.

* * *

Noc była ciemna i gęsta, szczególnie nad domem Marsdenów. Siostry leżały w swoich łóżkach, lecz nie spały, w ich głowach kłębiło się zbyt wiele myśli. Martwiły się ojcem i trochę babunią, zastanawiały się, czy tata będzie w stanie pracować. Rozmyślały o Mattiasie i o tym, co się z nim stało.

Leżały, wpatrując się w sufit, i czekały na własny pech.

KSIĘGA TRZECIA

RESZTA ŚWIATA

Rozdział 18

Tata cicho chrapał w swojej sypialni, którą dziewczyny minęły, ostrożnie stąpając na palcach. Bały się, ale nie dlatego, że mogłyby go obudzić. Ich strach był znacznie głębszy i sięgał daleko w przyszłość.

Jak niemal każdego ranka Charlie krzątał się w kuchni i robił śniadanie, ubrany w koszulę i krawat, bo już za jakieś pół godziny miał wyjść do pracy. Żadna z sióstr nie miała jednak ochoty na jedzenie, wyszły więc ukradkiem na tył domu. Wciąż nie odzywając się do siebie, usiadły na betonowych stopniach.

Przez lekko uchylone drzwi dotarł do nich głos ciotki.

– Zadzwońłam do szefa Erica – powiedziała. – Powiedziałam, że jest chory.

– I dobrze – zgodził się jej mąż. – Pracuje na wysokości, jeszcze by spadł.

Ktoś przesunął krzesło, jego nogi zaszurały o wykafelkowaną podłogę i po dłuższej chwili znowu rozległ się głos Charliego, miękniejszy i bardziej czuły – nie był przeznaczony dla sióstr Marsden.

– Liso, powinnaś odpocząć.

– Nie mam czasu na odpoczynek. Trzeba zorganizować pogrzeb Mattiasa.

– Jeszcze nam go nie wydali i nie wiadomo, kiedy to zrobią. Najpierw ochłońmy, dobrze? Pamiętajmy też o dziewczynkach.

Chwila ciszy, przerwana stłumionym stukiem, jakby ktoś odstawiał kubek na blat stołu.

– Gdzie one są? – zapytała ciotka. – Wstały już?

Siostry skuliły się, wyczekując odpowiedzi wuja, ta jednak nie nastąpiła. Patrzyły na las, delikatnie muskany przez wiatr, który ledwie poruszał liśćmi. Prócz tego wydawało się przeraźliwie cicho, zupełnie jakby nie tylko dziewczyny kuliły się w oczekiwaniu.

Wtedy drzwi otworzyły się na oścież i w progu stanął Charlie trzymający w dłoni tacę z trzema kubkami.

– Cześć. – Uśmiechnął się do nich, ominął je i przykucnął u ich stóp. – Zrobiłem dla was kakao.

Clementine sięgnęła pierwsza po kubek i zamoczyła usta w napoju, ignorując gorąco parzące ją wargi.

– Dziękujemy – powiedziała Elenor, również wyciągając dłonie.

Charlie przysiadł się do nich, kładąc pustą już tacę na kolanach. Również zagapił się na las, ale być może jego głowę wypełniały zupełnie inne myśli niż umysły jego towarzyszek.

– Muszę już jechać – powiedział w pewnym momencie. Spojrzał na dziewczyny, a jego uśmiech stał się szerszy, ale nie bardziej wesoły. – Wszystko się ułoży – rzekł. – Tylko musi minąć nieco czasu.

Wrócił do domu, a siostry zostały same, delektując się smakiem gorącego kakao. Niedługo jednak tak pozostało, bo gdy tylko Charlie wyjechał, w drzwiach pojawiła się ciotka Lisa. Nie próbowała ich jednak pocieszać, być może dlatego, że sama potrzebowała pocieszenia. W milczeniu dosiadła się do bratanic, podciągając kolana pod brodę. W tej pozycji nie wyglądała wcale na dorosłą kobietę, która upominała je, żeby używały pełnego imienia Clementine.

Siostry czuły się naprawdę nieswojo, cieszyły się jednak, że była przy nich.

Bo Mattias Marsden był sam i nie skończyło się to dla niego dobrze.

* * *

Szły przez las, nic nie mówiąc, bo właśnie mijały miejsce, w którym znaleziono ich stryja. Dziwnie było ponownie przemierzać tę trasę; dziewczęta czuły się spięte, zupełnie jakby między drzewami miały spotkać samego Mattiasa.

Świadomość, że przez tyle lat przechodziły obok niego, nie mając o niczym pojęcia, była zatrważająca. Siostry Marsden wiedziały wszystko o tym miejscu, znały każdy fragment ziemi, wiedziały, jak się po nim poruszać. A przynajmniej tak im się dotąd wydawało. Okazało się bowiem, że las ma swoje tajemnice, których nie chciał odkryć nawet przed nimi – dziećmi drzew i kamieni.

Co jeszcze ukrywał?

Siostry poruszały się jak najciszej, jakby nie chciały zakłócić nikomu spokoju. W lesie panował lekki półmrok, w powietrzu wisiał zapach liści i ziemi, między drzewami było jednak znacznie chłodniej, choć równie duszno. Zaśpiewał kos, pod nogami dziewcząt umknęła ryjówka. Clementine pokazała siostronom ślady tchórza, delikatne odciski łap wyżłobione w miękkiej glebie. Matecznik pełen był zwierząt, wystarczyło tylko spojrzeć w odpowiednią stronę – gdzieś w oddali mignęła brunatna sierść sarny, niedaleko widniały głębokie bruzdy po ryciu dzika, który szukał w tym miejscu bulw albo dżdżownic.

Dziewczętom łatwo przychodziło zauważanie takich rzeczy, bo zachowywały się cicho – ciszej niż zwykle. Wtapiały się w leśne życie.

Szły dalej, aż otoczyły je bagna i stare olszyny wyrastające z mętnych granatowych jezior. Gdzieś w oddali rechotały żaby, w powietrzu unosił się zapach torfu. Siostry wkroczyły na wąską

ścieżkę biegnącą pomiędzy bajorami, pewnie stawiając stopy i idąc jedna za drugą.

Gdyby spojrzeć na nie z boku, łatwo było zgodzić się z tym, że należały do tego miejsca. Ich skóra miała barwę ściółki, a włosy odcień sarniej sierści. Wyglądały tak, jak swego czasu wyglądali Eric i Mattias Marsdenowie, tyle tylko że w oczach bliźniąt wykąpało się bezchmurne niebo, podczas gdy w wejrzeniu dziewcząt skryły się jesienne drzewa, które zachowały jeszcze kilka zielonych liści.

Ginger miała na sobie kwiecistą sukienkę tańczącą wokół jej ud, lekką jak ona sama. Elenor jak zwykle włożyła swoje ogrodniczki, brudne od ziemi i trawy, oraz koszulkę na ramiączkach w kolorze wojskowej zieleni. Clementine natomiast narzuciła na siebie krótkie, sztruksowe spodenki oraz podkoszulek mocno wycięty pod pachami i szyją, przez co spod materiału wyzierał sportowy stanik.

Kroczyły między bajorami, milczące i zadumane, nieubłagalnie zmierzające do swojej kryjówki.

Będąc tutaj, często zdarzało im się nie rozmawiać, zupełnie jakby niezwykłość tego miejsca nakazywała im słuchać, teraz jednak ten brak dźwięków im ciążył – nawet Ginger, która na ogół pozwalała mówić innym. Mimo to żadna z nich nie znajdowała słów. Właściwie nawet się nie starały.

Kiedy dotarły do polany pełnej kwiatów, Ginger uplotła sobie z nich wianek i udekorowała głowę fioletem, błękitem i różem. Uśmiechnęła się do swoich sióstr.

– To jeden z twoich lepszych – powiedziała Elenor, przyglądając się sprawnym splotom łodyg i źdźbeł trawy.

– Dziękuję – wyjąkała cichutko Ginger. Wciąż się rumieniąc, ruszyła w stronę dębowego lasu, a siostry podążyły za nią.

Po pewnym czasie spomiędzy zielonych liści wyłonił się stary dom w kolorze cynobru, ukryty i zapomniany, zarośnięty mchem i kępami trawy, zupełnie jakby wyrósł prosto z ziemi. W powietrzu unosił się zapach wczesnoletnich jabłek, Clementine wyprzedziła więc siostry i wdrapała się na jedno z drzew, mocno przytrzymując się gałęzi.

Elenor podeszła pod pień i zadarła głowę.

– Rzuć mi jedno – poprosiła.

Clementine sięgnęła po to najbardziej dojrzałe, rosnące wysoko. Gałęzie drżały pod jej stopami, lecz dziewczyna była ostrożna i mocno trzymała się pnia. Bez strachu wspinała się wyżej i wyżej – niemal całkiem zniknęła Elenor z oczu, skryta między liśćmi. Najstarsza siostra pochwyciła jabłko, kiedy obijając się o gałązki, runęło w dół.

– Mam! – zawołała i usiadła pod drzewem, wgrzyzając się w owoc. Korona nad jej głową zaczęła lekko się trząść, gdy Clementine sadowiła się na niższych gałęziach.

Ginger zdjęła buty, po czym zaczęła lekko kręcić się wokół własnej osi, zupełnie jakby tańczyła do tylko sobie słyszalnej muzyki. Elenor wygięła usta w słabym uśmiechu. Poczuła się trochę bardziej zwyczajnie – może Charlie miał rację i wszystko w końcu wróci do normalności, wszystko będzie dobrze.

Gwałtownie zmarszczyła brwi.

– A on co tu robi? – zawołała.

Rozdział 19

Znalezienie kwiecistego przesmyku wcale nie było trudne, wystarczyło iść wzdłuż lasu, aż natknęło się na większą lukę pełną kolorów. Sprawa miała się nieco inaczej z domkiem – dość długo błądził, bo wszystkie drzewa wyglądały tak samo. Choć czasem wydawało mu się, że coś rozpoznaje, ostatecznie wciąż kręcił się w kółko. Nie bał się jednak, wiedział bowiem, że nie ma tu bagna, do którego mógłby wpaść i się utopić. Aż w końcu jego upór został wynagrodzony i odnalazł ścieżkę, którą poprzedniego dnia pokonał z Clementine.

Dostrzegł dom i szybko się zbliżył, nie zobaczył jednak sióstr Marsden – może dziś wcale nie przyszły? Zaczął się rozglądać i wtedy dostrzegł kwiecistą sukienkę Ginger, a do jego uszu dotarło zawołanie Clementine:

– Dirk!

Chłopak uśmiechnął się i podszedł do dziewczyn. Clem zeskoczyła z drzewa i otrzepała spodenki. Dirk wyciągnął z jej włosów zagubiony listek.

– Cześć – przywitał się. – Przez chwilę myślałem, że was nie zastanę.

Dziewczyna cicho parsknęła.

– No cóż, jest raczej niewiele miejsc, w których można nas znaleźć.

– W tym jedno z nich jest wielkości lasu, z bagnami w samym środku – przypomniał Dirk z lekkim uśmiechem. Odchrząknął. – Poppytałem tatę o panią Garcję.

Elenor oparła się biodrem o stojącą niedaleko jabłoń i skrzyżowała ramiona na piersiach. Nawet Ginger się zbliżyła, lekko przekrzywiając głowę, która zdawała się jeszcze barwniejsza niż zwykle.

Chłopak opowiedział im, czego się dowiedział. Nie było tego wiele, dlatego szybko skończył i zagryzł wargę, zastanawiając się, czy na cokolwiek się przydał – może siostry Marsden dawno już to wszystko wiedziały? Spojrzał na nie i zdał sobie sprawę, że słuchały go w milczeniu, uważnie się w niego wpatrując.

Odchrząknął.

– No, a czego wy się dowiedziałyście? – zapytał.

Elenor oderwała się od jabłoni, Clementine przerzuciła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Ginger zagryzła wargę.

– Nie miałam okazji wypytać taty – powiedziała w końcu średnia siostra. – Ale to zrobię – dodała szybko.

– W porządku – rzekł spokojnie Dirk. – To co zamierzacie?

Siostry spojrzały po sobie.

– Bo wiecie... – ciągnął nieco zawstydzony Dirk. – Pomyślałem sobie, że moglibyśmy przyjrzeć się pani Garcii. W bibliotece są stare wydania „Tygodnika Okręgowego”, może coś o niej napisali.

Elenor zmarszczyła w zamyśleniu brwi.

– A dlaczego mieliby to zrobić?

– Bo to mały okręg. O czym innym mieliby się rozpisywać?

Dziewczyna powoli pokiwała głową, podczas gdy Clementine szeroko się uśmiechnęła, wsuwając kciuki za szlufki sztruksowych spodenek.

– Ja jestem za.

* * *

To był spokojny poniedziałek, niemalże leniwy, zupełnie jakby ludzie zamienili się w wygrzewające się w słońcu koty, którym jest zbyt gorąco, aby się ruszać. Od strony warsztatu mechanika dochodziły ciche stukoty, a sklep spożywczy wydawał się opustoszały – przy chodnikach stało zaledwie kilka samochodów. Całe Conetoe było niczym zastygłe.

Siostry Marsden z towarzyszącym im Dirkiem przeszły ulicą do wielkiego bielonego gmachu, w którym na piętrze znajdowała się publiczna biblioteka. Korytarze były puste, ich kroki i przyciszone głosy roznosiły się echem, odbijając od jasnoblękitnych ścian.

We czwórkę weszli do przestronnego pomieszczenia, pachnącego starym papierem i drewnem. Za biurkiem po lewej siedziała kobieta w średnim wieku. Dirk był niemal całkowicie pewien, że ma rromskie korzenie – wskazywały na to ciemna, znacznie ciemniejsza niż u sióstr Marsden skóra, kruczoczarne włosy i grube brwi niemal stykające się pośrodku. Prawie w ogóle nie nakładała makijażu, nadrabiała to jednak kolorowym ubiorem, głównie wzorzystymi, bogato plecionymi swetrami. Teraz z powodu gorąca miała na sobie krwistoczerwoną koszulę, w jakiś sposób uwydatniającą ostre rysy jej twarzy.

– Dzień dobry, pani Baliardo – przywitał się chłopak.

– Dirk. – Kobieta się uśmiechnęła i odchyliła na biurowym krześle, które cicho zatrzeszczało. – Masz przecież wakacje – zauważyła, po czym zerknęła na towarzyszące mu siostry i jej twarz nagle dziwnie się wydłużyła. – Och, witajcie, dziewczynki. Słyszałam, co się stało. Bardzo mi przykro z powodu waszego wujka.

– Dziękujemy – rzekła Elenor.

Pani Baliardo pokiwała ze współczuciem głową. Zmarszczyła brwi, przez co wyglądały jak jedna linia.

– Mam szczerą nadzieję, że u was wszystko w porządku – powiedziała.

Dirk dostrzegł, jak siostry wymieniają spojrzenia, i lekko się zaniepokoił, nie skomentował tego jednak ani słowem. Nigdy nie przeżył takiej tragedii, może więc każda rodzina musi to na swój sposób przetrwać. Zresztą, nie miał pojęcia, co obecnie działo się w ich domu.

– Jakoś się trzymamy – oznajmiła po chwili Elenor, wyginając lekko usta w czymś, co zapewne miało być uśmiechem.

Dirk odchrząknął i oparł się o biurko, dzięki czemu bibliotekarka z powrotem skupiła na nim swoje spojrzenie.

– Zastanawialiśmy się, czy możemy przejrzeć stare wydania „Tygodnika Okręgowego” – zagadnął.

Pani Baliardo mogłaby się zdziwić, że w podobnej sprawie zgłasza się do niej tak młody człowiek, nie zrobiła tego jednak. Chodziło wszak o Dirka Brewera – chłopak już dawno się nauczył, że dzięki zwykłej życzliwości może zdziałać niemal wszystko. Ponadto jako przewodniczący samorządu szkolnego miał wiele zadań często wykraczających poza zwyczajowe obowiązki uczniów.

Bibliotekarka się podniosła i poprowadziła ich w głąb pomieszczenia, przechodząc obok półek z niekończącymi się rzędami książek. Panował tu lekki półmrok, bo pani Baliardo zasunęła żaluzje, zyskując dzięki temu odrobinę chłodu; a jako że prawdopodobnie była tu jedyną osobą, nie zapaliła jarzeniówek. Albo chciała nieco zaoszczędzić, albo po prostu zapomniała.

Podeszła prosto do dwóch maszyn ustawionych pod ścianą na starym podłużnym stole. Urządzenia były dość masywne, z pożółkłą już obudową – bibliotekarka skinęła na nich głową.

– Siadajcie. Które numery „Tygodnika” was interesują?

– Chyba styczeń i luty siedemdziesiątego ósmego – powiedziała Elenor. Uchwyciła spojrzenie Dirka i przytrzymała je na sobie. – Wtedy mniej więcej zmarła, prawda? Może przy nekrologu coś o niej napisali – wyjaśniła.

– Szukacie czegoś konkretnego? – dopytywała pani Baliardo, opierając się dłonią o oparcie krzesła.

– Tak – wyznał Dirk, odwracając wzrok od dziewczyny. – Chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś o pani Lorelei Garcii. To do niej należał ten stary dom za lasem.

– Och, tak, pamiętam ją. – Bibliotekarka zabębniła krótko palcami o oparcie. – Stara dziwaczka – przyznała, ale bez złośliwości. – Zmarła, jak byłam mała. Zaraz przyniosę wam te numery. – Odwróciła się i ruszyła przez pomieszczenie, zmierzając do archiwum gazet.

Elenor westchnęła.

– Mimo wszystko nie nastawiałabym się na nic konkretnego – powiedziała, zasiadając przed jednym z czytników. Jego ekran był wyłączony i matowy.

– Ale to dobry początek. – Dirk wzruszył ramionami i usiadł przy drugim urządzeniu. Wygiął palce, przez co trzasnęły mu stawy.

Potem czekali w milczeniu, póki nie wróciła pani Baliardo, niosąc pudełka z mikrofilmami.

– To styczeń i luty, tak jak prosiliście – powiedziała, kładąc je na stole obok. – Pokażę wam, jak je oglądać, dobrze?

Dirk odsunął się, aby dać jej trochę miejsca. Kobieta włożyła pierwsze opakowanie do maszyny i po chwili ekran rozbłysnął, wyświetlając w negatywie pierwszą stronę „Tygodnika Okręgowego”. Chłopak zobaczył u góry datę: 6 stycznia 1978 roku.

– Tu macie przyciski. – Bibliotekarka wskazała na urządzenie. – W ten sposób przewijacie strony.

– Zrozumiały – Dirk uśmiechnął się do niej i kobieta odwzajemniła się tym samym.

– Prawda? – zgodziła się, po czym podeszła do Elenor i uruchomiła również jej maszynę.

– Czy możemy je wymieniać sami? – zapytała dziewczyna. – Te mikrofilmy. Nie chcielibyśmy co chwilę pani kłopotać.

– W porządku – odparła pani Baliardo. – Ale gdybyście chcieli jakieś inne numery, to ja muszę wam je przynieść.

Dirk i Elenor potakująco pokiwali głowami.

Kobieta pokazała im więc, jak to zrobić, a potem ich zostawiła. Clementine oparła się biodrem o kant stołu i uśmiechnęła do nich, uwydatniając jeden dołeczek w policzku.

– Ciekawe, czy pozwoliłaby nam, gdybyś z nami nie był, Dirk.

– Tobie na pewno nie – mruknęła Elenor. – W porządku, czyli ile mamy sztuk?

Ginger podeszła do stołu i w milczeniu zaczęła je przeglądać. Na bokach opakowań wypisano numery seryjne i daty.

– Osiem – powiedział Dirk.

– Niedużo – stwierdziła najstarsza siostra Marsden, po czym zaczęła przeglądać swój egzemplarz; maszyna wydawała głośne dźwięki, kiedy przewijała kolejne slajdy.

Dirk poszedł w jej ślady i zagłębił się w małomiasteczkowych wydarzeniach z późnych lat siedemdziesiątych, poprzecinanych tymi, które rozegrały się poza Conetoe i kilkoma sąsiadującymi wioskami. Wszystko wyświetlano w negatywie, białe litery na czarnym tle.

Ginger odłożyła pudełka, układając je równo jedno obok drugiego, i rozejrzała się powoli po bibliotece. Wciąż miała kwiaty

we włosach, choć w świetle samotnej lampy nie wyglądały już tak kolorowo jak w pełnym słońcu.

Dirk obserwował ją kątem oka, bo siostry Marsden nieprzerwanie przyciągały jego wzrok. Zobaczył, jak dziewczyna przyglądała kwiecistą sukienkę i ruszyła między półki.

– Ginger, gdzie idziesz? – Elenor odwróciła się na krześle, żeby spojrzeć na siostrę.

– W porządku, ja za nią pójde. – Clementine poklepała ją po ramieniu, odrywając się od stołu. – Ty zostań i dalej szukaj prawdy. – Uśmiechnęła się i podążyła za najmłodszą siostrą.

Elenor pokręciła głową, z powrotem obracając się do ekranu. Z jej piersi wydobyło się pociągłe westchnienie.

– Jak zwykle wszystko robię ja.

Dirk nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Masz jeszcze mnie – przypomniał.

– No tak.

Chłopak zachichotał.

– Dirk i Elenor, poszukiwacze prawdy – stwierdził, przesuając kolejną stronę.

Rozdział 20

Ginger stała przed jednym z regałów i przyglądała się grzbietom książek, leniwie bujając się na piętach. Palce splotła za plecami, przez co wyglądała na jeszcze drobniejszą niż zwykle. Clementine podeszła do niej po cichu i spróbowała odgadnąć, na jaki tom patrzy.

– Czego szukasz? – zapytała po chwili.

– Jeszcze nie wiem – odparła łagodnie Ginger i wyciągnęła dłoń, aby sięgnąć po jedną z książek.

Clementine pochyliła się, żeby przeczytać tytuł.

– *Frankenstein*.

Ginger pokiwała lekko głową.

– To klasyka – rzekła z powagą. – Jeszcze jej nie czytałam.

– Byłam pewna, że tak. – Średnia z sióstr zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć. – Zresztą – uśmiechnęła się – na pewno chcesz to czytać? O potworze powołanym do życia, który później zaczyna mordować?

– To chyba nie jest o tym. – Ginger odłożyła książkę na półkę. – To raczej o braniu odpowiedzialności za swoje czyny.

– To też. – Clementine powoli ruszyła wzdłuż regału. – Ale głównie o potworze.

Ginger uśmiechnęła się szeroko, nie ukazując jednak zębów.

– Czytałaś ją?

Jej siostra odwróciła się, spoglądając na nią przez ramię.

– Może.

Ginger nie drążyła. Znowu spojrzała na książkę. Wyciągnęła dłoń, aby dotknąć palcami jej brzegu.

– Może potwór nie jest tak naprawdę potworem – stwierdziła po chwili.

Clementine niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami.

– W pewien sposób nie. Hej, zdradzam ci fabułę! – Skrzywiła się i umknęła między inne regały, a Ginger zniknęła jej z oczu.

Otoczyły ją reportaże i książki popularnonaukowe. Sięgnęła na oślep, wyciągając postrzępioną pozycję o zniszczonej białej okładce. *Myśli jako moc tworzenia rzeczywistości.*

– Pewnie – mruknęła Clem, przeciągając samogłoski i odłożyła tom na miejsce. – Gdyby tak było, nie miałabym problemów z matematyką.

Ginger wychyliła się zza regału.

– Co mówiłaś?

Clementine zrobiła minę niewiniątka.

– Nic.

* * *

Elenor zerknęła kątem oka na Dirka, na jego prosty profil, jasne rzęsy i złotą grzywkę opadającą na czoło. Nie chciała, aby przytapał ją na wpatrywaniu się w niego, więc jej spojrzenia były szybkie i krótkie – zresztą on i tak zajęty był przewijaniem kolejnych stron „Tygodnika”, próbując odnaleźć interesujące ich informacje.

Zastanawiała się, dlaczego właściwie im pomagał. Musiał mieć jakiś cel, nawet jeśli wszyscy uważali go za złotego chłopca Conetoe, miłego i pomocnego, angażującego się w sprawy, zupełnie jakby naprawdę go obchodziły.

Może Elenor była po prostu cyniczna. Woląca wierzyć, że przemawia przez nią realizm, lecz nie potrafiła pozbyć się tej pierwszej myśli.

Mimo wszystko Dirk dotąd nigdy nie sprawiał wrażenia, żeby cokolwiek łączyło go z siostrami Marsden. Zawsze odnosił się do nich z uprzejmością, pod tym względem Elenor nie miała mu nic do zarzucenia, jednak przez ostatnie lata dziewczyna rozmawiała z nim zaledwie kilka razy. Dlaczego więc teraz zachowywał się tak, jakby byli dobrymi znajomymi? Nie obracali się nawet w tym samym towarzystwie.

Jako przewodniczący samorządu w naturalny sposób zaczął przyjaźnić się z ludźmi, którzy też byli zaangażowani w administracyjne sprawy. Z Moirą Wood chociażby, główną fotografką, która w tym roku odpowiadała za kronikę szkolną. Albo z Kennym Callawayem, kapitanem drużyny koszykarskiej. Albo z Gią Bryant, która również zasiadała w samorządzie.

Elenor należała do kółka matematycznego, trzymała się jednak na uboczu szkolnych wydarzeń i przyjaźni – chciała tylko poszerzać wiedzę i zdobyć kilka punktów więcej, żeby dostać stypendium.

Dlaczego Dirk Brewer im pomaga?

Jej spojrzenie lekko przemknęło po imieniu i nazwisku Lorelei Garcii, białe litery na czarnym tle. Przełknęła ślinę.

– Znalazłam.

Chłopak zerwał się z miejsca i pochylił nad ramieniem Elenor. Dziewczyna poczuła zapach proszku do prania i mięty.

– I co? – zapytał.

Elenor była pewna, że usłyszała w jego głosie ekscytację.

– Według tego, co tu napisano, miała zawał. – Dziewczyna przesunęła się lekko, aby miał lepszy widok na ekran i sam mógł przeczytać. – Dobrze, że była zima, bo przeleżała tam około miesiąca.

– Wspomniano coś o niej samej? Albo o rysunkach w jej domu?

– Nie. – Elenor pokręciła głową. – Napisano tylko, kiedy jest pogrzeb. To znaczy, kiedy był pogrzeb.

Nagle Dirk wydał z siebie cichy dźwięk przypominający jęk. Położył jedną rękę na oparciu krzesła, na którym siedziała Elenor, a drugą na blacie stołu, i nachylił się do maszyny, zupełnie jakby ta miała wyjawić mu więcej, niż mówiły białe litery na czarnym tle.

– Może dalej coś jest.

Dziewczyna wzruszyła lekko ramionami.

– Zostało już tylko kilka stron, więc wątpię. Ale gazeta jest z siedemnastego lutego, została mi więc jeszcze jedna. – Wskazała ruchem głowy na pudełko stojące obok na blacie.

Dirk sięgnął po nie, podczas gdy Elenor przejrzała resztę stron; maszyna wydawała dźwięk za każdym razem, gdy przesuwiała kolejny slajd. Niestety, dziewczyna nie znalazła już ani słowa o Lorelei Garcii.

Razem z Dirkiem zamontowała kolejne mikrofilmy i ponownie zaczęła przeglądać plansze. Chłopak przybliżył się do niej i również utkwiał spojrzenie w ekranie, stukając przy tym ręką o blat.

– Przestań – Elenor przysunęła mu dłoń do stołu. – To mnie rozprasza.

– Wybacz.

Dziewczyna westchnęła, zabierając rękę.

– Jeśli cię to pocieszy, Garcia była dziwaczką, a ludzie uwielbiają historie o dziwakach. Na pewno coś o niej napisali.

– Jeszcze niedawno twierdziłaś, że lepiej nie nastawiać się na nic konkretnego.

Elenor spojrzała na chłopaka, w jego czarne oczy tak bardzo niepasujące do jasnego oblicza i złotych włosów.

– Dalej tak twierdzę – rzekła. – Napisanie o kimś artykułu nie jest równoznaczne z podaniem przydatnych informacji.

Przewinęła gazetę niemal do końca i w końcu znalazła poszukiwany artykuł. Nie zajmował nawet całej strony, część przeznaczona została na reklamę mikserów.

Zaczęła czytać na głos.

Rozdział 21

Do Conetoe przybyła kobieta – bardzo piękna; taka, za którą mężczyźni oglądali się na ulicy, o kruczoczarnych falujących włosach i szarych oczach. Wyszła za człowieka niebędącego nawet w połowie tak urodziwym i niezwykłym jak jego małżonka – ani wtedy, ani tym bardziej później nie liczył się w tej historii. To bardzo smutne, jeśli tylko się nad tym zastanowić – możliwe, że byłby znacznie szczęśliwszy u boku kogoś innego. Wybudował dom, w którym coś się wydarzyło – to jednak nie czas na to, aby dowiedzieć się więcej.

Lorelei miała kilka tajemnic, a jedną z nich była pewna umiejętność – kobieta widziała rzeczy niewidoczne dla innych. W część z nich by uwierzono, jeśli nie wtedy, to dzisiaj. Widziała chociażby barwy. Każdy dźwięk – od głośnego krzyku po łagodny szelest – powiązany był z kolorem. Kiedy przemawiał jej mąż, widziała piękny oliwkowy odcień rozchodzący się w powietrzu. Nigdy jej nie zdiagnozowano, lecz Lorelei cierpiała na synestezję, choć słowo „cierpieć” niezbyt dobrze odzwierciedlało to, co w istocie czuła kobieta. Gdyby była wierząca, uważałaby to za dar od Boga. Wierzyła jednak w wiele innych rzeczy, część z nich widziała na własne oczy, może więc była nieco szalona.

Pewnej nocy, kiedy miała dwadzieścia trzy lata, zobaczyła w głębi lasu ogniki. Podciągnąwszy koszulę nocną do samych ud, popędziła za nimi. Ostatecznie nigdy ich nie dogoniła, spotkała za to człowieka zakłętego w drzewo, który wyjawił jej, że las należał niegdyś do istoty starszej niż sam świat – póki nie zasnął i go nie utracił.

Nigdy się nie zastanawiała, dlaczego głos zaczarowanego drzewa nie miał koloru.

Gdy nad ranem w końcu wróciła do domu, zaczęła dostrzegać inne rzeczy, ślady ukrytego, niewidzialnego świata. Szary ludek mieszkający pod podłogą, szepczący i skrobiący drewno małymi pazurkami – nieustannie i bez wytchnienia; planetników z gracją tańczących wśród chmur; zmory o wykrzywionych twarzach, mieszkające w ciemności nocy i podchodzące pod sam próg; dusze zmarłych osób, niektóre tak samotne, że marzą tylko o tym, aby ich wysłuchano.

Lorelei Garcia może rzeczywiście była szalona.

Dirk i Elenor nie dowiedzieli się z artykułu żadnej z tych rzeczy.

Dowiedzieli się za to, że kobieta w istocie była miejscową dziwaczką, której pogrzeb odbył się w 26 lutego 1978 roku. Lorelei Garcia nie miała dzieci, mąż już dawno odszedł, została tylko dalsza rodzina, z którą kobieta nie utrzymywała kontaktu.

Opisano również rysunki w domostwie Lorelei.

Choć przez lata pani Garcia strzegła progu swojego domu, tamtym razem przekroczyła go nie tylko Alina Sanders, kobieta, która ją znalazła, ale również dwóch policjantów oraz ratownicy pogotowia, choć w tym przypadku jasne było, że nie ma już kogo ratować. Oni wszyscy zobaczyli malunki opisane później przez dziennikarza, ale na nikim nie zrobiły takiego wrażenia jak na Dirku. Wszyscy pozostali – po części również siostry Marsden – traktowali je jedynie jako kolejne cegiełki składające się na szaleństwo Lorelei Garcii.

Dirk jednak dostrzegał w nich coś więcej. Albo po prostu chciał to dostrzec.

Podeksytowanie walczyło z rozczarowaniem, chłopak poczuł, jak potnieją mu ręce. Powoli wytarł je w spodenki, mając nadzieję, że Elenor tego nie zauważy.

– Może poproszę o inne numery – powiedział w końcu.

Dziewczyna utkwiała w nim uważne spojrzenie. Ta powaga i inteligencja nie pasowały do tak młodej osoby. Nagle Dirk poczuł się nagi, zupełnie jakby Elenor potrafiła przejrzeć jego szalejące z tęsknoty serce.

– Dlaczego to robisz? – zapytała szeptem, który wydawał się znacznie głośniejszy wśród bibliotecznej ciszy.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o Lorelei Garcii – odpowiedział Dirk, ważąc słowa, choć sam nie wiedział po co.

– Ale dlaczego? – naciskała Elenor.

Wtedy Dirk to poczuł. Potrzebę szczerości.

– Bo to jest... – Zawahał się, czując, jak gorąco bije go po twarzy. Odchrząknął i zaczął raz jeszcze, wbijając wzrok w nadal wyświetlany artykuł, białe litery na czarnym tle. – Jak czytasz dobrą książkę fantasy, żałujesz czasem, że to, co się w niej dzieje, nie jest prawdziwe?

Elenor zastanowiła się przez chwilę.

– Czasami. Ale tak ma chyba każdy – dodała, jakby próbowała się usprawiedliwić.

Dirk pokiwał głową.

– Ja mam tak cały czas. Chorobliwie. – Zaciśnął pięść na złotych włosach i lekko pociągnął. – Bez przerwy myślę o tym, że wszystkie te niezwykle, nieprawdopodobne rzeczy wcale nie są prawdziwe. Ale kiedy zobaczyłem rysunki w jej domu, wyraźnie poczułem, że być może ta niezwykłość naprawdę istnieje. Dlatego muszę się jej trzymać. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby tak po prostu mi uleciała.

Odwrócił się od ekranu i z powrotem utkwił spojrzenie w twarzy Elenor; patrzył na jej ciemną skórę, pofalowane brunatne włosy

i uważne oczy łani. Nagle jego wzrok pobłądził i zatrzymał się na ramionach dziewczyny, piegowatych od słońca.

– Czy mówię z sensem? – zapytał.

– Mówisz – zapewniła Elenor. – Oczywiście, że mówisz.

Chłopak odetchnął, przymykając na moment oczy. Zaraz je jednak odtworzył, patrząc na dziewczynę.

– Mam przynieść nowe numery?

Elenor z westchnieniem oparła brodę na dłoni.

– Jedynym zaczepieniem w rzeczywistości pozostała jej śmierć. Nie była ważną osobą, żeby o niej pisać.

Dirk zagryzł dolną wargę.

– To może ślub?

Dziewczyna z powrotem usiadła prosto.

– Znasz jego datę?

– Tata wspominał coś o trzydziestym piątym. Ale nic więcej nie wiem.

– Więc stawiałabym na wiosnę lub lato.

Dirk pokiwał energicznie głową, przyznając jej rację, po czym wstał i ruszył w stronę pani Baliardo.

* * *

– I co, znaleźliście coś? – zapytała Clementine, przysiadając na brzegu stołu.

Elenor potarła policzki, czuła się zmęczona.

– Niewiele – przyznała.

Opowiedziała siostrze o wcześniejszym artykule, tym napisanym po śmierci Lorelei Garcii, oraz o drobnych informacjach, które w nim zawarto. W tej chwili wraz z Dirkiem szukała informacji o ślubie kobiety, ale bezskutecznie.

Dirk oparł się czołem o blat stołu.

– To jak szukanie igły w stogu siana – powiedział w stronę podłogi. – Co miesiąc wychodzą mniej więcej cztery numery. W dodatku mamy okres niecałych pięćdziesięciu lat, a to daje nam... mnóstwo gazet do przejrzania.

– Dwa tysiące dwieście osiemdziesiąt osiem – wtrąciła Elenor. – W przybliżeniu.

Dirk jęknął.

– I nie mamy gwarancji, że cokolwiek o niej napisali – rzekła Clementine, chodząc tam i z powrotem. – To okręgowa gazeta. Co innego, gdyby wychodziła tylko dla Conetoe...

– Mówiłam, że nie mamy co liczyć na konkrety. – Elenor wzruszyła ramionami.

– Więc po co to było? – zapytał żałośnie Dirk, podnosząc głowę.

– Bo ludzie przypominają sobie o innych, kiedy ci umierają – odparła Elenor i w jej głosie dał się słyszeć cierpki ton. – Mimo wszystko liczyłam na to, że wspomnieli o niej przy nekrologu. Ale teraz... – Spojrzała na jesienne wydanie „Tygodnika”. – Nie wiem, czy to ma jakiś sens. Tak na dobrą sprawę jesteśmy tylko bandą nastolatków, która nie miała lepszego pomysłu i poszła do biblioteki – westchnęła. – Powinniśmy pomyśleć nad jakimś innym rozwiązaniem.

– Zawsze można zapytać jeszcze kogoś starszego, co o niej wie – wtrąciła cicho Ginger i nieśmiało poklepała chłopaka po ramieniu. – Pani Lorelei była tajemnicza. Myślę, że ktoś, kto żył w jej sąsiedztwie, ma znacznie większe rozeznanie niż jakiś dziennikarz, który pewnie nawet nie mieszkał w Conetoe.

– Pytałem przecież taty – przypomniał Dirk.

– Ale on był wtedy dzieckiem. Myślę, że osoba, która w tamtych czasach była już dorosła, może wiedzieć więcej. I kto wie, może znała panią Lorelei jeszcze za młodu, zanim stała się szalona.

Chłopak odetchnął i się wyprostował.

– W porządku. – Spojrzał na dziewczynę i odwzajemnił jej nieśmiały uśmiech. – To wciąż brzmi, jakbyśmy byli tylko bandą nastolatków, która chwyta się każdego pomysłu, ale wchodzę w to.

Uśmiech Ginger stał się nieco szerszy.

– Ale najpierw chcę coś zjeść – wtrąciła Clementine. – Cokolwiek. Albo nie, chcę coś niezdrowego.

Dirk podniósł się z krzesła.

– Ja stawiam.

Rozdział 22

Elenor wytarła usta serwetką, po czym zmięta ją w kulkę i rzuciła w stronę Clementine. Ta próbowała ją złapać, ale ostatecznie papierowy pocisk wymknął jej się z rąk i upadł na podłogę. Dziewczyna schyliła się z głuchym jękiem, aby go podnieść.

Siedzieli w kafejce, przy stoliku tuż przy witrynie, dzięki czemu mieli całkiem niezły widok na ulicę – niemal potrafili dostrzec gorące powietrze falujące nad asfaltem. Przed nimi na blacie stały szklanki po koktajlach i talerzyki po łakociach, które zjedli zamiast posiłku. Nie potrafili stwierdzić, która jest godzina. Słońce niemal dosięgnęło szczytu nieboskłonu, było bardzo gorąco.

Zastanawiali się, do kogo mogliby się udać, aby wypytać o Lorelei Garcję.

– Może pani Sanders – zaproponowała Elenor. – To ona ją znalazła, poza tym pani Garcia była jej stałą klientką.

– Tak, ale zmarła pięć lat temu. – Dirk oparł brodę na dłoni.

– Kurde, ta kobieta musiała się z kimś przyjaźnić – mruknęła Clementine, wrzucając zmiętą serwetkę do szklanki. – Przynajmniej w młodości.

– Myślę, że po prostu powinniśmy podejść do jakiejś miłej starowinki – wtrąciła rozważnie Ginger. – Na przykład pani Goldenmayer.

Pozostali wymienili spojrzenia, Clementine wzruszyła w końcu ramionami.

– Może być i ona. Najwyżej wskaże nam odpowiednią osobę, jeśli nie będzie nic wiedziała.

Dirk podniósł się, ostrożnie odsuwając krzesło.

– To co, idziemy?

* * *

Znowu znaleźli się na ulicy pełnej domków jednorodzinnych, przy których rosły wierzby płaczące. Przycięto je, aby nie przeszkadzały przechodniom, jeśli jednak ktoś uniósłby dłonie, mógł dotknąć ich giętkich gałązek. Ginger zerwała kilka i wplotła je we włosy.

Przeszli kawałek, przyglądając się domkom i skrzynkom na listy pomalowanym pod kolor płotów. W jednym z tych budynków mieszkała Doreen Goldenmayer, blisko dziewięćdziesięcioletnia kobieta, która w latach młodości zajmowała się pisaniem encyklopedii ptaków.

Pani Doreen uwielbiała ptaki.

Już z daleka usłyszeli piski papużek wystawionych na taras, aby pooddychały trochę świeżym powietrzem. Obok, na wiklinowej ławce ustawionej w cieniu wiaty, siedziała ich właścicielka, czytając *Żywoty Świętych Pańskich* w czarno-białej, dość zniszczonej okładce, na której widniało coś, co przypominało nieco fragment jakiejś rzeźby. Siostry Marsden oraz Dirk przeszli przez uchyloną furtkę i ruszyli wybrukowaną ścieżką biegnącą pomiędzy budlejami o białych, różowych oraz czerwonych kwiatach, po czym wspięli się po kilku stopniach prowadzących na taras. Na ich widok kobieta uśmiechnęła się i odłożyła czytaną książkę na kolana.

– Spójrzcie, mamy gości! – zawołała do swoich papużek.

– Dzień dobry – przywitał się Dirk, podchodząc bliżej, a dziewczyny uczyniły po chwili to samo. – Śliczne ptaki.

– Prawda? To piony niebieskogłowe. Kiedyś miałam też kakadu i ary, ale obecnie nie mam już tyle siły, aby się nimi zajmować. –

Pani Doreen uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Piony to bardzo łagodne ptaszyny.

Ginger zbliżyła się do klatki, w której siedziało kilka niewielkich papużek o zielonych tułowach i niebieskich głowach. Stworzenia odwzajemniły spojrzenie, siedząc spokojnie na szczebelkach.

Drzwi wejściowe stanęły otworem i ze środka wychylił się mężczyzna w średnim wieku. Miał duże zakola nad czołem, a na nosie okulary w drucianej oprawie.

– Witajcie, dzieciaki – przywitał się, wciąż trzymając dłoń na klamce. – Słyszałem głosy.

– Mamy gości. Może podałybyś lemoniady, synu? – poprosiła pani Doreen. – Jest strasznie gorąco.

Mężczyzna kiwnął głową i zniknął w środku.

– Dziękujemy. – Dirk przysiadł się do kobiety na ławce i wyciągnął przed siebie nogi.

Elenor usiadła obok niego, Clementine swobodnie oparła się o balustradę tarasu, a Ginger wciąż przyglądała się papużkom, stukając delikatnie w kratę klatki.

– Przyszliśmy o coś zapytać, jeśli pani nie przeszkadzamy – zaczął chłopak.

– Ależ oczywiście, że nie przeszkadzacie. – Kobieta wygięła usta w radosnym uśmiechu.

Jej skóra wyglądała jak pergamin, była cienka i blada, zupełnie jakby zaraz miała się podrzeć. Niebieskie oczy skrywały się za grubymi okularami, a twarz otaczały krótko przycięte białe włosy. Z powodu szerokiej Inianej koszuli starsza pani wydawała się jeszcze okrąglejsza.

– Wierzcie mi, gaduły takie jak ja potrzebują kogoś, do kogo mogłyby paplać – zachichotała. – Tylko uważajcie, o co pytacie,

bo jeśli wasza sprawa dotyczy ornitologii, zanudzę was aż do wieczora.

Dirk zaśmiał się swobodnie, przyglądając dłońmi przód koszulki o pstrokatym, kolorowym wzorze.

– Będziemy o tym pamiętać – powiedział przyjaznym tonem, nie przestając się uśmiechać. – Ale przyszliśmy z czymś zupełnie innym. Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś o Lorelei Garcii i pomyśleliśmy, że być może w młodości się z nią pani przyjaźniła.

Kobieta zaśmiała się cicho, założyła stronę zakładką i odłożyła książkę na wiklinowy stolik stojący obok ławki.

– Wątpię, aby ktokolwiek się z nią przyjaźnił. Nie wiem nawet, czy jej mąż był dla niej przyjacielem.

– Nie kochali się? – zapytała Elenor, siedząc nieco bokiem na wiklinowej ławie obitej miękką poduchą, dzięki czemu miała na wszystkich dobry widok.

– Och, on ją kochał na pewno. – Starowinka uśmiechnęła się niemal przepraszająco. – Mam wątpliwości co do niej.

Nie powiedziała nic więcej, bo właśnie na taras wszedł jej syn, niosąc tacę z dzbanem pełnym żółtawego soku i kilkoma szklankami. Postawił ją na stoliku, tuż obok książki.

– Dziękuję ci, synu – powiedziała kobieta.

Mężczyzna uśmiechnął się tylko i wrócił do domu.

– Dirk, bądź tak miły i rozlej nam tej lemoniady.

– Oczywiście.

Kiedy to robił, Ginger oderwała się od klatki z ptakami i zbliżyła do starowinki.

– Ale chyba musiała kiedyś go kochać, skoro za niego wyszła – powiedziała nieśmiało, delikatnie przekrzywiając głowę na bok.

Pani Doreen cicho westchnęła.

– To były nieco inne czasy – odparła w końcu. – Nie chcę uchodzić za znawczynię, bo to tylko domysły, ale sądzę, że Lorelei chciała po prostu wyrwać się z domu. Była naprawdę młodzieńca, gdy wyszła za męża, chyba niewiele starsza od was.

– Jak dobrze ją pani znała? – zapytał Dirk, podając każdej po szklance. Sok był tak zimny, że na szkle zaczęły się pojawiać kropelki wody.

Kobieta wzięła łyk lemoniady, prawdopodobnie chcąc dać sobie nieco czasu do namysłu. Dirk z powrotem zajął miejsce obok niej na wiklinowej ławce, Elenor przesunęła się, dając mu nieco więcej przestrzeni. Włosy lepiły jej się do szyi i Dirk z trudem się zmusił, żeby nie odgarnąć ich do tyłu, ścierając pot dłonią.

– Nie – powiedziała w końcu pani Doreen, kręcąc głową. – Swego czasu myślałam, że znam, ale to nigdy nie była prawda. Po prostu szanowała moją pracę i często o niej rozmawialiśmy, za co naprawdę ją ceniłam. Wiecie, wtedy kobieta miała po prostu siedzieć w domu i opiekować się dziećmi, a nie zajmować ornitologią i pisać encyklopedie.

Clementine przycisnęła brzeg szklanki do brody.

– To musiało być bardzo wkurzające.

Pani Doreen zachichotała.

– A żebyś wiedziała. Ale było, minęło, przyszłście porozmawiać o Lorelei, a nie o moim szanownym zadku. Co chcecie wiedzieć? Może będę znała odpowiedź.

Dirk odchrząknął, zastanawiając się nad pytaniem, ale zanim znalazł słowa, odezwała się Clementine:

– Dlaczego taka była?

Bez owijania w bawełnę; proste, zrozumiałe pytanie, zbyt oczywiste, aby wypowiadać je na głos.

Staruszka parsknęła krótkim, cichym śmiechem.

– Liczyłam na coś zdecydowanie prostszego.

– Mówią, że oszalała z samotności – wtrącił Dirk.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było. – Kobieta kiwnęła lekko głową, ścierając kropelki spływające po boku trzymanej w dłoni szklanki. – Tyle że stałoby się to na jej własne życzenie. Nie wszyscy unikali Lorelei. Ja tego nie robiłam. To ona nie chciała nikogo wpuszczać do swojego życia, szczególnie po śmierci męża.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwała Elenor:

– Jaka była? Tak prywatnie, nie licząc tych wszystkich pogłosek.

Kobieta odłożyła na tacę szklankę, zastanawiając się przez chwilę. Wszyscy wpatrywali się w jej palce, suche i powyginane przez czas, oraz na wyraźnie zarysowane niebieskie żyłki pod bladą skórą. Na serdecznym palcu wciąż nosiła złotą obrączkę.

– Mogę powiedzieć tylko, jaka wydawała się z zewnątrz – odparła w końcu z lekkim wahaniem. – Myślę, że wciąż nosiła maskę, choć bardzo dobrze to ukrywała. Sama się nabrałam. – Znowu zamilkła, zbierając myśli. – Lorelei była naprawdę miła i uprzejma, ale jednocześnie nigdy nie pozwoliła sobie wejść na głowę. Z początku wydawała się otwartą, bardzo pozytywną osobą, ale kiedy teraz o tym myślę, zdaję sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nigdy nie mówiła o sobie. Zwykle rozmawiałyśmy o mojej pracy, o ptakach... i tak ze wszystkimi. Potem zaczęła coraz częściej zaszywać się w swoim domu, a ja miałam na głowie własne obowiązki... No i jakoś tak zleciało.

Kobieta spojrzała na swój ogród skąpany w kwiatach. Z nieba wciąż lał się żar, ubrania lepiły się do ciała i nic nie zapowiadało tego, żeby następnego dnia miało się coś zmienić.

– Gdzie jest jej rodzina? – zapytała cicho Elenor, wyrrywając tym samym staruszkę z zamyślenia.

– Rodzina Garcíów wyniosła się z Conetoe w latach sześćdziesiątych, ale Lorelei nigdy nie utrzymywała z nimi bliskiego kontaktu, nawet za życia męża. A jej własna... Cóż, pewnie porozjeżdżali się po świecie. Widziałam ich tylko raz, kiedy przyjechali do Conetoe pozałatwiać sprawy związane z jej śmiercią.

– Pewnie o nich nie wspominała – rzekła Elenor, bardziej stwierdzając fakt, niż zadając pytanie.

Pani Doreen kiwnęła głową i przez bardzo krótką chwilę naprawdę wyglądała na swój wiek: zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się, a niebieskie wodniste oczy pokryły mgłą, kiedy kobieta zapatrzyła się w dal. Mimo okrągłej postury wydawała się naprawdę krucha, jakby mógłby ją złamać najmniejszy dotyk.

– Bardzo trudno mówić o kimś takim jak ona – rzekła. – Wszystkie plotki i niedopowiedzenia narosły tak bardzo, że całkiem przykryły jej osobę. Już wtedy wydawała się dziwna, a co dopiero po dwudziestu latach!

– Ale podobno w każdej historii jest ziarnko prawdy – wtrąciła Clementine.

– Nie wykluczam tego. Właściwie, patrząc na Lorelei, bardzo łatwo przyznać temu rację. – Kobieta się uśmiechnęła, a po chwili z jej gardła wydobył się chichot. – O tak, musiała być trochę szalona.

Dirk odchrząknął, po raz kolejny przyglądając swoją koszulkę.

– Czy wie pani coś na temat rysunków, które widnieją na ścianach jej domu?

Pani Doreen zmrużyła oczy, przyglądając się chłopakowi.

– Masz na myśli te rysunki jeleni?

– Cóż, chyba można je nazwać jeleniami. Widziała je pani?

– Nie. – Kobieta potrząsnęła gwałtownie głową. – Lorelei ceniła swoją prywatność, więc uznałam, że nie powinnam przychodzić

do domu po jej śmierci, skoro nie chciała mnie tam nawet za życia. Ale słyszałam o nich.

– Dlaczego je narysowała? – dopytywał Dirk, próbując ukryć w swoim głosie nutę podekscytowania.

Pani Doreen się roześmiała.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Może gdyby namalowała ptaki... Nie znam się na jeleniach. Poza tym czasy, w których mogłabym naciągnąć prawdę i powiedzieć: „Tak, znam ją”, minęły już dawno temu. – Wyciągnęła dłoń i poklepała Dirka po ramieniu. – Nie wiem, czego dokładnie chcesz się dowiedzieć, ale obawiam się, że prawda umarła wraz z Lorelei. Nikomu się nie zwierzała, mało tego, wszystkich trzymała na dystans, nawet za pomocą strzelby – zachichotała znowu. – Tak, bywała dość ekscentryczna, nie da się ukryć.

Dirk zerknął na Clementine. Dziewczyna również na niego patrzyła i myślała prawdopodobnie o tym samym. Skoro Lorelei Garcia nikomu się nie zwierzała, to Mattiasowi Marsdenowi również nie, a to oznaczało, że wcale się nie przyjaźnili. Oczywiście pani Doreen mogła się mylić, bo tamta dwójka równie dobrze mogła po prostu nie chwalić się swoją znajomością, szczególnie przed obcymi z miasteczka.

Jakie było jednak prawdopodobieństwo takiej sytuacji?

Dirk odwrócił wzrok, nie chcąc przyznać nawet przed samym sobą, że w tej historii Mattias Marsden jakby przestał go interesować. Wujek dziewczyn przewrócił się i nieszczęśliwie uderzył o coś głową – jakie miało znaczenie, czy szedł wtedy do Lorelei Garcii, czy nie? Tajemnicza właścicielka tamtego domu za lasem była jednak intrygująca i Dirk naprawdę chciał się dowiedzieć, co takiego skrywała. Co oznaczają te straszne rysunki

przedstawiające bestię o jeleniej czaszce zamiast głowy i porożu porośniętym bluszczem? Co takiego widziała w swoim szaleństwie?

A co, jeśli Mattiasa Marsdena także ciekawiła jej osoba? Może również chciał poznać prawdę i dowiedzieć się, co skrywała w domu, do którego nigdy nie wpuszczała gości? – przyszło mu niespodziewanie do głowy.

– Przykro mi – dodała jeszcze pani Doreen, ponownie poklepując go po ramieniu. Uśmiechnęła się pokrzepiająco, ale chłopak wcale nie czuł się pocieszony.

– W porządku – odparł mimo to, zmuszając się do uśmiechu.

Nad białymi, czerwonymi i różowymi kwiatami fruwało coraz więcej pszczół. Dirk wodził za nimi spojrzeniem, patrząc na ich powolny taniec – wydawały się równie ociężałe jak cały ten dzień.

– To naprawdę smutne – wtrąciła łagodnie Ginger, tym samym przywołując chłopaka do rzeczywistości. W dłoni ścisnęła pustą szklankę. – Kiedy już za życia się blednie, a potem prawie nic po sobie nie zostawia.

Papużki za jej plecami cicho zapiszczały, zupełnie jakby się z nią zgadzały.

– Malujesz nam tu ciemnymi barwami – stwierdziła pani Doreen.

– Poza tym tak się dzieje z niemal wszystkimi, prędzej czy później znikamy. Tylko niektóre osoby zostawiają po sobie trwalszy ślad. Ale z jednym się zgodzę: Lorelei niknęła już za życia, szczególnie kiedy zaczęło ją otaczać coraz więcej półprawd.

Dirk przymknął na chwilę oczy.

– Musi być jednak ktoś, kto ją naprawdę znał – bąknął ostrożnie.

– Przynajmniej jedna osoba.

– Chyba nigdy nie byłeś samotny – mruknęła Elenor. – To nie jest takie proste.

Chłopak zamilkł, onieśmielony. W jej tonie było coś... przygnębiającego. Zacisnął i rozluźnił dłonie, rozkładając je na kolanach, nie chcąc patrzeć na siedzącą obok niego dziewczynę.

– Powiedźcie, dlaczego właściwie zainteresowaliście się Lorelei – wtrąciła pani Doreen. – Mogę o to zapytać, co?

Dirk wzruszył ramionami, przywołując na usta uśmiech, i odwrócił się do staruszki.

– Chyba bez powodu, z czystej ciekawości.

Rozdział 23

Nadeszła złota godzina, wszystko miało więc ten szczególny nasycony kolor bijący od zachodzącego słońca. Ginger uwielbiała tę porę i czasem żałowała, że takich barw nie przybiera również świt – szkoda, że tak pięknie dzień się kończy, zamiast zaczynać.

Siedzieli na krawężniku, jedno obok drugiego, i nie odzywali się do siebie, zapewne zbierając myśli.

– Powinnyśmy już wracać do domu – powiedziała w pewnym momencie Elenor.

– Ja też – mruknął Dirk. Opierał łokcie o kolana i wpatrywał się w coś przed sobą.

Ginger chciała go pocieszyć, nie miała jednak pojęcia, jak to zrobić; wyciągnęła więc dłoń i po prostu poklepała go po ramieniu.

Żadne z nich wciąż nie ruszało się z miejsca. Ginger nie miała pewności, dlaczego Dirk się ociągał, wiedziała jednak, z jakiego powodu one przekładały powrót do domu.

Co będzie, jeśli tata wciąż jest pijany?

Dziewczyna wciąż pamiętała wczesne lata dzieciństwa, kiedy ten widok stanowił codzienność. Tak bardzo chciała, aby tata wreszcie się otrząsnął – życzyła mu tego podczas kolacji wigilijnej, a on tylko kiwał głową, podczas gdy jego twarz pozostawała nieprzenikniona. Kilkuletnia wtedy Ginger nie miała pojęcia, czy ojciec traktuje jej słowa poważnie.

Żadna z sióstr nie potrafiła powiedzieć, dlaczego pił – co tak bardzo ciążyło mu na sercu, że zaczął zaglądać do butelki? Zaginięcie brata i brak jakiegokolwiek wskazówki, co mogłoby mu się przytrafić, czy może odejście żony? Ginger miała zaledwie dziewięć lat, gdy

Mya Marsden porzuciła rodzinę. Prawie jej nie pamiętała. Eric został z trójką malutkich dzieci i ledwie zaczęłą budowę domu w sąsiednim miasteczku, który ostatecznie musiał odsprzedać. Ginger nie miała pojęcia, co byłoby z nimi, gdyby nie pomoc Lisy.

Elenor wstała, otrzepując ogrodniczki.

– Naprawdę musimy już iść.

Dirk również się podniósł.

– W porządku – powiedział, uśmiechając się, ale Ginger miała wrażenie, jakby się do tego zmuszał. – Odprowadzić was?

Najstarsza siostra lekko wygięła usta.

– Nie trzeba – uznała. – A ciebie?

Dirk zaśmiał się cicho i dopiero ten chichot wydał się Ginger szczerzy.

– Myślę, że dam sobie radę. Nie mam daleko. – Kiwnął głową na dom stojący nieco dalej w głębi ulicy.

To był ładny jednorodzinny domek z zadbanym ogrodem, który otaczał schludny, drewniany płot. Działki nie porastało aż tyle krzewów z kwiatami jak u pani Doreen, Ginger podobały się jednak rośliny, jakie w nim rosły: berberysy, od zielonych, po ciemnobordowe odmiany, bukszpany oraz hortensje. Ogród tonął w zieleni.

– Serio pytam – rzekła cicho Elenor. – Na pewno wszystko w porządku?

Dirk zaczął cofać się tyłem, a na jego twarzy wciąż gościł uśmiech, lecz Ginger nie miała już pojęcia, na ile był szczerzy, a na ile udawany.

– Na pewno – powiedział. – Widzimy się jutro?

Elenor kiwnęła głową, a chłopak odwrócił się i zwałiej ruszył w stronę domu.

– O co chodzi? – zapytała Ginger. – Dlaczego jest taki smutny? Bo nie dowiedział się więcej o Lorelei Garcii?

– Właśnie tak – odpowiedziała Clementine, wciąż wpatrując się w plecy chłopaka. – Chyba naprawdę go zafascynowała.

– Bo jest fascynująca – wtrąciła Elenor.

Ginger spojrzała na nią, a jej starsza siostra z nieustępliwością odwzajemniła spojrzenie. W jej oczach czaiła się taka powaga, że dziewczyna tylko kiwnęła głową, po czym chwyciła ją za ramię i pociągnęła, ruszając wzdłuż chodnika.

– Może jak przestaniemy na siłę szukać, odpowiedź sama przyjdzie – powiedziała pocieszająco. – To jak z szukaniem zgubionej rzeczy.

Clementine zarzuciła jej ramię przez szyję.

– Na pewno.

* * *

Droga, która prowadziła od miasteczka do domu Marsdenów, biegła głównie między polami i łąkami, ale na krótkim odcinku, tuż przed dotarciem na miejsce, otaczały ją drzewa, zupełnie jakby las się rozrastał, próbując pochłonąć jak najwięcej przestrzeni. Siostry otulił półmrok i zapach poszycia, gdzieś w oddali zahukała sowa błotna o żółtych ślepiach i smukłym, brunatnym ciele – zupełnie jakby wszystko, co żyło w gąszczu i w jego pobliżu, nie mogło być innego koloru.

Jakiś czas potem zobaczyły dom wyłaniający się spomiędzy drzew. Zbliżyły się, a wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie, popchnięte przez Erica Marsdena. Wyglądał na wściekłego, policzki miał czerwone, a oczy dzikie.

– Tato! – westchnęła zaskoczona Elenor.

Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie na stopniach i wściekłość na moment uleciała, siostry wciąż mogły ją jednak dostrzec, jak tli się w jego spojrzeniu. Nic nie rozumiały.

– Dziewczynki. – Eric poklepał po głowie najbliższej stojącą córkę, Clementine. Choć w geście tym na ogół była pewna czułość, tym razem wydawał się on szybki i wymuszony, niemal szorstki. Marsden ledwie zerknął w stronę dziewczynek. Wciąż był zły, usta zaciskał w wąską linię.

– Tato... – zaczęła Elenor, ale on już nie słuchał, ominął je i ruszył podjazdem.

Siostry patrzyły, jak odchodzi, a złe przeczucie stawało się coraz cięższe.

Clementine z wahaniem, cicho weszła do środka, obydwie siostry podążyły w ślad za nią.

– Nie usprawiedliwiał go! – warknęła z salonu ciocia Lisa.

– Nie usprawiedliwiam – odparł Charlie.

Również był zły, co wydawało się tak dziwne i nie na miejscu, że dziewczyny skuliły się pod ścianą. Ich wuj to oaza spokoju i dobrego humoru, nawet w czasach, kiedy miał prawo do smutku. Zawsze to on pocieszał i dodawał otuchy.

– Po prostu nie uważam, żeby to była dobra droga! – Usłyszały jego głos.

– No, to jaka jest ta dobra droga według ciebie, co? Wciąż ma córki, które na niego patrzą!

– Wiem, kochanie, wiem. Ale krzyki i wypominanie w niczym mu nie pomogą!

Lisa parsknęła; coś trzasnęło, możliwe, że uderzyła dłonią o stół.

– A co ty możesz wiedzieć?! Nie było cię tu, kiedy zalewał się w trupa, zostawiając pod moją opieką małe dzieci! Mam mu prawo, kurwa, wypominać! Ja nie mogę mieć nawet jednego, a on ma

trójkę i nie jest w stanie wziąć się w garść. – Głos kobiety się załamał, jakby była bliska płaczu.

– Skarbie...

– Nie! Mam dość, rozumiesz? Ja też straciłam brata, a ten zachowuje się tak, jakby tylko on cierpiał! Ja pożegnałam znacznie więcej i...

– To nie są zawody, Liso.

Z gardła ciotki wydobył się dziwny dźwięk. Siostry wciąż stały w korytarzu jak sparaliżowane – nie potrafiły się ruszyć, choć doskonale wiedziały, że nie powinny podsłuchiwać.

– No tak, co ty możesz wiedzieć?! Jak facet może wiedzieć, z czym wiąże się poronienie...

– Nie mówisz tego poważnie. To były też moje dzieci!

Lisa chciała coś powiedzieć, ale Charlie wszedł jej w słowo.

– Wynoś się, zanim powiesz coś więcej. Idź i ochłoń, bo nie chcę więcej słuchać tych bzdetów.

– Świetnie! Ja też mam cię dość!

Lisa wyleciała jak furia z salonu i jej spojrzenie padło na dziewczyny. Kobieta jeszcze mocniej poczerwieniała, nie odezwała się jednak słowem; zamiast tego odwróciła się i ruszyła korytarzem, aby zaraz potem wypaść przez tylne drzwi na zewnątrz.

Elenor zrobiła kilka kroków w przód i zajrzała do salonu. Ginger uczyniła to samo i zobaczyła wujka stojącego na środku pokoju, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach oraz spojrzeniem utkwionym we własnych stopach.

– Charlie? – zapytała cicho Ginger.

Mężczyzna uniósł wzrok i odwrócił się do dziewczyn.

– Długo tu stoicie? – zapytał.

Siostry popatrzyły po sobie.

– To zależy, co rozumiesz przez słowo „długo” – odparła skruszona Elenor.

Charlie westchnął.

– Jesteście głodne? Bo ja tak. – Ominął je i ruszył w stronę kuchni. – Chodźcie, coś wam przygotuję do jedzenia.

Dziewczyny podążyły za nim i rozsiadły się przy stole, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Ich wuj wciąż wydawał się przygnębiony, ale krzątając się przy blacie, jak zawsze próbował nie dać po sobie niczego poznać.

Ginger przypominało to okres po każdym poronieniu ciotki Lisy. Czuła się zagubiona. Wstała i podeszła do wuja, aby mu pomóc, a jej siostry po chwili uczyniły to samo. Wspólnie zrobili omlety z warzywami pokrojonymi w kostkę, po czym z powrotem zasiedli przy stole, aby zjeść. Przez cały ten czas nie zamienili ze sobą ani jednego słowa i Ginger nie miała pewności, czy to jej przeszkadza.

Z wahaniem spojrzała na wuja.

– Wiesz, że ona wcale tak nie myśli, prawda?

Charlie się uśmiechnął.

– Oczywiście, że wiem. To po prostu ciężki czas, dla nas wszystkich. Ale jakoś to przetrwamy, musimy się wspierać.

Dziewczyna próbowała nie myśleć o tym, gdzie teraz podziewa się tata. Ciotka miała rację – powinien tu być, przynajmniej dla nich.

Nie powiedziała tego jednak na głos.

* * *

Złota godzina już dawno minęła, cienie robiły się coraz dłuższe, zapowiadając noc. Choć temperatura nieco spadła, powietrze wciąż było ciężkie i przytłaczające; w dalszym ciągu nie zapowiadało się

na deszcz. Od strony lasu dochodził nieprzerwany szept i Ginger słuchała go uważnie, bardziej niż zwykle pragnąc go zrozumieć.

Gdyby tylko znała ich język, mogłaby je zapytać, co powinna zrobić. Drzewa żyły znacznie dłużej niż jakikolwiek Marsden mieszkający w tym domu – były starsze nawet od babuni, mogły więc znać odpowiedzi na tak wiele pytań. Nawet na te, do których Ginger nie dorosła jeszcze na tyle, aby je zadać.

Nie potrafiła ich jednak zrozumieć – a szkoda, bo drzewa mogłyby jej powiedzieć wiele, wiele ciekawych rzeczy.

Rozdział 24

Ginger nieśpiesznie rozczesywała palcami wilgotne włosy. Skóra nadal szczypała ją po zimnym prysznicu. Wokół widziała łazienkowe kafelki w chłodnej barwie błękitu, a od lekko uchylonego okna docierały do niej odgłosy nocy – szept drzew i daleki rechot żab dochodzący z bagien aż tutaj.

Wreszcie dziewczyna opuściła łazienkę. Zza drzwi sypialni wujostwa dotarły do niej przytłumione głosy i dziewczyna odetchnęła z ulgą, słysząc, jak się przepraszają. Nie lubiła ich kłótni – bała się, że jedno z nich odejdzie, tak jak zrobiła to mama.

Kiedy jednak zajrzała do pokoju taty, nie znalazła go tam. Przygryzła wewnątrz policzka, czując w ustach metaliczny posmak krwi.

Jest dorosły – powiedziała sobie w duchu. Nic mu nie będzie.

Wycofała się tyłem z sypialni dokładnie w chwili, gdy Clementine wychyliła się z ich pokoju.

– No nareszcie – mruknęła. – Siedziałaś tam całą wieczność.

– Wcale nie – zaprzeczyła Ginger.

Siostra pokazała jej z uśmiechem język i zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. Przez bardzo krótką chwilę wszystko było tak, jak powinno. Teraz, gdy tylko Ginger pójdzie do siebie, zastanie Elenor czytającą na łóżku albo robiącą jakieś zadania z zeszytu ćwiczeń.

Nie było jej jednak. Pewnie siedziała na strychu.

* * *

Obudziła się o trzeciej w nocy, czując suchość w ustach. Jej siostry leżały nieruchomo we własnych łóżkach, Ginger widziała, jak ich klatki piersiowe unoszą się i opadają z każdym oddechem. Od otwartego okna dolatywał lekki podmuch, mimo to wcale nie było chłodniej.

Wyszła z pokoju, nie zaświecając światła, aby nikogo nie obudzić, po czym ruszyła na dół, ostrożnie stąpając po stromych stopniach. Wodziła dłońmi po nagich ścianach, czując pod palcami nierówności tapety.

Dom pogrążony był w ciszy, Ginger słyszała tylko sporadyczne jęki podłóg, zupełnie jakby jego mury oddychały. Dziewczyna weszła do kuchni i w ciemności poszukała szklanki. Napiała się wody, pozbywając się niedobrego posmaku w ustach.

Trwała przez chwilę nieruchomo, chłonąc w ten sposób spokój. Dom wydawał się w nocy zupełnie innym miejscem niż za dnia, podobnie jak ludzie śpiący w swoich łóżkach – jednocześnie blisko, a tak daleko. Ginger czuła się teraz dziwnie osamotniona, jak wtedy, gdy pracowała w ogrodzie i nikt nie chciał jej przeszkadzać. Głęboko odetchnęła, wciąż wsłuchując się w dźwięki domu. Jej oczy przyzwyczały się już do ciemności, potrafiła rozróżnić większość kształtów i widziała zegar pokazujący trzecią piętnaście. Odłożyła szklankę do zlewu i stąpając na palcach, ruszyła z powrotem do swojego pokoju.

Zatrzymała się jednak przed drzwiami, gdy znowu usłyszała kroki na strychu. Włosy na karku stanęły jej dęba. Zerknęła w stronę sufitu, a potem za siebie, na drewnianą drabinkę wyłaniającą się z mroku. To mógł być stukot wydawany przez starą podłogę – uspokajała siebie. Tak mogło być. Dlaczego jednak wydawał się taki rytmiczny, zupełnie jakby ktoś chodził w kółko? Dlaczego Ginger miała wrażenie, jakby ktoś ją obserwował?

Może ktoś wszedł na górę?

– Tata? – wyszeptała. Nie chciała go znowu znaleźć pijanego, tak jak wczoraj.

Wciąż trzymała dłoń na klamce i czuła, jak serce łomocze jej w piersiach. Wpatrywała się w klapę prowadzącą na strych, ledwie widoczną w ciemności, i gorączkowo myślała, co powinna uczynić. Cały czas słyszała rytmiczne kroki ze strychu.

Odetchnęła głęboko, po czym stąpając na palcach, podeszła do drabiny, ostrożnie wyciągając przed siebie dłoń. Jej palce natrafiły na drewniany szczebel wykonany z nieoszlifowanej deski, szorstki w dotyku. Wstrzymując oddech, zaczęła wdrapywać się na górę.

Uniosła rękę i pchnęła klapę, ostrożnie ją otwierając. W chwili, kiedy zajrzała na strych, kroki umilkły.

Ginger znieruchomiała, nie bardzo wiedząc, co robić. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wciąż wstrzymuje oddech, bo w płucach zaczęło palić ją żywym ogniem – szybko wpuściła powietrze do płuc.

Weszła do środka, rozglądając się dookoła – przedmioty wyglądały jak bezkształtne cienie. Dziewczyna bezustannie miała wrażenie, jakby ktoś na nią patrzył, ukryty w mroku.

Strych był jednak pusty.

Otworzyła usta, aby zawołać tatę, ale głos uwiązł jej w gardle – to oczywiste, że jego tu nie ma.

Podeszła do jednego z obrotowych foteli i ciężko usiadła, próbując zapanować nad rozszalałym sercem. Skarciła się w myślach za wybujałą wyobraźnię. To tylko stare deski odginały się ze stukotem, który nocą wydawał się głośniejszy niż zwykle.

Rozejrzała się dookoła, przyglądając się zarysom mebli i wszelkiego rodzaju gruchotom. W powietrzu unosił się zapach

starego drewna i kurzu, przez wąskie okna wlatywało niewiele księżycowego światła – jeśli Ginger by się wychyliła, mogłaby zobaczyć jego rosnącą tarczę.

Siedziała w ciszy jeszcze przez jakiś czas, aż całkiem się uspokoiła, w końcu wstała i ruszyła w stronę kłapy w podłodze, ostrożnie stawiając stopy. Nie chciała się o nic potknąć w ciemności.

Zduśliła w sobie krzyk, kiedy wdepnęła w chybotliwy element podłogi – całkiem o nim zapomniała. Rozległ się cichy zgrzyt i Ginger znieruchomiła, zagryzając wargę. Schyliła się, chcąc ocenić szkody, i natrafiła palcami na przekrzywioną deskę, lekko wystającą z podłogi. Poruszyła ją, chcąc włożyć na miejsce, ale chyba pociągnęła zbyt mocno, bo nagle drewno zostało jej w dłoni.

– A niech to... – westchnęła, wpatrując się w ciemny otwór w podłodze. Lisa będzie wściekła, kiedy to odkryje. A może nie; ostatnio miała na głowie zupełnie inne sprawy niż luźna deska w podłodze.

Ginger włożyła deskę na miejsce i docisnęła. Zeszła na dół, cicho stąpając na palcach; towarzyszyła jej jedynie przytłaczająca cisza. Nawet dom zamilkł. Wślizgnęła się pod koc i przymknęła oczy, próbując zasnąć – sen jednak jeszcze długo nie nadchodził.

Rozdział 25

Elenor zajrzała rankiem do sypialni ojca, niestety, nie zastała go tam. Może jest na dole? Zeszła do kuchni, gdzie babunia siedziała przy stole i pochylona nad blatem jadła owsiankę, cicho mlaskając, zupełnie jakby znowu zapomniała włożyć protezę, a Charlie spokojnie dopijał kawę, już gotowy do pracy.

– Dzień dobry, Elenor – przywitał się, przywołując na twarz uśmiech.

– Cześć. Widziałeś może tatę?

Uśmiech momentalnie zgasł.

– Dzisiaj jeszcze nie. – Podeszedł do dziewczyny i objął ją ramieniem. – Ale jestem pewien, że nic mu nie jest. Jak będzie gotów, to wróci.

Babunia zaczęła mrużyć coś do siebie, ale trudno było wyłapać w tym jakiegokolwiek słowa. Elenor i Charlie spojrzeli na nią, upewniając się, że mamrotanie nie jest zapowiedzią jakiegoś ataku. Staruszka wciąż pochylona jadła owsiankę, wlepiając wzrok w miskę, tylko jęki nie ustawały, wydobywając się z głębi jej piersi niczym lamenty płaczków stojących nad grobem.

Elenor dostała gęsiej skórki.

– Dobra, lecę do pracy – powiedział wujek, ruszając w stronę wyjścia.

Elenor odprowadziła go na podjazd i patrzyła, jak odjeżdża swoim sedanem w kolorze kawy z mlekiem. Furgonetka taty wciąż stała zaparkowana pod domem. Dziewczyna wpatrywała się w nią przez chwilę, zupełnie jakby pojazd miał nagle wyjawić jej tajemnicę pobytu ojca, ale to oczywiście nie nastąpiło.

* * *

Gdy wróciła do domu, w kuchni zebrała się już reszta damskiej części rodziny. Jej siostra Clementine właśnie zaglądała do lodówki, sięgnęła po mleko i napiła się prosto z kartonu. Lisa niezadowolona wyrwała jej pojemnik z rąk.

– Od picia są szklanki – skarciła ją. – Teraz w środku są drobinki twojej śliny.

– Przecież tam nie naplułam – odparła niezrażona Clementine.

Elenor wsypała płatki do miski, a ciotka oddała jej mleko z drobinkami śliny siostry. Ściskając je w dłoni, usiadła przy stole, gdzie babunia wpatrywała się w puste naczynie po owsiance. Ginger usadowiła się obok z kubkiem gorącej herbaty w ręce.

– Nie spałaś dziś zbyt dobrze? – zapytała Elenor, widząc pod oczami siostry ciemne kręgi.

Dziewczyna w odpowiedzi szeroko ziewnęła.

– Co chwilę się budziłam – przyznała.

– A mi śniło się coś dziwnego – wtrąciła Clementine, która w dłoni trzymała kromkę z masłem i cukrem. – Śniło mi się, że idę przez las, w którym wciąż było dość ciemno, mimo że świtało. Ktoś za mną szedł, ale gdy się oglądałam, nikogo nie widziałam. Wcale się nie bałam, po prostu byłam ciekawa, to wszystko. – Wgryzła się w kanapkę i przez chwilę przeżuwała. – Postanowiłam więc przechytrzyć śledzącego i zatoczyłam szeroki łuk, próbując zająć go od tyłu. I wiecie, co zobaczyłam? – Zamilkła na moment, wpatrując się w swoje siostry, a jej szeroko otwarte oczy zdawały się większe niż zwykle.

Elenor dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że Clementine pachnie ściółką.

– Tę istotę z rysunków. Wiecie, o jeleniej czasce zamiast głowy i porożu porośniętym bluszczem...

Nie zdołała dokończyć swojej opowieści, bo babunia nagle wpadła w szal – krzyknęła przeraźliwie, pusta miska poleciała na podłogę i rozbiła się na kawałeczki, rozsypując po całej podłodze. Dziewczyny odskoczyły zaskoczone, a przeraźliwe wycie nie ustawało i niczym ostre szpile wierciło im dziury w uszach.

Ciotka Lisa już była przy staruszce. Chwyliła ją delikatnie za przedramiona i próbowała uspokoić.

– Już wszystko w porządku, mamó – powiedziała. – Jestem przy tobie.

Krzyk jednak nie ustawał, babunia zaczęła kiwać się w tył i w przód, a Lisa nie przestawała mówić, choć jej słowa ginęły wśród rozdzierających wrzasków. Ostry dźwięk zdawał się wypełniać całą przestrzeń, zupełnie jakby dom bez reszty w nim tonął. Elenor miała wrażenie, że wylewał się ze ścian i rur, wypływał ze szczelin lub wdzierał się oknami. Miała ochotę uciec od tego hałasu.

Zamiast tego chwyciła miotłę i zaciskając zęby, zaczęła ostrożnie zmiatać porcelanowe kawałki. Wciąż próbowała ignorować piskliwe wycie, które boleśnie wypełniało jej głowę. Trudno było rozróżnić słowa i dziewczyna wątpiła, aby babcia w ogóle starała się cokolwiek powiedzieć.

Clementine i Ginger wyszły na zewnątrz, ostrożnie stąpając po podłodze, aby się nie skaleczyć. Z doświadczenia wszystkie trzy wiedziały, że w kwestii ataków babuni niewiele mogą zdziałać.

Staruszka skuliła się jeszcze mocniej, przez co wyglądała trochę jak kulka. Oparła czoło na blacie stołu i jej ciałem targnął szloch. Elenor odetchnęła z ulgą, bo zrobiło się nieco ciszej, a głos ciotki Lisy stał się klarowniejszy.

– ...jak robiłam gwiazdy na podwórku. Mówiłaś to za każdym razem, a ja się śmiałam. Lubiłam robić gwiazdy, pamiętasz? A ty zawsze kręciłaś głową, gdy robiłam szpagaty. Albo stójki. Uwielbiałam chwalić się wysoką poziomką, pamiętasz to? Na pewno to pamiętasz.

Nie pamiętała, ale teraz nie miało to znaczenia – babunia powoli cichła i Elenor mogła wreszcie usłyszeć własne myśli. Dzwoniło jej w uszach. Odwróciła się i sięgnęła do jednej z szafek, gdzie leżały opakowania z lekami. Podała ciotce odpowiednie tabletki i szklanek wody.

– Dziękuję – powiedziała kobieta i zmusiła staruszkę, aby połknęła pigułki. – Po nich poczujesz się lepiej – zapewniła.

Kobiecina kiwnęła głową, a na jej twarzy znowu zagościł bezmyślny wyraz, który czasem przerażał Elenor. Zupełnie jakby wcześniejszy atak w ogóle się nie wydarzył. Dziewczyna nie miała pewności, czy staruszka wciąż go pamięta i nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać po babce.

Przez chwilę się zastanawiała, co ze sobą począć.

– Mogę jeszcze jakoś pomóc? – zapytała.

– Nie trzeba – zapewniła Lisa. – Możesz iść do sióstr.

Dziewczyna kiwnęła głową i wyszła na zewnątrz, na tylne podwórko, gdzie pod zardzewiałym volkswagenem siedziały Clementine i Ginger. Spojrzały na nią nieco zagubione.

– Uspokoila się? – zapytała Ginger niepotrzebnie, bo przecież nie było już słychać piskliwego krzyku.

Elenor potwierdziła skinieniem głowy. Przysiadła się do nich i przez moment siedziały w milczeniu, wpatrując się we wróble buszujące po podwórku. Wszystkie trzy były boso, Clementine wyciągała nogi, aby zatopić stopy w trawie. Cienie drzew już nie

sięgały dziewcząt, słońce powoli wspinało się bowiem po nieboskłonie.

Prawdopodobnie żadna z nich nie miała pewności, ile czasu spędziłyby w tym miejscu, gdyby do ich uszu nie dotarło nagłe chrapanie. Popatrzyły po sobie, po czym powoli się odwróciły, patrząc na starą furgonetkę. Elenor podniosła się pierwsza i zajrzała do środka.

Na podłodze samochodu w alkoholowych oparach leżał Eric Marsden.

Najpierw opanowała ją rozpacz, bo już niemal zapomniała, jak to jest patrzeć na pijanego ojca. Tak bardzo się cieszyła, kiedy poszedł na odwyk – rozpierała ją duma! Chciała krzyczeć w niebo, jak jej tata znakomicie sobie radzi. Po rozpaczycy przyszło obrzydzenie. Tata cuchnął, zupełnie jakby wracając do domu, wytarzał się w czymś śmierdzącym; zapach jego ciała wypełniał całą kabinę samochodu. Mężczyzna leżał rozciągnięty na brzuchu, z rozrzuconymi ramionami. Pochrapywał, a Elenor widziała, jak lekko drżą mu usta. Wyglądał na chorego: skóra na jego twarzy zdawała się zielonkawa, policzki zdobił ciemny kilkudniowy zarost. Miał pomięte ubranie.

– Może powinniśmy zaprowadzić go do domu? – zapytała szeptem Ginger, zaglądając siostrze przez ramię.

– Nie – ucięła Elenor z nagłą bezwzględnością. – Jeśli ma siłę pić, to będzie miał siłę wejść do środka.

– Za jakiś czas będzie tu strasznie gorąco – odezwała się Clementine. Zagryzała wargę, a w jej oczach czaiło się takie samo zagubienie jak u Ginger. – Może dostać udaru.

– No, to może czegoś się wtedy nauczy. – Elenor cofnęła się i cicho zamknęła drzwi furgonetki. – Niech ciocia trochę od niego odpocznie.

Jej siostry się nie sprzeciwiły.

Przez chwilę stały na podwórku, nie bardzo wiedząc, co począć – po prostu patrzyły na siebie w milczeniu, całkiem zagubione, podczas gdy wróble ćwierkały ukryte w krzakach róży, przeskakując z jednej gałązki na drugą.

– Chodźmy stąd – mruknęła w końcu Elenor, ruszając do domu.

Rozdział 26

Minionej nocy Clementine przyśnił się jej własny pokój – a przynajmniej na początku. Cienie kładły się po ścianach i podłodze, a ona stała na środku pomieszczenia, całkiem nieruchomo, z rękami spuszczoneymi wzdłuż ciała, i wpatrywała się w puste łóżko. Koce były zmięte, więc jeszcze przed chwilą ktoś tu leżał, nie widziała jednak swoich sióstr.

Coś połaskotało ją w stopy. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła liście sunące po deskach, jakby popychane podmuchami wiatru. Odwróciła się, a wtedy przed oczami wyrósł jej las. Tam, gdzie powinna znajdować się ściana, Clem widziała drzewa wyglądające jak podłużne sylwetki ukryte w mroku. Pokój zniknął, ale to wcale nie wydawało się dziewczynie dziwne, bo tak właśnie działają sny. Przyjmuje się każdy absurd, niezależnie od tego, jak bardzo odbiega od rzeczywistości.

Ruszyła więc przez ten las, w którym panowała ciemność, mimo że niebo robiło się już szare od nadchodzącego świtu. Widziała to między konarami drzew i niemal spodziewała się, że puszcza ożyje, tak jak zwykle o tej godzinie – ptaki jednak nie śpiewały, wszystko zdawało się dziwnie nieruchome.

Słyszała za to kroki. Ktoś za nią podążał, lekko niczym łania, Clementine nie czuła jednak strachu, lecz ciekawość.

Zboczyła ze ścieżki, klucząc między drzewami, które rzucały podłużne cienie. Niebo stawało się coraz jaśniejsze, ale brzask nie sięgał w głąb puszczy, zupełnie jakby nie potrafił przebić się przez liście i gałęzie. Clementine dopiero teraz zauważyła, że idzie boso. Stąpała po mchu, dzięki czemu jej kroki stały się niemal

bezszelestne. Miała nadzieję, że uda jej się przechytryć tego, kto ją śledził.

Dostrzegła żółte oczy wpatrujące się w nią z nisko ułożonej gałęzi. Przyłożyła palec do ust, prosząc w ten sposób sowę, aby jej nie zdradziła. Niespodziewanie szyja ptaka wydłużyła się, pióra zaczęły przypominać łuski, a oblicze przeobrażać się w ludzkie. Teraz patrzyła na nią twarz ojca. A może wuja? Nie była pewna. Postać rozwarła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Clementine zauważyła, że oczy ojca (wuja?) pozostały żółte, zamiast zamienić się w dwa krystalicznie niebieskie jeziora, i właśnie to wyrwało ją z transu.

Ruszyła dalej, ostrożnie stąpając na palcach.

Wyciągała dłonie, dotykając szorstkiej kory mijanych drzew, i zatoczyła szeroki łuk, wsłuchując się w ciche kroki nieznanego kroczonego przez las. Ten nie zwalniał, szedł powoli, niemal majestatycznie przed siebie i Clementine na chwilę zwątpiła, czy aby na pewno podążał za nią.

W końcu dostrzegła coś pomiędzy drzewami, wyraźnie odbijający się cień na tle mroku – tak ogromny, że musiałyby stanąć na ramionach którejś z sióstr, aby dotknąć czubka jego głowy. Dopiero teraz poczuła lęk. Rozwinął się w jej piersiach, owijając serce. Dziewczyna nie potrafiła się już jednak zatrzymać. Musiała iść przed siebie.

Światło brzasku wreszcie dotarło do wnętrza lasu, ale i teraz przypominało raczej wątłą szarość, całkiem niepodobną do bladego błękitu, jaki przybrał już nieboskłon. Wystarczyło jednak, aby cień stał się znacznie wyraźniejszy, odbijał się na tle lasu, a jednocześnie w jakiś sposób uzupełniał krajobraz, pasował tu – i Clementine poczuła nagle, że to ona jest intruzem. Nie podobało jej się to uczucie.

Nieznajomy obrócił się powoli i dziewczyna wreszcie mogła przyjrzeć mu się w całej jego okazałości.

Wyglądał jak na rysunkach. Był wysoki i barczysty, z silnymi, lecz zwinnymi nogami – Clementine nie widziała, czy są zakończone racicami. Właściwie nawet im się nie przyglądała. Patrzyła na wielki łeb przypominający czaszkę jelenia, z porożem porośniętym bluszczem; zielone listki sięgały również w dół, bieły po mocnym karku i wczepiały się w grzbiet. Rogi zwierzęcia były wspaniałe, pięły się wysoko w górę i przywodziły na myśl dłonie, które pragną dotknąć nieba.

Clementine zastygła nieruchomo, nie mając pojęcia, co powinna zrobić. Czuła wiele emocji naraz: zaskoczenie, fascynację, zagubienie, niepewność, a przede wszystkim rosnący irracjonalny lęk, kłębiący się gdzieś w jej piersiach. Nie wiedziała, co w związku z tym myśleć.

Istota pochyliła głowę i zrobiła krok do przodu. Poruszała się na czterech nogach, jej ciało wyginało się niczym u hieny, a biodra pochylały ku ziemi.

– *Dziecko* – wyszeptała istota. Jej głos przypominał nieco szum drzew połączony z chrzęstem, jaki jesienią wydają zeschnięte liście, gdy się po nich depcze. – *Ty jesteś dziecko.*

Clementine nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– A ty nie – rzekła i od razu tego pożałowała. Zabrzmiało to bardzo głupio i bezmyślnie. Czuła się tak nieprawdopodobnie mała przy tym stworzeniu.

– *Nie* – odparła. – *Ja nie.*

Clementine wyżej uniosła brodę, wpatrując się prosto w puste oczodoły. A może kryły się w nich ślepie, tylko z powodu cienia nie potrafiła ich dostrzec?

– To czym ty jesteś? – zapytała.

Istota przekrzywiła lekko głowę, jakby się zastanawiała.

– *Jam jest Borowy* – odparła w końcu, a jej ciało zadrżało.

Clementine miała wrażenie, jakby istota stała się jeszcze większa, przez chwilę myślała, że dotknie porożem gałęzi drzew.

– *Jam jest Boruta. Jam jest Laskowiec. Jam jest Wilczy Pasterz! Ilu imion jeszcze potrzebujesz?!*

Clementine z całych sił próbowała się nie cofnąć.

– Wystarczy mi jedno – rzekła potulnie. – Więc jak mam cię nazywać?

Istota gwałtownie ruszyła w jej kierunku, prawie bezszelestnie pracując do przodu z pochylonym łbem. Dziewczyna westchnęła zaskoczona i zrobiła krok do tyłu, wyciągając przed siebie dłonie, zupełnie jakby w ten sposób mogła ją zatrzymać. Zahaczyła o coś stopą, o wystający korzeń lub o własną nogę, nie miała pewności. Upadła, miękko lądując na wilgotnym od rosy mchu, a bestia stanęła nad nią, przybliżając do niej swoją jelenią głowę, przez co Clementine nie widziała już nic innego. Patrzyła na chropowatą strukturę czaszki, na oczodoły wciąż ukryte w cieniu, na delikatne niczym bibuła listki bluszczu – zielone, jakby dopiero nadeszła wiosna. Omiótł ją ciepły oddech pachnący jarzębiną, olszyną i czymś jeszcze, znacznie delikatniejszym i słodszy.

– Dlaczego? – zapytała Clementine tak cicho, że istota być może wcale by jej nie usłyszała, gdyby nie była tak blisko.

– *Nie wiem* – odparła.

Sen się skończył. Dziewczyna znowu znalazła się we własnym łóżku, otoczona przez jasne ściany, w przepoconej koszulce i z sercem galopującym w piersiach.

Rozdział 27

Siedzieli całą rodziną przy stole w jadalni, wśród kremowych ścian i orzechowej boazerii, Dirk czuł jednak, że tak naprawdę jest zupełnie gdzieś indziej. Nie potrafił się skupić i całkiem nie miał apetytu, rozdzierał tylko swojego gofra na mniejsze części.

– Dirk, co cię trapi?

Chłopak podniósł wzrok na ojca. Obok przy stole Zachary rozsmarowywał palcem dżem na swoim gofrze, a bliźniaczki dokuczały sobie pod stołem, kopiając się po kostkach. Dirk przeniósł spojrzenie na mamę, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Po prostu się zamyśliłem – powiedział w końcu.

Tata się zaśmiał i zmartwienie, które ściągnęło mu brwi na moment, zniknęło.

– Widziałem cię wczoraj z Marsdenównami – rzekł. – Twoje zamyślenie ma związek z którąś z tych dziewczyn?

Dirk gwałtownie poczerwieniał, jego rodzeństwo utkwilo w nim wzrok, bliźniaczki przestały się nawet kopać pod stołem.

– Co? To nie tak!

– To bardzo ładne dziewczyny – wtrąciła mama, a Dirk poczuł, jak coś ściska go w dołku. – Mają dość surowe rysy twarzy, ale za to bardzo ciekawe.

– To po prostu koleżanki – mruknął chłopak w stronę swojego gofra, smętnie leżącego w kawałeczkach na talerzu.

– Więc co? – zapytał tata. Miał już na sobie mundur szeryfa, który dodawał mu pewnej powagi. – Dlaczego jesteś taki zamyślony?

– Nie wiem – powiedział Dirk i od razu poczuł, że to za mało. – Po prostu nie najlepiej spałem – dodał.

Mama zrobiła zmartwioną minę, a syn, żeby pokazać, że wszystko jest w porządku, raz jeszcze zaatakował widelcem swojego gofra. Nie lubił martwić rodziny, szczególnie takimi błahostkami.

Niepokoił się, że nigdy nie pozna prawdziwej historii Lorelei Garcii, poza tym rzeczywiście miał za sobą nie najlepszą noc. Co chwilę się budził, a gdy wreszcie udało mu się zasnąć, śniło mu się, że biegnie przez las, tak jak wtedy, gdy spotkał w nim Clementine. Tym razem jednak nie przyszła mu na pomoc, gdy błądził pomiędzy olszynami, a z taflii bajor patrzyła na niego jego własna twarz. Wydawała mu się zbyt blada, a oczy, czarne jak smoła, przypominały otwory.

Przeraził się, bo we śnie to on zaginął – choć nie potrafił przypomnieć sobie niczego, wiedział, że jego martwe ciało leży gdzieś na mchu, zostawione, aby zgniło. Myśl ta napawała go przerażeniem. Nie chciał zgnieć. Nie potrafił się jednak odnaleźć. Gdzie nie spojrzeł, widział tylko bagna i wyłaniające się z nich olszyny.

Gdy wreszcie się obudził, odetchnął z ulgą.

Razem z tatą posprząтали po śniadaniu i umyli naczynia, podczas gdy mama zajęła się poganianiem dzieciaków do łazienki, aby starły z siebie resztki dżemu.

– Dzięki, synu – powiedział tata, gdy Dirk odłożył ostatni talerz na suszarkę.

– Nie ma sprawy. Tato?

– Tak?

Chłopak przełknął ślinę.

– Jak tam idzie sprawa?

Tata odetchnął, opierając się biodrem o kant blatu.

– Na razie musimy czekać na opinię koronera, bez tego nic nie możemy zrobić. Jeśli stwierdzi morderstwo, zaczniemy śledztwo, a jeśli nie, po prostu zamkniemy sprawę. Tak czy inaczej, wydamy ciało i Marsdenowie wreszcie będą mogli go pochować.

– A ile czasu mu to jeszcze zajmie?

– Koronerowi?

Dirk pokiwał głową.

– Nie mam pojęcia – odparł tata. – Mattias przeleżał tam prawie dwadzieścia lat. To bardzo utrudnia sprawę, bo wszelkie ślady już dawno zostały starte. Gdyby nie torf, pewnie nic by już z niego nie zostało.

– Ale coś muszą już wiedzieć, prawda?

– Być może – odpowiedział mężczyzna i Dirk nie miał pewności, czy ojciec go zbywa, czy może sam nie ma jeszcze wystarczająco dużo informacji.

Nagle do kuchni wpadła jedna z bliźniaczek i rzuciła się tacie na nogi. Mężczyzna podniósł ją z uśmiechem i ucałował, podczas gdy dziewczynka śmiała się dziko, młóćąc nogami w powietrzu. Dirk wycofał się i wyszedł na dwór.

– Hej, Brewer! – Usłyszał wołanie i chłopak zobaczył Quentina, który gwałtownie zakręcił na swoim BMX-ie, wjeżdżając na podjazd. – Mam wrażenie, jakbyśmy nie widzieli się całe wieki!

– Rozmawialiśmy zaledwie przedwczoraj – odparł spokojnie Dirk.

– Od tego się zaczyna. – Quentin zatrzymał rower centymetry od stopy Brewera i próbował stanąć na pedałach, jednocześnie zachowując równowagę. Gdy po kilku sekundach zaczął się przechylać na bok, wystawił jedną nogę, w ten sposób zapobiegając upadkowi.

Dirk był pewien, że pewnego dnia chłopak zrobi sobie krzywdę. Upominanie nie miało jednak sensu, bo Quentin i tak zawsze

twierdził, że ADHD nie wybiera.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – rzekł Dirk, przecierając oczy. Chyba jeszcze się nie obudził.

– Jak to o czym?! – Quentin zmierzył go spojrzeniem, uśmiechając się krzywo. – O powolnym i nieuniknionym rozluźnieniu męskich więzi, gdy na horyzoncie pojawia się dziewczyna! Powinieneś uważać, Dirk, Marsdenówny są pechowe, jeszcze czymś się od nich zarazisz!

Chłopak poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Tak mocno zacisnął dłonie w pięści, że aż pobieleły mu knykcie.

– Nie mów tak o nich! – warknął nieco zbyt ostro.

Quentin spojrzał na niego zaskoczony, unosząc wysoko brwi.

– Co takiego?

– To było wredne.

Quentin również się zdenerwował.

– Tylko żartowałem, więc wyluzuj. Tak w ogóle, to byłem wczoraj u ciebie i twój tata powiedział, że widział cię z nimi. Co ty robisz? Nie rozumiem, po co w ogóle się z nimi zadajesz.

– Przecież to nie zbrodnia!

Quentin parsknął. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatek sił się powstrzymywał. Dirk czekał, napięty jak postronki, gotów bronić siebie albo którejs z sióstr Marsden. W końcu jego przyjaciel odepchnął się stopami, wycofując rower tyłem po podjeździe.

– Wróć do nas, jak już się nimi znudzisz! – krzyknął jeszcze i skręcił ostro kierownicą, po czym mocno pedałowując, odjechał. Minął bramę i skierował się do centrum miasteczka.

Dirk miał nie najlepszy poranek, liczył więc, że reszta dnia będzie zdecydowanie lepsza.

Rozdział 28

Elenor podeszła do skrzynki pocztowej, czując, jak żdźbła trawy łaskoczą ją w gołe stopy. Słońce już zaczęło przygrzewać, kilka wróbli obserwowało dziewczynę z cienia akacji, radośnie kręcąc główkami i wypełniając ciszę świergotem. Powietrze było dziwnie świetliste, duchota wręcz przytłaczała i Elenor miała wrażenie, jakby śniła.

Poprawiła pasek ogrodniczek, który boleśnie wbijał jej się w ramię. Potem sięgnęła w głąb skrzynki, dotykając opuszkami palców rozgrzanego metalu. Natrafiła na co najmniej trzy koperty. Wyciągnęła je, po czym powoli zaczęła przeglądać, nie spodziewając się zobaczyć nic więcej jak tylko kilka rachunków. Jedna z kopert miała jednak znaczek i ręcznie wypisany adres. Zaciekawiona dziewczyna wysunęła ją i obejrzała. Gdy zobaczyła imię i nazwisko nadawcy, zamarła.

Mya Marsden.

Jej matka miała ładne pismo z zawijasami, literę „r” kreśliła w ten francuski sposób. Dziewczyna próbowała sobie przypomnieć jej twarz i uświadomiła sobie, że nie potrafi. Kobieta odeszła już tak dawno temu, że Elenor miała jedynie nikłe, wyblakłe wspomnienia. Umysł najstarszej córki zachował jedynie szczegóły nieskładające się na całość.

Wstrzymując oddech, zerknęła na adresatów. Widniało tam imię jej oraz pozostałych sióstr.

– Czego ty chcesz? – zapytała, patrząc na kopertę. Była zagubiona, nie umiała powiedzieć, co czuje. Ale na pewno nie czuła złości. Raczej zaskoczenie, zdumienie tak wielkie, że aż zaparło jej dech.

Mya Marsden była dla niej martwa już od bardzo, bardzo dawna.

Czy kiedykolwiek brakowało Elenor matki? Oczywiście, że tak, miała jednak przy sobie resztę rodziny: tatę, który akceptował wszystko, co wymyśliły jego córki, Lisę tłumaczącą to, co powinna wiedzieć dorastająca dziewczynka, i wreszcie Charliego, który robił najlepsze śniadania na świecie.

Mya Marsden stała się jedynie ideą, zbyt odległą, aby stać się realną osobą.

Najstarsza Marsdenówna odwróciła się i ruszyła w stronę domu, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że jest tylko pustą powłoką, niczym więcej jak nogami prowadzącymi ją podjazdem i pięścią ściskającą koperty. Weszła do środka. W salonie siedziały jej siostry wraz z Lisą. Ginger jak zwykle czytała encyklopedię roślin, którą dostała na ostatnie urodziny, Clementine rysowała coś w notatniku – Elenor widziała podłużne drzewa i coś czającego się za nimi – a Lisa znowu siłowała się z włóczką. Babunia siedziała w swoim fotelu i drzemała.

Elenor rzuciła koperty na stół, z listem od mamy na wierzchu.

Ginger, która leżała rozciągnięta na kanapie, dostrzegła własne imię wypisane drobnym charakterem pisma.

– To do nas? – zapytała zdziwiona i podniosła kopertę.

– Od mamy – odparła Elenor. Jej własny głos wydawał się jej bez wyrazu.

W pokoju stało się jakby ciszej. Wszyscy z wyjątkiem pochrapującej babuni spojrzeli na nią oniemiaли, zupełnie jakby próbowali dociec, czy żartuje. Elenor usiadła na podłodze po turecku.

– Czego niby od nas chce? – warknęła Clementine. Wcześniej leżała pod telewizorem, teraz podniosła się i z niechęcią patrzyła na list.

– Nie wiem, nie otwierałam go – odparła Elenor.

– Powinnyśmy to zrobić? – dociekała Ginger, wciąż trzymając kopertę w dłoni. – Ciociu?

Siostry spojrzały na Lisę, która nie odezwała się do tej pory ani słowem. Kobieta pobladła, usta zaciskała w wąską linię, jakby z całych sił starała się zachować dla siebie pewne słowa. Lisa pogardzała Myą i Elenor zdała sobie sprawę z tego, że nie powinny zadawać jej takiego pytania. No bo co miałyby im powiedzieć?

Ginger zerknęła na najstarszą siostrę, ich spojrzenia się spotkały.

Lisa rzuciła na podłogę włóczkę, jej policzki i szyja stały się purpurowe. Kiedy mówiła, zaciskała zęby, więc słowa były przytłumione.

– Cokolwiek zrobicie, nie chcę mieć z nią nic wspólnego – powiedziała. – I nie chcę jej tu widzieć.

– Nikt jej nie zaprasza – odparła Clementine. Jej ton brzmiał równie wściekle jak ciotki. Dziewczyna utkwiała spojrzenie gdzieś przed sobą.

Ginger delikatnie położyła list przed sobą.

– Może jednak powinnyśmy się dowiedzieć, czego od nas chce?

– Niby po co? – Clementine potrząsnęła głową, aż ciemne włosy opadły jej na czoło. Zgarnęła je szybkim gestem.

– No bo...

Lisa parsknęła, po czym wstała i ruszyła do kuchni. Siostry słyszały, jak robi sobie herbatę. Czajnik stukał o kran, kiedy napełniała go wodą. Ginger zarumieniła się zawstydzona, choć przecież nie miała powodów do wstydu.

– Ale sobie wybrała moment – mruknęła Clementine. – Jakby, kurwa, nie mogła z tym poczekać.

– Przecież nie ma pojęcia, co dzieje się w Conetoe – odparła Ginger.

Clementine utkwiała w niej ciężkie spojrzenie.

– Właśnie. Nie ma pojęcia, co tu się dzieje.

Ginger zwróciła twarz na najstarszą siostrę.

– Elenor? A ty chcesz się dowiedzieć, co pisze?

Dziewczyna spojrzała na białą kopertę, niepewna, co odpowiedzieć. Czy pragnęła poznać jej zawartość? Czy chciała wiedzieć, co takiego ich matka ma im do powiedzenia?

Odchrząknęła.

– Nie.

Powiedziała to bez złości, bez frustracji, jej głos pozostawał spokojny, jakby wyprany z emocji. Nie miała pewności, czy to zdrowe.

Mya Marsden była dla niej martwa, już dawno się z tym pogodziła i nie miała ochoty do tego wracać. Miała na głowie zupełnie inne sprawy.

– Clementine? – zapytała Ginger.

– Nie chcę mieć z nią nic wspólnego – odparła wściekle Clem.

Babunia drgnęła w swoim fotelu, a czajnik w kuchni zaczął gwizdać. Szybko jednak umilkł i siostry słyszały, jak ciotka Lisa ze złością przesuwa kubki.

Clementine wstała, przytrzymując się kredensu, bo zeszywniały jej nogi, po czym zostawiając swoje rysunki rozsypane na podłodze, wyszła z pokoju.

– Muszę pobiegać i się uspokoić – powiedziała na odchodne, ledwie zerkając przez ramię, a Elenor przeciągle westchnęła.

– Poczekaj.

Poszła za nią, ale kiedy znalazła się na zewnątrz, zobaczyła tylko brunatne włosy znikające między drzewami. Mogłaby popędzić za młodszą siostrą, wiedziała jednak, że nigdy nie dołałaby jej doścignąć. Zresztą Clementine potrzebowała chwili samotności

i Elenor nie miała zamiaru jej przeszkadzać. Mimo to westchnęła zrezygnowana. Już miała wrócić do środka, kiedy dostrzegła, że drzwi starego volkswagena są otwarte. Była pewna, że wcześniej je zamknęła.

Podeszła bliżej i dostrzegła, że ojca nie ma w środku.

– Och, tato... – jęknęła.

Rozdział 29

Ginger nie potrafiła zmusić się do otwarcia listu, ale jednocześnie wcale nie chciała go wyrzucać – nie miała pojęcia, co robić. Przez chwilę po prostu patrzyła na kopertę leżącą przed nią, nieruchoma niczym posąg.

Mama je zostawiła. Dlaczego, dlaczego, dlaczego to zrobiła? Elenor to nie interesowało – pewnie nie uważała jej za godną, aby myśleć o niej dłużej, niż to było konieczne. Ginger to rozumiała. Minęło naprawdę dużo czasu, wystarczająco wiele, żeby pogodzić się z nieobecnością matki. Po co na nowo roztrząsać sprawę? Clementine natomiast była zbyt wściekła i ją również Ginger rozumiała. Mya Marsden zostawiła ich, całą czwórkę, i nie odzywała się przez te wszystkie lata. Złość była w tym wypadku całkowicie uzasadniona.

Ginger chciała jednak zrozumieć także matkę – ten list być może wszystko wyjaśni. Czuła się jednak jak zdrajczyni i dlatego nie potrafiła otworzyć koperty.

W progu stanęła Elenor.

– Ja... ja muszę coś sprawdzić – powiedziała i zniknęła.

Ginger podniosła wzrok, ale jej siostry już nie było.

Wzięła kopertę i zaniósła ją do swojego pokoju, po czym ukryła tak, aby nikt jej nie znalazł. Kiedy będzie gotowa, otworzy ten list. Wcale nie musi się spieszyć. W końcu czekała na niego kilka lat; jej matka będzie musiała wykazać się taką samą cierpliwością.

* * *

Clementine zatrzymała się dopiero, kiedy przed jej oczyma wyrosły bagna. Ich tafle lśniły zielenią w łagodnym półmroku, olszyny cicho szeptały, a gdzieś w głębi jezior, w ukryciu, rechotały żaby. Dziewczyna miała przez chwilę wrażenie, że się z niej śmieją. Pochyliła się, opierając dłonie na udach, i nabrała głęboko w płuca powietrza przesiąkniętego zapachem torfu, mułu i stojącej wody.

Pod nogami widziała wyraźnie ślady kuny, która pewnie przyszła zapolować na żaby. Clem dotknęła palcami jednego ze śladów i przekonała się, że musiały mieć co najmniej kilka godzin. Zwierzęcia już dawno tu nie było.

Wyprostowała się i ruszyła jedną ze ścieżek między bajorami, czując, jak stopy lekko zatapiają się w miękkim gruncie. Minęła jeziora, klucząc na wąskich przesmykach, otoczona przez szepczące olszyny, aż dotarła do łąny kwiatów oddzielającego las od dębów należących niegdyś do Lorelei Garcii. A potem truchtem ruszyła do domu ukrytego wśród zieleni. Patrząc na opuszczone mury, zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzymają – pewnego dnia się zawałą i nikt nie będzie o nich pamiętał. Na myśl, że to samo mogłoby spotkać puszcę, poczuła nieprzyjemne dreszcze przebiegające w dół kręgosłupa.

Nagle kątem oka ujrzała ruch po swojej prawej stronie. Weszła między owocowe drzewa i zobaczyła Dirka stojącego pod jabłonią; przyglądał się leżącemu w trawie jabłkom i zamyślony miał w palcach rąbek swojej koszulki.

– Cześć – powiedziała.

Dirk poderwał głowę i spojrzał na nią z uśmiechem.

– Cześć. Gdzie zgubiłaś siostry?

Clementine kopnęła kępę trawy, nie patrząc już na chłopaka. Zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć.

– Co się stało? – zapytał.

– Dostałyśmy list od mamy. – Słowa jakby z własnej woli wypłynęły z jej ust. Zerknęła na niego kątem oka i zobaczyła, że wpatrywał się w nią z jabłkiem w dłoni i z trudnym do określenia wyrazem twarzy.

– I co pisze?

– Nie wiem, nie otworzyłyśmy go. – Clementine wzruszyła ramionami. – Elenor raczej to nie obchodzi, a Ginger może i jest ciekawa treści listu, ale nie chce chyba nikogo urazić. – Znowu kopnęła kępę trawy i szybko zganiła się za to w myślach.

– A czego ty chcesz? – Dirk podszedł do niej i oddał jej swoje jabłko.

Przez chwilę Clementine nie miała pojęcia, co ma z nim zrobić. Usiadła w trawie pod jabłonią i obserwowała, jak pszczoły drążą tunele w spadłych owocach. Próbowwała zebrać myśli, ale bezskutecznie.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Na razie jestem po prostu zła.

– Na nią?

Clementine prychnęła.

– Zostawiła nas.

Dirk usiadł obok, podkulając kolana. Clementine głęboko oddychała i wciąż powtarzała w myślach: „Nie wiem, nie wiem, nie wiem”. Już nie chodziło o mamę. Jedne myśli przysłoniły drugie i nagle dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że naprawdę nie wie, co ze sobą począć i dlaczego tak się poczuła, gdy tata porównał ją do swojego brata.

Nie potrafiła wyobrazić sobie siebie za kilka lat, bo była tylko ona i ten las. Elenor chciała dostać stypendium i wyjechać na studia, żeby zająć się matematyką. Ginger w przyszłości zostanie botaniczką, będzie tworzyć i pielęgnować cudze ogrody. Były

związane ze światem, miały plany. Clementine natomiast nie – i to ją przerażało; równie dobrze mogłaby wejść do lasu, położyć się na ziemi i czekać, aż przykryją ją liście, tak że tylko drzewa by o niej pamiętały.

Czy Mattias czuł tak samo? Czy tak jak ona nie miał nic? Nie wiedział, nie widział, nie wiedział, tak jak ona nie miała pojęcia?

– Myślę, że ją to po prostu przerosło – odezwał się Dirk i Clementine potrzebowała chwili, aby zrozumieć, o czym on mówi.

– W ciągu ilu? Trzech lat? Urodziła ciebie i twoje siostry. Może nigdy nie chciała mieć dzieci i po prostu się przerażała.

– Dwóch – poprawiła go Clementine. – Ja i Ginger urodziłyśmy się w tym samym roku.

– No tak. Tym bardziej – dodał. – Może wasza mama to wszystko wyjaśnia w liście.

– Nie interesuje mnie to – odparła Clementine, prychnając. – Gdyby było tak, jak mówisz, miała całe lata, aby się odezwać.

Dirk pokiwał głową.

– Nie próbuję jej usprawiedliwiać – powiedział.

– Brzmi, jakbyś właśnie to próbował zrobić.

– Po prostu staram się ją zrozumieć. Mnie jest łatwiej, bo nie jest moją mamą. Gdyby moja mnie zostawiła, też pewnie byłbym na nią zły.

Clementine odetchnęła i spojrzała w górę, na gałęzie drżące pod prawie niewyczuwalnym naporem wiatru. Słońce smugami przedzierało się między liśćmi i niemal potrafiła dostrzec ich drobne żyłki.

* * *

Elenor nie czuła nic, kiedy myślała o matce.

Było zupełnie inaczej, jeśli chodziło o ojca.

Kiedy leżał w starym volkswagenie, miała ochotę go tam zostawić, żeby dostał udaru od panującego w środku gorąca. A teraz znowu gdzieś się wymknął – dziewczyna podejrzewała gdzie – zamiast zostać w domu, pomóc cioci Lisie, porozmawiać z córkami. Elenor miała ochotę bić go tak długo, aż się opamięta.

Powinna zrobić to już dawno temu, prawda była jednak taka, że Elenor się bała – w ten dziecięcy, uczniowski sposób, kiedy sprawy dorosłych onieśmielają i wprawiają w zakłopotanie, sprawiając jednocześnie, że człowiek zamiera w pół kroku, przygnięciony do ziemi. Elenor miała się za osobę może nie dorosłą, ale dojrzałą – jak widać, życie wszystko zweryfikowało.

Przyśpieszyła, gdy z daleka zobaczyła miasteczko. Rozgrzany asfalt parzył jej bose stopy. Skierowała się do baru mieszczącego się przy głównej ulicy, z wielkim neonowym napisem nad drzwiami „U Mindy”. Właścicielką była zadziorna, pełna wigoru kobieta, która zawsze powtarzała, że z takim imieniem mogła zajmować się tylko jednym. Elenor nawet ją lubiła.

Weszła do środka. W barze pachniało solonymi orzeszkami i drzewem sandałowym, światło prawie nie odbijało się od granatowych ścian, nagie żarówki zwisały z sufitu. Po lewej stronie Elenor miała podłużną ladę i półki wypełnione butelkami, a po prawej – boksy z siedziskami pokrytymi spękaną brązową skórą. Podawano tu również jedzenie, proste i niewyszukane, ale dobre. Na wprost od wejścia rozstawiono okrągłe stoliki, a za nimi wznosiła się niewielka, dość prowizoryczna scena przyciągająca amatorów próbujących swoich sił w muzyce. Przy jednym ze stolików siedział ojciec, opierając policzek na dłoni. Nie stała przed nim żadna szklanka, co Elenor zauważyła z ulgą.

Dziewczyna usłyszała chropowaty głos szepczący jej imię i zza baru wyszła Mindy. Kobieta miała na sobie koszulę w czarno-

bordową kratę, ciemne spodnie i mokasy, a ufarbowane na czarno włosy zebrała w kucyk. Oczy podkreślała gruba kreska, co dodawało kobiecie kilka lat. Była lekko przy kości i kulą, bo w młodości wraz z bratem chciała sprawdzić, czy strzał w nogę naprawdę boli.

Dziewczyna podeszła do Mindy z sercem dudniącym w piersiach.

– Przyszłaś po ojca, prawda? – zapytała Mindy, wskazując męczyzną brodą. W lokalu siedziało jeszcze kilka osób, niemal całkiem ukrytych w boksach, i cicho rozmawiało.

– Tak – odparła Elenor.

Mindy mruknęła coś do siebie.

– Przykro mi z powodu twojego wujka – powiedziała głośniej.

Elenor już otwierała usta, aby coś odpowiedzieć, ale kobieta jej przerwała:

– Ale tak między nami, to Ericowi przydałby się ktoś, kto by nim porządnie potrząsnął. Więc weź dupę w troki i zabierz mi go sprzed oczu.

– Jasne.

– I nie chcę go tu więcej widzieć.

Elenor twardo oznajmiła:

– Nie jestem jego matką.

– No raczej. – Mindy uniosła jedną brew. – A teraz zabierz go stąd.

– Ja was słyszę – mruknął Eric Marsden, wciąż wpatrując się w blat stołu, zupełnie jakby coś na nim wyryto.

– I bardzo dobrze! – odkrzyknęła Mindy i wróciła za bar.

Elenor podeszła do ojca i spojrzała na niego z góry.

– Nie boisz się, że wylecisz z pracy? – zapytała.

– Dostałem urlop do końca tygodnia. – Tata z jękiem oparł się na krześle. Jego twarz wydawała się szara i Elenor zaczęła się

zastanawiać, czy cokolwiek ostatnio jadł.

– Co masz zamiar robić przez ten tydzień? – Przysiadła się do stolika, kładąc ręce na blacie w taki sam sposób jak on.

Tata od razu schował dłonie pod stół.

– Tato... – wyszeptała Elenor. – Co ty, do cholery, robisz?

Mężczyzna utkwiał w niej swoje spojrzenie, a jego oczy wydawały się blade i bez wyrazu.

– Powinieneś być teraz w domu – mówiła dalej dziewczyna. – A nie tutaj, zalewając się w trupa.

Znowu zobaczyła to w jego twarzy: wstyd i wyrzuty sumienia. Miała ochotę potrząsnąć nim tak mocno, aby wreszcie się opamiętał. Zamiast tego nachyliła się nad blatem stołu i powtórzyła:

– Powinieneś być teraz w domu.

– Elenor, chociaż ty nie rób mi wykładów... – mruknął tata i dziewczyna poczuła nagłą złość. Zmarszczyła gwałtownie brwi.

– Chyba powinnam to robić, bo zamiast być z nami, jesteś tutaj.

– Wiem, ale...

– Ale co? Tato!

W twarzy mężczyzny pojawiło się coś surowego, jego rysy jakby się wydłużyły.

– Straciłem brata – powiedział twardo, wlepiając w córkę spojrzenie.

Elenor nie potrafiła jednak zdobyć się na współczucie, nie w tej chwili.

– Dwadzieścia lat temu – powiedziała i od razu tego pożałowała. Jej słowa zabrzmiały zbyt brutalnie, bardziej ostro, niż zamierzała. – Chodziło mi o to... – zaczęła się jąkać – musiałeś wiedzieć, że nie żyje.

Tata potarł policzki, dzięki czemu na jego twarz wróciły kolory.

– Wiedziałem – odparł. – Gdzieś w głębi duszy. Ale mieć pewność to coś zupełnie innego. Przerosło mnie to.

– Bardzo mi przykro, tato.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słyszeli tylko przyciszone głosy dochodzące z drugiego kąta pomieszczenia oraz krzątanie się Mindy za barem. Ktoś wszedł do pubu, wpuszczając do środka nieco gorącego powietrza, i zajął miejsce w jednym z boksów. Elenor ledwie zwróciła na to uwagę. Spuściła wzrok na miseczkę wypełnioną orzeszkami i poczuła przemożną chęć, aby po nią sięgnąć. Nie zrobiła tego jednak.

– Przepraszam was – powiedział nagle tato, a ona podniosła gwałtownie głowę, żeby na niego spojrzeć. – Nie zachowuję się jak na ojca przystało.

– W porządku – Dziewczyna wzruszyła ramionami, choć bardzo ją ucieszyły przeprosiny. Jakby od teraz wszystko miało być już dobrze.

Wiedziała, że wcale tak nie będzie, nie tak od razu i czasami jedno „przepraszam” to za mało. To jednak krok w odpowiednią stronę i Elenor postanowiła się z tego cieszyć, nawet jeśli miała świadomość, że to naiwne. Żałowała, że nie zbudziła go wtedy w volkswagenie, pomyślała jednak, że być może rozmowa w tamtym czasie nie przyniosłaby podobnych rezultatów.

– Wracajmy do domu – poprosiła.

* * *

Dom wydawał się pusty, choć wcale taki nie był. Babunia siedziała przed telewizorem i oglądała *Dr Quinn* z kasety VHS. Lisa nagrała swego czasu kilkanaście odcinków, bo staruszka mogła siedzieć przy tym serialu spokojnie w nieskończoność.

Ciotka natomiast zabrała się do mycia okien, co robiła zawsze, gdy była wzburzona. Ostatnim razem wyszorowała je kilka dni temu, po wizycie szeryfa.

Clementine jeszcze nie wróciła, najmłodsza siostra Marsden ruszyła więc na strych, mając nadzieję, że znajdzie tam Elenor. Ginger czuła się samotna. Pomieszczenie było jednak puste, nie licząc gratów piętrzących się aż po sam sufit i drobinek kurzu wirujących leniwie w smugach światła. Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, wciąż stojąc na drabinie, niepewna, czy powinna wejść. Sama nie wiedziała, dlaczego się waha.

W końcu przełożyła nogę i wkroczyła do środka.

Powietrze na strychu było parne i duszne, zwoje pajęczyn zwisały w kątach i pomiędzy niektórymi porzuconymi tam sprzętami i przedmiotami. Skóra Ginger stała się wilgotna, koszulka lepiła się do pleców, a włosy do karku.

Rozejrzała się i nagle dostrzegła luźną deskę, na którą nadepnęła minionej nocy. Lekko odstawała, choć Ginger była pewna, że dokładnie odłożyła ją na miejsce. Zmarszczyła brwi i podeszła bliżej. Pociągnęła za deskę, żeby móc ją lepiej dopasować, i niespodziewanie zobaczyła ziejący pod spodem otwór, którego nie dostrzegła wcześniej w ciemności. Nic dziwnego, że podłoga w tym miejscu zawsze sprawiała kłopoty i dziwnie chybotą przy każdym nadeptnięciu. Odsunęła do końca deskę i zajrzała do środka. Coś dostrzegła, więc nieśmiało wsunęła rękę w otwór. Wyciągnęła gruby zwitek kartek. I nagle dziewczyna się zawstydziła. Ktoś ukrył te strony specjalnie, być może Elenor, bo nie chciał, aby inni je oglądali. Zawahała się. Arkusze były pozółkłe, zupełnie jakby ktoś skrył je już bardzo dawno temu. Delikatnie rozłożyła zwitek, obiecując sobie, że jeśli będzie to coś osobistego należącego do któregokolwiek z domowników, od razu odłoży na miejsce.

Zobaczyła jednak rysunki.

Zostały wykonane węglem lub ołówkiem, część była rozmazana, jakby autor nieopatrznie przejechał po nich dłonią. Przedstawiały dokładnie tę samą istotę, która widniała na ścianach w domu Lorelei Garcii. Ginger poczuła, jak kręci jej się w głowie.

Clementine miała rację. Mattias mógł iść wtedy do tej kobiety. Znał ją.

Dziewczyna zaczęła rozkładać arkusze na podłodze przed sobą i po pewnym czasie ze wszystkich stron patrzyła na nią istota o jeleniej czaszce zamiast głowy i porożem porośniętym bluszczem. Czasami została namalowana jak na portrecie, innym razem uwieczniono ją z profilu lub z pyskiem uniesionym w górę, zupełnie jakby wyła bądź węszyła. Upiora otaczały drzewa przypominające linie nakreślone szybką ręką, zupełnie jakby były czymś nieważnym, nieistotnym, podczas gdy wszystkie listki na porożu drobiazgowo zilustrowano, jeden po drugim. Ginger doskonale to widziała, nawet jeśli część się starła, kiedy kartki zwinięto w rulon.

Gdy tak patrzyła na rysunki, odniosła wrażenie, że postacie się poruszają, nieznacznie wyginając się na papierze. Im dłużej się przyglądała, tym bardziej czuła się niezręcznie, jakby nakryła kogoś na czymś wstydlwym. Nie podobało jej się to.

Może to wszystko namalowała Elenor? Wcale nie musiały należeć do Mattiasa, jej najstarsza siostra też potrafiła rysować. Tak jak i Clementine. Ginger również miała niejaki zdolności w tym kierunku, choć specjalizowała się w uwiecznianiu roślin – liści, kwiatów, pąków, drzew przypominających powykręcane dłonie.

Niepewnie uniosła jeden z rysunków i zbliżyła go do oczu – przedstawiono na nim istotę niczym cień, z białą czaszką wyłaniającą się z ciemności. Odwróciła go, szukając podpisu –

każdy autor zostawiał na swoim dziele jakiś znak, nawet najdrobniejszy.

I rzeczywiście: w rogu widniały inicjały nakreślone ołówkiem, przypominające niespokojne fale – M.M.

Ginger wypuściła powietrze z płuc, wciąż nie mogąc zrozumieć, dlaczego serce tak mocno obija jej się o żebra, zupełnie jakby chciało się uwolnić i uciec.

Upuściła kartkę na podłogę, inicjałami do góry.

Nie było żadnych wątpliwości.

KSIĘGA CZWARTA

**SŁOWA NICZYM KOŁORY
WYPŁYWAJĄCE Z UST**

Rozdział 30

Wiatr cicho szeleścił wśród traw, a cykady grały mu do taktu.

Elenor i jej ojciec niewiele się do siebie odzywali, bo wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, już powiedzieli. Wsłuchiwali się we własne kroki, cykady i szumiący wiatr, który był równie gorący jak powietrze i tylko w niewielkim stopniu chłodził rozgrzaną skórę.

Elenor uniosła włosy, które lepiły jej się do karku, i wytarła pot dłonią. Asphalt palił podeszwy jej stóp, ale prawie tego nie czuła, gdy tylko zachowywała odpowiednie tempo marszu. Tata cały czas wlokł się za nią. W pełnym słońcu wyglądał jeszcze bardziej blado i córka naprawdę się o niego martwiła, próbowała to jednak w sobie zdusić, bo Eric Marsden doprowadził się do tego stanu na własne życzenie.

Gdy weszli między drzewa, tylko pozornie zrobiło się nieco chłodniej. Wciąż nie odzywając się do siebie, przeszli podjazdem, mijając starą furgonetkę, i weszli do domu; tata – ciężko tupiąc, a Elenor – zwinnie przeskakując nad stopniami.

Drzwi głośno trzasnęły i w korytarzu pojawiła się Lisa, marszcząc brwi i nieco zbyt nerwowo ściągając z siebie gumowe rękawice. Z głębi salonu dochodziły dźwięki serialu oglądanego przez babunię.

- Nie chcę się kłócić – mruknął Eric, zrzucając buty.
- Ty po prostu nie chcesz rozmawiać – odparła jego siostra, mnąc rękawice w dłoniach. – Nawet nie wiesz, co się dzieje w domu.
- Odleciałem tylko na kilka dni – odparł tata, sunącym krokiem przechodząc do kuchni. Otworzył lodówkę, wyciągnął karton mleka

i napił się prosto z pudełka.

Lisa nie powiedziała ani słowa na temat drobinek śliny zostawianych w opakowaniu.

Mówiła za to inne rzeczy.

– Masz dzieci, nie możesz odlatywać nawet na chwilę! Szczególnie w taki sposób. Czy ty to rozumiesz?!

Tata miał przynajmniej tyle godności, że nie zaprzeczał.

Elenor przysłuchiwała się im z boku, nawet w najmniejszym stopniu nie próbując się wtrącać. Wciąż stała w progu, mając widok zarówno na babunię siedzącą na kanapie w salonie, jak i na ciotkę oraz ojca sprzeczącących się w kuchni.

– Twoja była napisała do dziewczyn – powiedziała Lisa, opierając się biodrem o kamienny piec. – Ty oczywiście o tym nie wiesz.

– Nie wiedziałem nawet, czy ona jeszcze żyje – parsknął Eric.

– Śmiesz cię to?

– Nie. Nie chcę jej tu widzieć. Ale nie mogę zakazać jej kontaktów, w końcu to ich matka.

– Która zwiąła!

– Wiem to, bo nawiała również ode mnie! – Tata zrobił się czerwony na twarzy, odstawił mleko na miejsce i potarł policzki dłońmi. Kiedy przejechał palcami po zaroście, rozległ się szeleszczący dźwięk. Cienie pod oczami jakby się pogłębiły, przez co jego twarz wydawała się jeszcze bardziej brzydka. – Co takiego pisze? – zwrócił się do Elenor.

– Nie wiem – odparła dziewczyna, czując się jak uczennica niespodziewanie wywołana do tablicy. – Nie otwierałyśmy go.

– Widzisz? Moje córki też są ludźmi i czują do niej taki sam żal jak i ty – mruknął Eric do siostry.

– Ja nie czuję żalu. – Lisa machnęła ręką, a z gumowych rękawiczek oderwało się kilka kropelek wody. – Ja czuję wściekłość!

Poza tym nie masz pojęcia, czego ona chce!

– I pewnie nie dowiemy się tego, póki nie otworzą tego listu.

Lisa zacisnęła usta w wąską linię, znowu krzyżując ramiona na piersiach. Z rękawiczki spłynęła cienka strużka wody, tworząc plamę na jej koszulce.

Elenor miała właśnie coś powiedzieć, gdy nagle drzwi prowadzące na wąską klatkę schodową się otworzyły i w korytarzu pojawiła się najmłodsza z sióstr Marsden, ściskając w dłoniach plik pożółkłych kartek. Ginger podbiegła do Elenor, wyciągając przed siebie ręce, zupełnie jakby chciała dać jej to, co w nich trzymała.

– Spójrz, co znalazłam! – wykrzyknęła. Jej spojrzenie powędrowało jednak w bok, do kuchni, i zatrzymało się na Ericu Marsdenie. – Tata! Zobacz, co znalazłam! – powtórzyła Ginger.

Elenor zakręciło się w głowie, gdy usłyszała ton głosu swojej najmłodszej siostry. Wszystko, wszystko, wszystko miało być już w porządku! Dlaczego więc wciąż czuła gulę w gardle? Przecież dawno temu, gdy były znacznie młodsze, tata udowodnił, że można mu ufać.

Dziewczyny wkroczyły do kuchni: Ginger dziwnie poruszona, a Elenor na sztywnych nogach, próbując ukryć swój popłoch. Najmłodsza siostra rozłożyła na stole część kartek, ostrożnie dotykając papieru. Wtedy Elenor zobaczyła rysunki, wszystkie przedstawiające istotę o jeleniej czaszce zamiast głowy i porożu porośniętym bluszczem. Z początku nie rozumiała, co widzi, po prostu stała i patrzyła, podczas gdy Eric i Lisa podeszli bliżej, nachylając się nad blatem. Powietrze stało się jakby cięższe i bardziej przytłaczające.

– Gdzie je znalazłaś? – zapytał zaskoczony tata, biorąc do ręki jeden z rysunków.

– Na strychu pod luźną deską – odpowiedziała Ginger, wpatrując się w niego uważnie. – Należały do wujka, prawda?

Eric kiwnął głową.

– Wieki ich nie widziałem – rzekł, siadając przy stole. Zaczął uważniej oglądać rysunki, biorąc do ręki i odkładając kolejne kartki, które wydawały się tak kruche, jakby w każdej chwili miały się rozpaść.

Elenor podeszła bliżej.

– Takie same widnieją na ścianach domu Lorelei Garcii – zauważyła, czujnie wpatrując się w twarz ojca.

Mężczyzna uniósł wzrok i odwzajemnił spojrzenie. Jego oblicze nie miało już tego dziwnego, szarawego odcienia, choć wciąż wyglądało blado.

– Wiem.

Elenor zamrugała.

– Czy to znaczy, że się znali? On i pani Garcia?

– Tak, nawet się lubili, bo łączyło ich uwielbienie do lasu. – Tata spojrzał przelotnie na okno, za którym wznosiły się stare drzewa. – Zawsze czułem się w ich towarzystwie jak na doczepkę.

Ginger i Elenor wpatrywały się w niego oniemiałe.

– Znaliście panią Garcie? – powtórzyła Ginger. – Tę panią Garcie, która uważana była za dziwaczkę i odludka?

– Cóż... – Tata podrapał się po zarośniętym policzku. – Powiedziałbym, że znaleźliśmy ją na tyle, na ile nam pozwoliła.

– To i tak... – Elenor pokręciła głową. – Nikt w miasteczku nigdy nie powiedział nam, że się przyjaźniliście.

– Nigdy nie spotykaliśmy się wśród ludzi. – Eric wzruszył ramionami. – Tylko w lesie albo u niej. I nigdy nie czuliśmy przymusu, że musimy się tym chwalić. Tak samo jak ona.

Ciotka Lisa potrząsnęła głową.

– Czy to nie ona przeganiała wszystkich ze strzelbą? – zapytała.

– Tak, to ona – przyznał tata. – Nas też kiedyś pogoniła, bo myślała, że jesteśmy dzieciakami z miasteczka.

Lisa westchnęła i odwróciła się, żeby nastawić wodę na herbatę.

– Mogła was zabić!

– Pewnie tak. Ale dzieciaki nie myślą raczej o takich rzeczach.

Elenor i Ginger wymieniły spojrzenia, podczas gdy rysunki niczym znaki zapytania piętrzyły się przed ich oczyma, rozłożone starannie na blacie stołu.

– Tato... – zaczęła najstarsza siostra Marsden – opowiedz nam o tym wszystkim. A przede wszystkim powiedz, skąd wzięły się te rysunki. Zawsze myślałyśmy, że ich autorką była Lorelei Garcia.

Mężczyzna westchnął.

– Nie dziwię się.

Siostry wpatrywały się w niego uważnie, wyczekując odpowiedzi. Tata znowu głęboko odetchnął.

– Te rysunki wykonał Mattias. Właściwie on wymyślił tę postać.

Rozdział 31

Chłopak leżał pod jabłonią i wpatrywał się w liście rozświetlone padającym na nie słońcem. Wyraźnie widział ich delikatne żyłki. Miał ochotę chwycić się promieni i odfrunąć, gdzieś daleko od Conetoe, wiecznie niezadowolonej matki, tam, gdzie nigdy nie nadchodzi noc, można pić alkohol i bez końca leżeć tak pod niebem. Żuł w ustach źdźbło trawy, wodził po nim językiem i wyobrażał sobie, że robi to samo, ale z kobiecymi ustami.

Nagle usłyszał głos tak bardzo podobny do jego własnego.

– Eric!

Chłopak się podniósł i spojrzął przez ramię na brata stojącego w drzwiach domu, który otaczały starannie przycięte krzewy róż. W przyszłości budynek porosną akacja i sięgające bioder pokrzywy, ale to jeszcze nie ten czas.

Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy, właśnie nadeszło lato, podczas którego Mattias zaginie, a Eric się zagubi.

– Chodź, właśnie skończyłem! – krzyknął chłopak stojący w drzwiach. Uśmiechał się, dłonie miał szare od grafitu.

– Już idę! – odkrzyknął Eric i podniósł się, wypluwając źdźbło trawy.

Miał siedemnaście lat i był tak podobny do brata, że niemal nie dało się ich rozróżnić. Z przydługimi, potarganymi włosami koloru jeleniej sierści i oczami, które tak długo spoglądały w niebo, że aż przybrały jego barwę; obaj wyglądali jak dzieci lasu. Byli młodzi i dzicy, przekonani o swojej nieśmiertelności.

Eric ruszył do domu i wszedł do środka, przeskakując kilka stopni prowadzących do drzwi. Znalazł się w salonie, w którym wciąż

panowały lata pięćdziesiąte – stały tam drewniana meblościanka, regały wypełnione książkami i kanciasta kanapa obita zieloną tapicerką. Lorelei Garcia nie miała telewizora, a w jej domu było czysto, zupełnie jakby całymi dniami nie robiła nic innego, tylko sprzątała.

Mattias stał pod jedną ze ścian pokrytą starą tapetą w kolorze kawy z mlekiem i czekał na ocenę swojego dzieła.

To była istota o jeleniej czaszce zamiast głowy i porożem porośniętym bluszczem. Eric się zbliżył, żeby lepiej się przyjrzeć. Miał neodparte wrażenie, jakby stwór miał zaraz ożyć i się na niego rzucić. Chłopak zapragnął dotknąć malunku, jakby się spodziewał poczuć pod palcami fakturę kości lub delikatnych listków. Nie zrobił tego jednak, bojąc się, że mógłby rozmazać linie. Zamiast tego pokiwał głową z uznaniem.

Mattias przysunął się i stanął obok. Niemal stykali się ramionami.

– Dlaczego wciąż to rysujesz? – zapytał Eric. Tego samego dnia oglądał notatniki brata i widział kartki wypełnione ilustracjami właśnie tej istoty.

– Nie wiem – odparł Mattias. Mimo że wciąż się uśmiechał, było w jego twarzy coś, co sprawiało, że Eric nie potrafił oderwać od niego spojrzenia. Nie miał pojęcia, jak to zinterpretować.

Bliźniak odsunął się nieco i choć próbował to ukryć, napięcie nie zniknęło z jego oblicza, przypominało cień zasnuwający słońce.

– Jak zamykam oczy, wciąż go widzę. Może jak będę go rysować, to w końcu zniknie – powiedział w końcu, wzruszając przy tym ramionami, jakby chciał w ten sposób zakomunikować, że to nic takiego.

Eric poczuł przemożną chęć rozweselenia go.

– A tak w ogóle, to czy Garcia wie, że jej to tu nabazgrałeś? – Trącił go ramieniem i uśmiech jego brata stał się nieco szerszy.

– Sama mi kazała – odparł Mattias i odgarnął niesforne kosmyki z oczu, zostawiając na czole grafitową smugę. – Jak zobaczyła go w moim notatniku, nazwała go Odwiecznym i stwierdziła, że muszę go tu namalować.

Eric parsknął krótkim śmiechem.

– Świruska.

Mattias kiwnął powoli głową.

– Tak... Nawijała przy tym jak najęta, a potem nagle zmieniała temat. To była jedna z tych dziwniejszych rozmów.

Chłopcy się zadumali, wpatrując w ścianę przed sobą, z której patrzyła na nich istota pozbawiona oczu.

Eric zdał sobie sprawę z tego, że ona tu pasuje – przez chwilę miał wrażenie, jakby była tu od zawsze, tylko dopiero teraz ją zauważył. Dziwnie się z tym czuł i nie miał pewności, czy mu się to podoba. Odwrócił wzrok i trącił impulsywnie brata w bok. Mattias parsknął, cofając się o kilka kroków, i Eric momentalnie poczuł, że się uśmiecha. Skoczył do przodu i rzucił się na bliźniaka. Ich śmiech był taki głośny, głośny, głośny. Próbował go przewrócić, chwycić za nadgarstki i przytrzymać, ale Mattias raz za razem mu się wyślizgiwał; z jego gardła wciąż wydobywał się donośny chichot, sam Eric miał wrażenie, jakby zaraz miał pęknąć.

Tak właśnie wygląda szczęście.

Mattias po raz kolejny się wywinął, podcinając jednocześnie brata; Eric wrzasnął, przetaczając się po podłodze.

– Ha! – krzyknął triumfalnie młodszy bliźniak, wznosząc dłonie ku górze. – Mam cię, ty szmato!

– Nie! – Eric próbował się podnieść, ale role nagle się odwróciły, i to teraz Mattias próbował go przytrzymać, docisnąc do podłogi

i napluć mu do ucha. Czuł, że brzuch zaczyna boleć go od śmiechu. – Nie! – Zrzucił z siebie brata i popędził na zewnątrz między drzewa. Słyszał, jak Mattias pędzi za nim.

– Chłopcy? – Gdzieś z tyłu mignęła mu sylwetka Lorelei Garcii, przypatrująca im się z zaciekawieniem. Nie była taka jak ich matka, nigdy nie karciła za takie zabawy, nie denerwowała się, gdy tylko podnosili głos. Nie marszczyła twarzy, jakby jej nozdrza wypełniał zły zapach.

Eric wciąż jednak czuł jej spojrzenie na sobie, jakby kobieta nieprzerwanie na coś czekała, choć chłopak nie miał pewności, co to mogłoby być.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na brata, ale jego już nie było. Chłopak się zaśmiał, rozkładając ramiona, zupełnie jakby się poddawał.

– Hej, Mattias! Gdzie jesteś?

Rozdział 32

Chłopak leżał pod jabłonią i wpatrywał się w liście rozświetlone padającym na nie słońcem. Wyraźnie widział ich delikatne żyłki. Miał ochotę chwycić się promieni i odfrunąć gdzieś daleko, gdzie przeżywa się przygody podobne do tych z książek, gdzie istnieje magia i nic nie jest takie, jakie się wydaje. Żuł w ustach źdźbło trawy, wodził po nim językiem i myślał, co takiego wydarzyło się w domku niedaleko.

Z zamyślenia wyrwał go cichy głos dziewczyny leżącej obok niego.

– Powinnam już wracać – powiedziała Clementine.

Dirk się odwrócił, żeby na nią spojrzeć. Na policzkach migotały jej świetliste plamki.

– Odprowadzić cię?

– Pewnie.

Wstała i pomogła mu się podnieść, podając dłoń.

– Chociaż nie wiem po co – dodała, uśmiechając się krzywo, dzięki czemu wiedział, że żartuje. – Znam ten las lepiej niż ty, nic mi nie grozi.

– Robię to z grzeczności, a nie dlatego, żeby cię bronić – odparł. – Tak mnie matka wychowała. Gdy zaatakują nas wilki, rzucę im ciebie, a sam bezpiecznie się oddalę.

Clementine zaśmiała się głośno, odchylając głowę do tyłu.

– Twoja mama może być z ciebie dumna.

– Przekażę jej to – stwierdził chłopak. Rozpierała go duma, bo zdołał rozbawić Clem Marsden. Zdziwiło go to.

Oddalając się, rzucił ostatnie spojrzenie na dom, milczący i skryty za zielenią. Miał wrażenie, jakby ktoś przyglądał mu się z okna, poczuł dziwne dreszcze przebiegające w dół po kręgosłupie. Może to przez te rysunki – nawet gdy siedział w sadzie, miał ciągłą świadomość, że one tam są, na zawsze utrwalone na ścianach, nakreślone czyjąś ręką co najmniej dwadzieścia lat temu.

A może to Lorelei Garcia na niego patrzyła? Czytał w jednej ze swoich książek, tych, do których nawykł się nie przyznawać, że ludzkie dusze przywiązują się do ulubionych za życia miejsc. Może duch kobiety nie potrafił odejść.

Otoczające go dęby stały się nagle niepokojące i złowrogie, Dirk niemal spodziewał się mgły wznoszącej się nad ziemią – co oczywiście nie nastąpiło. To był jeden z cieplejszych dni lata, żar lał się z nieba, koszulka lepiała się do ciała, a cykady grały na ukwieconej łące, pasmem rozciągającej się między jednym lasem a drugim.

Dirk ukradkiem przypatrywał się Clementine, jej brązowym włosom przyklejającym się do policzków, smukłym nogom i dłoniom raz za razem wodzącym po chropowatej korze mijanych drzew.

Nie miał pojęcia, dlaczego wciąż wraca do niej wzrokiem.

Minęli bagna i chroniące je olszyny, przypominające teraz Dirkowi milczących wartowników. Clementine z zadziwiającą naturalnością poprowadziła chłopaka dalej, jakby trzymając się własnych wytartych ścieżek. Brewer się zastanawiał, ilu jeszcze mieszkańców lasu z nich korzysta. Czasami trudno było ich dostrzec, ale dziewczyna raz za razem pokazywała, gdzie ma patrzeć – na drobne ślady odcisnięte w ziemi lub delikatne nitki sierści zaczepione o gałązki krzewów. Poza tym wciąż słyszeć ptaki. Las w żadnym wypadku nie był wymarły.

Nie zatrzymując się, w końcu dotarli na miejsce. Dirk dostrzegł między drzewami obrośnięte bluszczem mury budynku i przez chwilę miał wrażenie, jakby wrócił pod dom Lorelei Garcii. Nie wiedzieć czemu, serce podjechało mu aż do gardła. Dostrzegł kogoś, czyjaś sylwetka mignęła mu przed oczyma i chłopak momentalnie przystanął, nie bardzo wiedząc, na co patrzy.

– Spokojnie, to tylko Ginger. – Clementine chwyciła go za ramię i delikatnie pociągnęła.

Rzeczywiście, najmłodsza z sióstr Marsden wirowała przed domem, jednocześnie wyplatając wianek z delikatnych gałązek bzu i akacji. Wyglądała, jakby tańczyła do muzyki słyszanej tylko we własnej głowie. Ciemne falujące włosy podskakiwały wraz z nią, a kwiecista spódnica delikatnie owijała się wokół ud. Choć wszystkie siostry były dziećmi drzew i kamieni, to właśnie Ginger wydawała się najbardziej eteryczna. Dirk nie mógł pojąć, dlaczego wcześniej tego nie zauważył.

Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku, jakby melodia nagle się urwała, i uśmiechnęła szeroko na ich widok.

– Czekałam na was – powiedziała.

Dirk zmarszczył brwi.

– Na nas? – zapytał.

Ginger kiwnęła ręką, zachęcając ich, aby zeszli za nią do środka.

– Dzwoniłam do ciebie do domu, ale twoja mama powiedziała, że wyszedłeś. Pomyślałam więc, że może jesteś z Clementine.

– Macie mój numer? – dopytywał zaskoczony.

– Nie, ale był w książce telefonicznej. – Ginger obróciła się wokół własnej osi, aby na niego spojrzeć. – Mamy taką.

Dirk nie potrafił nie odwzajemnić jej uśmiechu.

– Nie wątpię.

Najmłodsza Marsdenówna otworzyła drzwi i Dirk ponownie się zawahał. Nigdy tu nie był. Wiedział, oczywiście, gdzie mieszkają Marsdenowie, tak jak każdy zresztą, Conetoe to w końcu mała miejscina; adres Brewerów również nie stanowił tajemnicy. Chłopak nigdy jednak nie myślał o przyjściu tutaj. Nawet gdy miał zamiar spotkać się z siostrami, kierował się pod dawny adres Lorelei Garcii.

Jak miał się przedstawić rodzinie? Jako kolega? Jeszcze nie tak dawno znał dziewczęta ledwie z widzenia, nawet teraz nie miał pojęcia, na czym polega tak naprawdę ich relacja i co się z nią stanie, gdy lato wreszcie dobiegnie końca.

Obejrzał się na Clementine, szukając u niej wsparcia. Ona jednak patrzyła na swoją siostrę, marszcząc podejrzliwie brwi.

– Dlaczego jesteś taka wesoła? – zapytała.

– I dlaczego dzwoniłaś? – dodał Dirk. Wreszcie wkroczył do środka. Gdy szedł korytarzem w głąb domu, czuł, jak serce obija mu się o żebra.

Ginger odwróciła się przez ramię i delikatnie uśmiechnęła. Zignorowała Clementine i spojrzała prosto na chłopaka.

– Dowiedzieliśmy się kilku rzeczy o wujku Mattiasie i Lorelei Garcii. Pomyśleliśmy, że chciałbyś to wszystko usłyszeć.

Rozdział 33

Zaczęło się na łące usłanej kwieciami, między jednym lasem a drugim – dęby były wtedy nieco niższe, ich gałęzie przestronniejsze i przepuszczały więcej światła. Bliźniacy Marsden również liczyli mniej lat i uciekli tutaj przed hałasem, jaki powodowały ich matka oraz czteroletnia siostra.

Las jak zwykle powitał chłopców z otwartymi ramionami.

Eric zerwał źdźbło trawy i wsunął je do ust, podczas gdy Mattias pruł naprzód, wyciągając przed siebie dłonie, zupełnie jakby chciał dotknąć kwiatów opuszkami palców, choć te nie sięgały jeszcze tak wysoko; część z nich nawet nie zakwitła.

– Stój! – zaśmiał się Eric, przytrzymując źdźbło zębami. – Tam zaczynają się ziemie Garcii, zobaczysz, że pogoni cię ze strzelbą!

Mattias parsknął, ale posłusznie się zatrzymał.

– Wcale nie – odparł niepewnie, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w brata.

– No to zapytaj Rogera Brewera. Potwierdzi!

Mattias potrząsnął głową. Roger był od nich znacznie starszy, chodził już do liceum i nie zadawał się z takimi dziećmiakami jak oni.

Eric znowu się zaśmiał i wyszedł z cienia, przegryzając źdźbło trawy. Teraz słońce padało już na obu braci, w powietrzu można było poczuć zapach zbliżającego się lata, trawa lekko drgała i ugięła się przed chłopcami.

– Pomarańcz – rozbrzmiał nagle damski głos i spomiędzy dębów wyszła Lorelei Garcia. – To kolor kreatywności. Dobry kolor.

Bracia zeszywnieli, przyglądając się kobiecie. Już dawno przekroczyła pięćdziesiątkę, ale wciąż była piękna mimo siwych

pasm w długich czarnych włosach i zmarszczek zdobiących kąciki oczu. Miała na sobie spódnicę w kratę sięgającą kostek oraz białą koszulę z podłużnym spiczastym kołnierzykiem i mankietami ubrudzonymi ziemią. Chłopcy nie patrzyli jednak ani na ubranie, ani nawet na jej piękną twarz – wpatrywali się w strzelbę o długiej, błyszczącej lufie, nonszalancko opartej na ramieniu Lorelei.

– Bliźniacy Marsden – rzekła Garcia trudnym do określenia tonem.

Chłopcy nie potrafili ocenić, czy brzmiało to jak obelga, czy raczej było jedynie stwierdzeniem faktu.

– Herbacy – dodała po chwili kobieta, spoglądając na Mattiasa. – I ochra – rzuciła, omiatając spojrzeniem Erica.

Nie mieli pojęcia, o czym mówi.

– Nie weszliśmy na pani teren – powiedział starszy bliźniak, a źdźbło wypadło mu z ust. – I wcale nie mieliśmy zamiaru zakłócać pani spokoju. Naprawdę.

Mattias zaczął się cofać, aż w końcu stanął za plecami brata, zupełnie jakby ten mógł ocalić go przed wszystkim, również przed starszą panią o niezbyt dobrej opinii.

– Chodźmy stąd – szepnął do brata, nie spuszczając oczu z Lorelei Garcii.

– Czego tu szukacie? – zapytała kobieta, poprawiając strzelbę. Nic nie robiła sobie z ich zdenerwowania. Możliwe, że nawet go nie dostrzegła.

– Tylko spacerujemy – powiedział szybko Eric. – Jak pewnie pani wie, mieszkamy niedaleko, po drugiej stronie drzew. – Wskazał dłonią za siebie. – Ten las zaczyna się dosłownie kilka kroków od naszego domu.

Garcia się uśmiechnęła.

– Goniliście kiedyś za ognikami?

– Nie wolno tego robić – odezwał się Mattias. – Mogą zwiędć na manowce, przecież wszyscy wiedzą, że to pokutujące dusze.

To jedno zdanie sprawiło, że Lorelei Garcia zapałała do młodszego bliźniaka czystą i całkowicie szczerą sympatią – pomimo prób Eric nigdy tego nie zrozumiał. I tak to się zaczęło, na łące usłanej kwieciami, między jednym lasem a drugim – dęby były wtedy nieco niższe, ich gałęzie przestronniejsze i przepuszczające więcej światła. Bliźniacy Marsden również liczyli mniej lat i przyszli tu, nie mając pojęcia, że znajdą w tym miejscu coś innego niż zazwyczaj.

Bo Lorelei Garcia może i była szalona, ale jednocześnie intrygująca i niezwykła – jedno wynikało z drugiego, ale to nie miało znaczenia.

A przynajmniej na początku.

Rozdział 34

Lisa tak mocno zaciskała dłonie na kubku, że aż pobielewały jej palce. Herbata już dawno zdążyła wystygnąć, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Wpatrywała się intensywnie w brata i wyglądała tak, jakby ostatkiem sił próbowała powstrzymać pewne słowa przed opuszczeniem jej ust. W tej chwili sprawiała wrażenie zdecydowanie starszej, choć przecież nie przekroczyła nawet trzydziestki.

– Naprawdę będziemy teraz o tym rozmawiać? – zapytała, siląc się na spokój. – Powinnyśmy omówić bardziej naglące problemy.

Potem jednak do ich grona dołączył Dirk Brewer i Lisa głęboko odetchnęła, choć napięcie nie zniknęło całkiem z jej twarzy.

– Zresztą to i tak dobry początek – uznała i przelotnie uścisnęła dłoń Elenor.

Dziewczyna miała ochotę z całej siły wyściskać ciotkę i zdjąć z jej ramion część trosk. Kobieta nie była w ostatnich dniach najłatwiejszą osobą we współżyciu, ale Elenor nie mogła mieć do niej o to pretensji – powinno się jej żałować. Dziewczyna nie chciała jednak współczuć ciotce, ale nie dlatego, że ta na to nie zasługiwała – nie chciała po prostu, aby ktokolwiek litował się nad ich rodziną.

– To jest właśnie Dirk – powiedziała Ginger, wprowadzając zawstydzonego chłopaka do kuchni.

Tata ledwie zauważalnie kiwnął mu głową, ciężko opierając łokcie o blat stołu. Lisa uśmiechnęła się i uścisnęła mu dłoń, proponując herbatę. Nie czekając na odpowiedź, po raz kolejny postawiła czajnik na kuchence.

Powinni zrelacjonować nowo przybyłemu wszystko, czego siostry dowiedziały się od swojego ojca, ale żadne z nich nie podjęło tematu, a sam Dirk również nie nalegał – być może był zbyt zawstydzony. Clementine stała w progu i po prostu wpatrywała się w nieruchomego tatę, zupełnie jakby mężczyzna został wycięty z kartonu. Powietrze wokół robiło się parne i ciężkie.

Tak zastał ich Charlie. Wpadł do środka i z okrzykiem ulgi zszedł buty, rzucając je w kąt, po czym zważnym krokiem wszedł do kuchni, w obu rękach niosąc zakupy. Clementine musiała się odsunąć, aby go przepuścić, i wtedy jego wzrok padł na gościa wciąż stojącego na środku pomieszczenia z wyrazem zagubienia na twarzy.

– Dirk Brewer we własnej osobie! – zawołał ze śmiechem Charlie, a Elenor z ciotką podeszły, aby pomóc mu z pakunkami. – I Eric! Wyglądasz paskudnie.

Tata uniósł kubek z herbatą w potwierdzeniu lub geście powitania, Elenor nie miała pewności.

– Dirk, napijesz się czegoś? – zapytał Charlie, wyciągając ku niemu uwolnioną już dłoń, którą chłopak szybko uściśnął.

– Właśnie robię mu herbatę – wtrąciła Lisa, zanim Brewer zdążył odpowiedzieć.

– Świetnie. – Jej mąż zakasał rękawy koszuli, wciąż nie przestając się uśmiechać. – Może zostaniesz na kolacji? Mam zamiar zrobić coś dobrego.

– Ja... – Dirk zerknął po kolei na siostry Marsden.

Clementine parsknęła, opierając się o framugę i krzyżując ramiona na piersiach.

– Lepiej zgódź się od razu – powiedziała. – Bez względu na to, jak będziesz się opierał, wujek tak cię zbałamuci, że zostaniesz nawet na deserze.

Charlie mrugnął do niej.

– Skąd wiesz, że będzie deser?

– Faj! – Clementine udała, że się wzdyga. – Mówiłam ci, żebyś tak nie robił! Nie mrugaj do mnie!

Charlie śmiał się już w głos.

– To jak, Dirk? Zostaniesz?

Chłopak wygiął usta dokładnie w tym uśmiechu, który tak lubiły staruszki i nauczyciele.

– Chyba nie mam wyboru.

– I to lubię! – Charlie podszedł do kuchennego blatu, gdzie Lisa wykładała zakupy. – Zostaw, ja to zrobię. – Cmoknął ją w policzek i delikatnie odsunął. – W tej kuchni ja rządzę, kobieto!

Lisa, już całkiem rozluźniona, zdjęła z kuchenki czajnik i zalała herbatę.

– Siadaj – powiedziała do Dirka.

– Dziękuję.

Elenor podeszła do Charliego, który właśnie szukał odpowiedniego naczynia w jednej z szafek. Próbowwała zignorować obecność młodego Brewera w ich kuchni, tak bardzo niepasującego do tego miejsca, jakby siłą wklejono go do zdjęcia. Nie miała pojęcia, dlaczego tak ją zawstydział.

– Może ci pomóc? – zaproponowała Charliemu.

– A wiesz, bardzo chętnie skorzystam. – Mężczyzna się uśmiechnął, wyciągając brytfannę. – Możesz obrać i pokroić ziemniaki?

– Jasne.

Siostry dołączyły, chwytając obieraczki. Dirk również chciał pomóc, ale Charlie dał mu inną pracę, wciskając do ręki marchewki. Lisa przewróciła oczami.

– Jak już wszyscy pomagają, to i ja pomogę.

– Tata tego nie robi. – Clementine z uśmiechem wycelowała w niego palcem. – Wytłumacz się, panie Marsden!

– Tylko wszystko bym popsuł. – Tata posłał jej zmęczony uśmiech.

Dziewczyna chyba nie potrafiła dłużej naciskać, bo odwróciła się i sięgnęła po ziemniaka z foliowej torby.

– Dużo mamy ich obrać?

– Jak najwięcej! – Charlie uniósł pięść w dziwnie znajomym geście.

– Kogo udajesz? – zapytała Elenor, czując, jak wbrew sobie się uśmiecha. – He-Mana?

– Tak, a co?

Charlie powoli opuścił ramię, przybierając przy tym minę niewiniątka, jak niemal zawsze, gdy dowcipkował.

– Nie rób tego – parsknęła Clementine.

Charlie udał, że się krzywi.

– Wiecznie podcinasz mi skrzydła, młoda panno Marsden. To mnie rani. – Przytknął pięść do serca. – Rani dotkliwie!

– A teraz kogo udajesz?

Charlie teatralnie westchnął.

– Teraz byłem sobą i mówiłem o swoich uczuciach! Nie szydź ze mnie, Clementine!

Dziewczyna się roześmiała.

– Ciesz się, że potrafię cię rozśmieszyć, ale masz robotę! Nie obijać się!

– Chyba wolę He-Mana zamiast Stalina... – mruknęła Clem.

– Clementine! – fuknęła ciotka Lisa. – Wyrażaj się!

Elenor zerknęła na Dirka i zobaczyła, że chłopak się uśmiecha. To odkrycie ją zaskoczyło, sama nie wiedziała dlaczego.

Zdała sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy – do tej udawanej sprzeczki prawdopodobnie wciągnęłyby tatę, zmusiłyby go, aby również żartował i stanął po stronie córki. Teraz jednak nikt nie zwracał na niego uwagi; specjalnie omijano go wzrokiem i pozwalano, żeby siedział w milczeniu na drugim końcu kuchni, jakby odseparowany od reszty rodziny.

Wszystko było w porządku jedynie pozornie, pod powierzchnią mieli jeszcze sporo do naprawienia.

Charlie zrobił zapiekankę z mięsem, ziemniakami i warzywami, w powietrzu uniósł się zapach przypraw. Mężczyzna nastawił piekarnik i oznajmił:

– Teraz pozostaje nam już tylko czekać.

– Przebierz się, bo zaplamisz koszulę – powiedziała Lisa, czule ujmując jego przedramię.

– Dopiero teraz mi to mówisz? – zapytał, z rozbawieniem unosząc brwi. – No dobra, dobra. Nie roznieście kuchni pod moją nieobecność.

Wyszedł, a Dirk pochylił się w stronę Clementine i cicho powiedział:

– Macie naprawdę fajną rodzinę.

– Serio?

Chłopak uśmiechnął się w odpowiedzi, a Elenor nie potrafiła oderwać spojrzenia od jego zębów.

– Jakbyś nie wiedziała – powiedział, trącając Clementine biodrem. Przeniósł spojrzenie na Elenor i jego uśmiech nieco osłabł.

We wzroku Brewera dziewczyna dostrzegła wyczekiwanie i przypomniała sobie nagle, dlaczego właściwie się tu znalazł. Nie przyszedł na zapiekankę z ziemniakami, ale po informacje. Nie mogła się jednak przemóc i zacząć mówić tutaj, przy ojcu oraz Lisie,

która w sąsiednim pokoju sprawdzała, czy babunia czegoś nie potrzebuje.

– Chodźcie – powiedziała więc i we czwórkę wyszli na tyły domu, kierując się prosto do starego, zarośniętego wokół trawą volkswagena.

Rozsiedli się na podłodze. Choć zostawili uchylone drzwi, do środka wciąż dostawało się niewiele świeżego powietrza, było więc duszno i parno. Nikt się jednak nie skarżył.

– Więc czego się dowiedziałyście? – zapytał Dirk. Wyglądał przy tym, jakby zaraz miał wyskoczyć ze skóry.

Wszyscy z jakiegoś powodu spojrzeli na Elenor i dziewczyna poczuła się w obowiązku, aby wszystko opowiedzieć.

Rozdział 35

Choć tamto lato nie różniło się w zasadzie niczym szczególnym od innych upalnych dni z ich młodości – może tylko tym, że Eric coraz częściej oglądał się za dziewczętami – to po latach potrafił przywołać tylko chwile pełne wyczekiwania i dziwnego, niemal elektrycznego napięcia; zupełnie jakby nad ich głowami wciąż się coś czaiło, czekało, aż w końcu się odwróci, żeby ich zaatakować. Eric nie miał pewności, czy rzeczywiście to wyczuwał – być może tylko zniekształcał wspomnienia, tak jak dorośli, którzy z nostalgią wspominają dzieciństwo.

Starając się nie gubić myśli i opanować chęć sięgnięcia po whisky, opowiedział swoim dwóm córkom, kim według niego była Lorelei Garcia: kobietą mającą w zanadrzu mnóstwo opowieści, w które zdawała się wierzyć, nieufną, ale jednocześnie nieumiejącą wytłumaczyć, skąd się bierze ta nieufność. Kiedyś wymknęło jej się, że nie znosi, gdy ludzie ją śledzą, ale gdy Mattias poprosił, aby wyjaśniła, co miała na myśli, szybko go zbyła. Stwierdziła, że się przejęzyczyła. Chłopcy tylko wymienili spojrzenia i dali jej spokój, bo doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jeżeli Lorelei pragnie zachować sekret dla siebie, to żadnym sposobem nie pozwoli go sobie wydrzeć.

– Mattias był nią zafascynowany – powiedziała Elenor – a kiedy narysował pierwszą istotę na ścianie w jej salonie, potem nie potrafił już przestać.

Dirk potrząsnął głową.

– Niesamowite.

– Tata i wujek Mattias przychodzili do niej czasem, żeby posiedzieć w jej sadzie albo posłuchać opowieści – kontynuowała Elenor. – Miała dar opowiadania, a Mattias uwielbiał jej historie, często je ilustrował. Tata wspominał, że mówiła z taką... pasją, jakby naprawdę widziała te wszystkie duchy, zjawy i skrzaty.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby rzeczywiście tak było – mruknęła Clementine.

– Ale to, co namalował na jej ścianach, wymyślił sam – wtrącił Dirk.

– Jeśli głowę ma się zapełnioną tego typu opowieściami, to w sumie nic dziwnego – uznała Elenor. – To naturalne, że miał wybijałą wyobraźnię.

Chłopak pokiwał głową z taką miną, jakby doskonale wiedział, o czym ona mówi.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że wasz tata i wujek tak dobrze ją znali.

– Cóż... – Elenor się zawahała. – Według taty to Mattias znał ją lepiej niż on.

– Nie rozumiał jej – wtrąciła Ginger i były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała po wejściu do volkswagena. Wszystkie oczy skierowały się na nią. – Myślę, że tata nie potrafił zapomnieć, że prawdopodobnie Lorelei Garcia nie była całkiem normalna, podczas gdy wujek Mattias...

– Po prostu ją zaakceptował – dokończył Dirk.

Ginger lekko się uśmiechnęła.

– Powiedziałabym raczej, że ją „chłonał”, ale to też niewykluczone.

– To tylko domysły. – Elenor potrząsnęła gwałtownie głową. – Nie było nas tam, nie możemy tego wiedzieć.

Zamilkli na moment, dumając o Lorelei Garcii, Mattiasie i tym, co wydarzyło się ponad dwadzieścia lat temu.

Z zamyślenia wyrwał ich donośny głos Charliego, wołający na posiłek.

– Chodźcie tu! – krzyczał, wychylając się z okna i przykładając dłonie do ust na kształt trąbki. – Bo zjem wszystko bez was!

* * *

Dirk wytarł usta serwetką.

– To było naprawdę pyszne, proszę pana.

– Daj spokój, mów mi po imieniu – zaśmiał się Charlie, odkładając na moment widelec. – Nie jestem aż taki stary, żeby mówić mi per pan.

Wszyscy siedzieli przy stole, nawet babunia, która w milczeniu przeżuwała ziemniaki, wlepiając wzrok we własne dłonie. Elenor cieszyła się, widząc również ojca. Dzięki porządnemu posiłkowi i chwili odpoczynku wyglądał znacznie lepiej, dziwna bladość zniknęła i tylko sińce pod oczami przypominały, że nie wszystko było w porządku. Eric Marsden prawie się nie odzywał, po części wykorzystując to, że nikt nie zmuszał go do rozmowy i zostawiono go jego własnym myślom.

Charlie wciąż się uśmiechał, żartując z ich gościem.

– Pamiętaj, wszystko zależy od tego, ile uczucia wkładasz w przygotowywanie jedzenia – powiedział do Dirka, celując w niego widelcem. – Może chociaż ty przyswoisz moje nauki, bo moje drogie bratanice nie potrafią ich pojąć.

– Co? Nieprawda! – Clementine podniosła wzrok, wyginając usta w uśmiešku. – Po prostu mamy je w nosie.

Charlie przewrócił oczami.

– No to nie wiem, co gorsze!

– Nie przy posiłku – skarciła ich ciotka Lisa. – Jedzcie spokojnie, bo jeszcze się zakrztusicie.

Charlie sięgnął dłonią do chochli tkwiącej w brytfannie.

– Kto chce dokładkę?

– Ja poproszę – odezwał się Dirk.

– Mnie też możesz trochę dołożyć. – Ginger nadziała na widelec ostatni kawałek marchewki i wsunęła go do ust. – Ale niedużo.

Elenor przyglądała się swojej rodzinie, próbując zapanować nad zadowoleniem, jakie nagle ją ogarnęło. Za oknem wciąż było dużo światła, w powietrzu unosił się zapach róż, bylicy i suchej, rozgrzanej słońcem ziemi. Sprawa wujka Mattiasa wciąż wisiała nad ich głowami, ale w tej konkretnej chwili pozwolili sobie o niej zapomnieć. Elenor zapragnęła, żeby mieli to już wszystko za sobą, nawet jeśli oznaczało to niewygodną prawdę, bolesne rozmowy i koniec lata.

Po posiłku rozsiedli się w salonie z kubkami parującej kawy zbożowej w dłoniach, Charlie rozmawiał z Dirkiem o jego planach na przyszłość, tata jak zawsze rozłożył się na kanapie, a Elenor usiadła na parapecie okna, czując, jak gorące powietrze łaskocze ją w kark. Salon znajdował się po wschodniej stronie domu, do pokoju dostawało się więc nieco mniej światła, co nie przeszkadzało Ginger w czytaniu atlasu roślin na poduszce pod oknem.

– Ale to dopiero wstępny plan – powiedział Dirk. – Może wymyślę coś lepszego.

– Matematyka to dobry kierunek – uznał Charlie. – Elenor też idzie w tę stronę.

– I dobrze, wymiata na testach. – Chłopak uśmiechnął się nieśmiało. – Po prostu nie wiem, czy mimo wszystko to jest dla mnie.

– No cóż, masz jeszcze nieco czasu, żeby się zastanowić.

– No i w każdej chwili możesz po prostu zmienić zdanie – dodała ciotka Lisa, poprawiając koc leżący na kolanach babuni.

Staruszka nie odrywała spojrzenia od Dirka, mocno zaciskając palce na podłokietniku. Wyglądała, jakby widziała chłopaka pierwszy raz na oczy, choć to nie była prawda. Elenor skrzywiła się, czekając na słowa, które chwilę potem wyleciały z ust babci.

– Mattias, jesteś wreszcie – powiedziała kobieta, wciąż wpatrując się wielkimi, wodnistymi oczyma w Dirka.

Lisa westchnęła.

– To Dirk, mamó, kolega twoich wnuczek. Nie Mattias.

Staruszka nie wyglądała jednak, aby rozumiała, co się do niej mówi.

– Nie rób ze mnie kretynki – mruknęła z niezadowoleniem, a zmarszczki na jej twarzy tylko się pogłębiły. – Nie jestem głupia.

– Oczywiście, że nie. – Lisa posłała Dirkowi przepaszające spojrzenie. – Wybacz, ona po prostu...

– Nie zasłaniaj mi Mattiasa – przerwała jej babunia.

Elenor poczuła, jak czerwienieje, choć wcale nie powinna czuć teraz wstydu; staruszka była chora, a Dirk doskonale o tym wiedział. Jak wszyscy w Conetoe.

– W porządku – powiedział chłopak, szeroko się uśmiechając. Można by pomyśleć, że w ogóle nie przeszkadza mu to, że ktoś nazywa go imieniem martwego chłopca.

– Przynajmniej ma dobry humor – wtrącił Charlie.

– Wystarczyło przyprowadzić do niej nieletniego chłopaka – stwierdziła Clem, uśmiechając się szeroko. – To wiele o niej mówi.

– Clementine! – obruszyła się ciotka Lisa, podczas gdy tata zaczął się śmiać, nie odrywając przedramienia z twarzy. Jego siostra

obrzuciła go niezadowolonym spojrzeniem, zaciskając usta w wąską linię. – Świetnie, że pozwalasz jej na takie rzeczy!

– Na poczucie humoru? Bardzo proszę.

Lisa wypuściła powietrze przez nozdrza i przeniosła spojrzenie na męża.

– Na mnie nie patrz. – Charlie uniósł ręce w obronnym geście. – Jestem tylko biernym obserwatorem.

Lisa po raz kolejny westchnęła i rozłożyła się na wznak na dywanie, kładąc sobie kubek z kawą na piersiach i przytrzymując go dłonią, aby się nie przewrócił.

– Mattias, może jesteś głodny? – zapytała babunia, zupełnie jakby wcześniejsza rozmowa nie miała miejsca.

– Mamo, przecież Dirk jadł z nami – odpowiedziała pośpiesznie Lisa, nawet na nią nie patrząc.

Babunia zmarszczyła brwi, a Elenor przymknęła oczy, starając skupić myśli na ciepłym podmuchu łaskoczącym ją w kark. Miała ochotę zgarnąć lepiące się od potu włosy, nie wykonała jednak żadnego ruchu.

– Masz już dość? – zapytała szeptem Clementine.

Kiedy Elenor rozwarła powieki, zobaczyła, jak jej siostra nachyla się w stronę Dirka.

Chłopak pokręcił przecząco głową, delikatnie się uśmiechając, a wtedy do ich uszu dotarł przytłumiony ryk silnika. Elenor wychyliła się przez okno, obiema dłońmi przytrzymując się framugi, ale z tej strony domu nie dostrzegła żadnego samochodu. Ktokolwiek się zjawił, nadszedł z miasteczka. Dziewczyna poczuła, jak niedobre przeczucie ściska ją w dołku.

Tata od razu podniósł się z kanapy, a oznaki senności błyskawicznie zniknęły z jego twarzy, zastąpione przez zmartwienie. Zmarszczki wokół zmęczonych oczu się pogłębiły.

Podniósł się, być może po to, żeby otworzyć gościowi drzwi, ale siostra go ubiegła – już stała w progu, czekając, aż szeryf Brewer wysiądzie z samochodu i wejdzie do środka, śledzony przez kilka par oczu. Wszyscy Marsdenowie, oprócz babci, razem z Dirkiem stali w przedpokoju, a powietrze wokół nich zrobiło się tak gęste, że niemal nie dało się oddychać.

Szeryf uśmiechnął się na powitanie do Lisy, ale uśmiech ten był wymuszony, jakby mężczyzna musiał użyć wszystkich mięśni twarzy. Elenor nie miała pojęcia, jak powinna to interpretować.

– Dobry wieczór – przywitał się. – Ja... – Nagle jego spojrzenie padło na syna i szeryf przystanął, unosząc brwi w zdumieniu. – A ty co tu robisz?

Dirk uśmiechnął się nieśmiało.

– Dziewczyny mnie zaprosiły – wyjaśnił.

– Zjadł z nami kolację – wtrącił Charlie, podchodząc do szeryfa i podając mu dłoń. – Proszę wejść. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję, ja tylko na chwilę. – Mężczyzna przecesał palcami włosy, znowu wracając spojrzeniem do syna. – Dirk, pożegnaj się, proszę, z koleżankami i idź do samochodu. Zabiorę cię do domu.

Chłopak kiwnął głową, po czym odwrócił się do sióstr Marsden, zmuszając się do uśmiechu, podobnie jak jego ojciec przed chwilą.

– Widzimy się później? – zapytał.

– Jasne – zgodziła się Clementine. Cała brawura zniknęła i teraz Clem stała ze skrzyżowanymi ramionami, czekając na wieści, podobnie jak reszta jej rodziny.

Chłopak kiwnął tylko głową, po czym ruszył w kierunku drzwi, odprowadzany kilkoma parami oczu. Odwrócił się jeszcze i pomachał dłonią, a w chwili, kiedy Charlie odpowiedział mu tym samym, zniknął.

– Więc... – zaczął szeryf Brewer, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo babunia niespodziewanie wydała z siebie przeraźliwy jęk przypominający nieco odgłos tarcia metalu o metal.

Wszyscy skrzywili się zaskoczeni nagłym dźwiękiem, odwracając głowy w stronę jego źródła. Usta staruszki wyglądały jak czarny otwór, z którego wciąż wydobywał się nieznośny, piskliwy odgłos.

Ciotka Lisa błyskawicznie przeszła do salonu i przykucnęła przy kobiecie, próbując jednocześnie zmusić ją, aby nie wstawała.

– Wszystko w porządku, mamó – powiedziała uspokajająco. – Jestem tutaj.

– Przejdziemy do kuchni? – zaproponował Charlie, a szeryf Brewer kiwnął głową. – Kiedy znikniemy jej z oczu, szybciej się uspokoi. Może jednak podać panu coś do picia?

– Poproszę wodę. – Mężczyzna znowu przecesał palcami włosy, zasiadając przy stole, przy którym Marsdenowie jeszcze nie tak dawno jedli kolację. Jęki babuni wciąż były dobrze słyszalne mimo ścian. – Przepraszam, nie chciałem jej zdenerwować.

– Nie przejmuj się tym – mruknął Eric, siadając naprzeciwko niego.

Jego córki zajęły miejsce przy oknie, nieco z boku, jakby w obawie, że jeśli będą bardziej rzucać się w oczy, zostaną wyproszone. Charlie postawił szklanekę z wodą przed szeryfem i również usiadł.

– Zaczekamy na Lisę? – zapytał, choć coś w jego głosie sugerowało, że to polecenie, nie pytanie.

Szeryf kiwnął uprzejmie głową i upił łyk, a na jego czole pojawiły się kropelki potu; albo z gorąca, albo ze zdenerwowania.

Jęki dobiegające zza ściany przeszły w pełne skargi pomrukiwania, prawdopodobnie układające się w jakieś słowa, choć z tego miejsca trudno było to stwierdzić. Szeryf Brewer

wydawał się onieśmielony sytuacją, nie odezwał się jednak słowem. W końcu głos staruszki zaczął słabnąć, a w jego miejsce pojawiła się melodia z czołówki *Dr Quinn*. Po krótkiej chwili w przedpokoju rozległy się pośpieszne kroki.

– Przepraszam, że musieliście tyle na mnie czekać – powiedziała ciotka Lisa, kiedy weszła do kuchni i zajęła miejsce przy stole, tuż obok męża.

– Daj spokój – Charlie położył dłoń na ramieniu żony w czułym geście i lekko ścisnął. – Więc w jakiej sprawie pan przyjechał? – zapytał, zwracając się do gościa. – Jak się domyślam, chodzi pewnie o Mattiasa.

– Tak. – Brewer odchylił się na krześle.

Wszyscy wlepili w niego spojrzenia, z wyczekiwaniem spoglądając na jego usta. Powietrze było tak gęste i parne, jakby zbierało się na burzę, choć nic na niebie jej nie zwiastowało. Elenor miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy z jej piersi, łamiąc przy tym wszystkie żebra.

Szeryf odchrząknął i upił kolejny łyk wody.

– Przed godziną otrzymałem wyniki sekcji zwłok Mattiasa – zaczął. – Przyjechałem tu, aby poinformować was o wznowieniu śledztwa.

Elenor wstrzymała oddech. Ona i jej siostry nieświadomie pochyliły się do przodu, jakby się bały, że może im ulecieć choćby jedno słowo. Eric poszarzał na twarzy, a ramiona Lisy zeszywniały. Żadna z sióstr nie widziała jej oblicza, ponieważ ciotka siedziała do nich tyłem.

– O cholera – mruknął Charlie. – Co wykazała sekcja?

Szeryf nabrał powietrza głęboko w płuca, szykując się na słowa, które za chwilę miały paść z jego ust.

– Mattias został zastrzelony.

KSIĘGA PIĄTA

**WSZYSTKO
ODDANE ZIEMI**

Rozdział 36

Było parne niedzielne popołudnie. Żałobnicy zebrali się wokół wąskiej dziury w ziemi. Przybyło dużo ludzi, wszyscy urzędnicy i pracownicy komisariatu, kilkoro nauczycieli i znajomych ze szkoły, pani Faye, do której należała kafejka w centrum miasteczka, Mindy, kulejąca i próbująca nie przewrócić się na trawie.

Po niemal dwudziestu latach Marsdenowie w końcu mogli pogrzebać zaginionego członka swojej rodziny.

– Oczywiście zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby znaleźć tego, kto mu to zrobił – zapewnił szeryf Brewer tamtego wieczora, gdy przyszedł przekazać wieści. – Musicie jednak zrozumieć, że minęło prawie dwadzieścia lat. Większość śladów, które moglibyśmy znaleźć, już się zatarało.

– Ale możecie określić, z jakiej broni do niego strzelali, prawda? – wtrącił Charlie. – To dobry trop.

Szeryf przytaknął.

– Według autopsji zastrzelono go z broni myśliwskiej. Już sprawdzamy, kto w tamtych latach taką miał.

– Zacząłbym od Lorelei Garcii – mruknął Eric Marsden, mocno zaciskając dłonie w pięści.

Córki wlepiły w niego wzrok.

– Ale mówiłeś, że ona lubiła wujka Mattiasa – wtrąciła Clementine. – Dlaczego więc miałaby do niego strzelać?

Tata uniósł podbródek, patrząc na nią krystalicznie niebieskimi oczyma.

– Była szalona – powiedział niemal beznamiętnie. – Nie wiadomo, co chodziło jej po łepetynie.

Szeryf uśmiechnął się do niego smutno.

– Obiecuję, że wszystkiemu się dokładnie przyjrzymy – powtórzył, po czym wstał. – Czas na mnie.

– Dziękujemy, że pan przyszedł – powiedziała Lisa, wyciągając dłoń, którą szeryf bez wahania uściśnął.

– Taka jest moja praca.

A teraz, w to niedzielne popołudnie, stał przy grobie i patrzył, jak ludzie układają kwiaty na trumnie. Siostry Marsden również trzymały w dłoniach bukiety zrobione przez Ginger – z roślin, które rosły przy ich domu. Położyły je na końcu, na samym szczycie kolorowego stosu, nie odzywając się do siebie.

Powietrze wypełniały zapach suchej ziemi i trawy oraz dźwięk cykad ukrywających się w zieleni. Cmentarz zajmował niewielką przestrzeń przy kościele, równie niedużym, zbudowanym z czerwonej cegły, jakby wyrastającym ze wzniesienia – aby do niego dotrzeć, należało trzymać się polnych dróg prowadzących na południe od Conetoe. Siostry Marsden raczej rzadko w nim bywały, ich rodzina nie należała do religijnych.

Ludzie powoli rozchodzili się do samochodów, złożywszy kondolencje – trochę niezgrabnie, jakby nie wiedzieli, jak się zachować. Rozeszła się już bowiem wieść, co przydarzyło się Mattiasowi, i nikt nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Conetoe to niewielka miejscina i wszyscy byli przekonani, że młodszy bliźniak uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Myśl, że dwadzieścia lat temu doszło tutaj do morderstwa...

– Mój kumpel Kenny twierdzi, że tak naprawdę nikt go nie zabił – powiedział dwa dni wcześniej Dirk, leżąc pod jabłonią niedaleko domu Lorelei Garcii. – Uważa, że ktoś polował na dziki albo jelenie i Mattias po prostu nawinął mu się na muszkę. Pech Marsdenów, nic więcej.

Clementine, rozciągnięta na trawie obok niego, podobnie jak jej siostry, skrzywiła się na te słowa.

– To wciąż morderstwo – uznała.

– I jeśli to prawda, to ktoś wiedział, że go postrzelił, a mimo to po prostu go tam zostawił? – zapytała Elenor. – Jeśli tak, to masz rację: to wciąż morderstwo.

– Może nie wiedział – rzekł cicho Dirk.

Przez chwilę leżeli w milczeniu, patrząc na nieruchome liście jabłoni rysujące się na tle nieba.

– Tu się raczej nie poluje – stwierdziła Ginger. – A przynajmniej nie pamiętam, aby ktokolwiek to robił.

Elenor się z nią zgodziła.

– Myślę, że tata ma rację i zrobiła to Lorelei Garcia.

Dom stojący niedaleko nagle wydał im się złowrogi, zupełnie jakby kobieta wciąż w nim mieszkała i wyglądała przez okno, wypatrując intruzów. Zrobiło się nienaturalnie cicho, drzewa i ptaki zamilkły, świat wydawał się nieruchomy, a powietrze dziwnie świetliste, niczym na prześwietlonej fotografii.

– Ale dlaczego miałyby to zrobić? – zapytała półszepem Clementine. – Pozwalała im chodzić po swojej ziemi, lubiła ich.

– Może się pomyliła – odparła Elenor. – Tata mówił, że raz się to już zdarzyło, pamiętasz? Może tym razem zorientowała się zbyt późno.

– Ale znaleziono go na bagnach – zauważył Dirk. – Według raportu rana była zbyt poważna, aby przeszedł taki kawał drogi.

Elenor przymknęła oczy, widząc na powiekach pomarańczowe plamy.

– A może była na tyle szalona, aby zobaczyć w Mattiasie kogoś zupełnie innego?

– A może nie strzelała do niego – wtrąciła Ginger. – Nie mamy pojęcia, co się tam wtedy wydarzyło.

Miała rację. Nikt nie widział, może tylko drzewa znały prawdę.
I umarli.

Na pogrzebie Dirk wyglądał w swoim garniturze jak sprzedawca ubezpieczeń. Nie wiedział, co zrobić z dłońmi: splatał je i rozplatał przed sobą, starając się powstrzymać przed ciągłym poprawianiem kołnierzyka. Złote włosy lepiły mu się do szyi, miał zaróżowione policzki. Było zbyt gorąco na taki strój, zbyt gorąco na czerń. Pomachał dziewczętom z daleka, stojąc obok swojej rodziny.

Faye podeszła tymczasem do Lisy i uściśnęła ją, gwałtownie zarzucając jej ramiona na szyję. Charlie wyciągnął dłonie, aby jego żona nie przewróciła się do tyłu, ale Faye jakby tego nie zauważyła. Stojąca obok babunia wyglądała na kruchą i zagubioną, wciąż rozglądała się wokoło – choć Lisa próbowała jej wytłumaczyć, dlaczego się tu znalazły, staruszka ewidentnie nie potrafiła tego pojąć. Wciąż zapominała. Trzeba było mieć na nią oko, bo mogła się po prostu oddalić i zgubić w polu.

– Jak się trzymacie? – zapytała Faye.

– Sama nie wiem – odparła Lisa, odwzajemniając uścisk. – Chyba dobrze.

Faye odsunęła się i posłała jej pokrzepiający uśmiech.

– Tak, to musi być ulga móc zamknąć pewien rozdział w swoim życiu, prawda?

– Tak, chyba tak – zgodziła się Lisa. – Chociaż wciąż nie wiemy, co do końca się tam wydarzyło.

Kobieta poklepała ją pocieszająco po ramieniu.

– Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni.

Lisa pokiwała głową.

– Taką mamy nadzieję – rzekła i po chwili odchrząknęła. – Wpadniesz do nas? Już dawno nie miałyśmy okazji wypić razem kawy. Zaniedbałyśmy się.

– Tak, cholerne dorosłe życie. Jasne, że wpadnę. – Faye znów objęła ją za szyję. – A co u ciebie, Charlie? Jak tam sprawy zawodowe?

– Nie najgorzej. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Również pocił się w garniturze.

Elenor pociągnęła siostry i oddaliły się od żałobników. Ruszyły między kamiennymi nagrobkami z wyrytymi nazwiskami ludzi, których nigdy nie miały okazji poznać. Przy niektórych grobach leżały kwiaty, więdnięce już w pełnym słońcu i rozsiewające w powietrzu słodkawy zapach. Po chwili dołączył do nich Dirk i wreszcie ściągnął z siebie marynarkę. Nie mogli odejść zbyt daleko, zatrzymali się więc przy murku otaczającym kościół i usiedli, chowając się w cieniu kasztanowca. Chłopak wytarł czoło rękawem koszuli.

– To musi być dziwne – rzekł tonem, jakby wcale nie oczekiwał odpowiedzi. – Grzebać członka rodziny, którego nigdy się nie znało.

Elenor wzruszyła ramionami.

– Ja nie czuję, jakbym go nie znała – odparła, patrząc na ludzi zebranych na cmentarzu.

– Ani ja – dodała Ginger.

– A ja trochę tak – wtrąciła Clementine. – Bo on jest nam bliski, ale tak naprawdę... tak naprawdę to nie. Zginął dawno temu, kiedy był niewiele starszy od nas. Nie znałyśmy go. Nie byłyśmy wtedy nawet w planach.

– Nigdy nie byłyście – rzekł Dirk i szybko zamilkł, bo to nie był odpowiedni moment na żarty.

Elenor nie odrywała spojrzenia od żałobników.

– To, co mówisz, ma sens – powiedziała. – Dużo o nim słyszałyśmy, ale tak naprawdę wcale go nie znamy. Nie tak prawdziwie. A przecież powinniśmy, bo to brat taty, jego bliźniak.

Clementine pokiwała głową. Właśnie to miała na myśli.

Zamilkli i po prostu patrzyli, jak od tłumu oddziela się tata dziewcząt – ciężkim, posuwistym krokiem, z oczyma wlepionymi we własne stopy. Eric tylko na moment podniósł głowę, ale to wystarczyło, aby wypatrył córki ukryte w cieniu kasztanowca. Po chwili ruszył w ich kierunku i dosiadł się, ciężko wypuszczając powietrze przez nozdrza. Ogolił się rano, ale na jego policzkach już było widać cień zarostu.

– Powinno padać – mruknął jakby sam do siebie. – Na filmach zawsze pada podczas pogrzebu.

– Może padało wtedy, dwadzieścia lat temu – odparła Ginger i delikatnie oparła głowę na jego ramieniu.

Rozdział 37

Stypa odbyła się w ich domu; wcześniej wspólnie wszystko przygotowali, posprząтали w salonie i kuchni, przesunęli fotele i stoliki. Charlie z pomocą bratanic naszykował coś do jedzenia, wyciągnął z szafki termosy na kawę i herbatę oraz umył zastawę, z której korzystali tylko w czasie świąt.

Siostry nigdy nie widziały tylu samochodów zaparkowanych na ich posesji. Teraz w ciszy siedziały na tyłach domu i wraz z Dirkiem patrzyły na las – to tam się wszystko wydarzyło. Tak niedaleko, lecz jednocześnie jakby w zupełnie innej krainie. Siostry zawsze uważały zagajnik za swojego sprzymierzeńca, ale wreszcie dotarło do nich coś, co zawsze mówiła im ciotka Lisa: puszcza nie była ich przyjacielem. Miała tajemnice, którymi nie chciała się dzielić.

Do ich uszu dochodziły głosy żałobników, przytłumione przez ściany domostwa. Dziewczyny powinny wejść do środka, ale z jakiegoś powodu nie ruszały się z miejsca.

– To co robimy? – zapytała Ginger.

Nikt nie odpowiedział na jej pytanie, nie tak od razu. Być może nikt nie znał odpowiedzi.

– Serio, chcę się dowiedzieć, kim naprawdę była Lorelei Garcia – powiedział w końcu Dirk, który znał tylko tę jedną prawdę. – Jeśli ona zrobiła to Mattiasowi... chcę wiedzieć dlaczego.

– Równie dobrze możemy poczekać na wynik śledztwa – zauważyła Elenor.

Chłopak zacisnął usta w wąską linię.

– Ale zakładając, że tego nie zrobimy – rzekła Clementine – jaki jest nasz następny krok? Bo moim zdaniem utknęliśmy. Mieszkańcy Conetoe nam nie pomogą, bo nigdy tak naprawdę jej nie znali. Odszukać krewnych? Oni tym bardziej nie będą nic wiedzieć, zainteresowali się nią dopiero, gdy umarła.

Dziewczyna miała rację i reszta doskonale o tym wiedziała. Czuli się dokładnie tak, jak wyglądała dziś pogoda – byli ociężali i zmęczeni, jedyne, o czym potrafili jasno myśleć, to zimny prysznic i lemoniada z lodem.

Elenor potarła policzki. Miała wrażenie, że gdy tylko zamknie powieki, już nie znajdzie siły, aby je z powrotem otworzyć.

– Myślę, że powinniśmy to zostawić na później – powiedziała w końcu, wciągając w płuca gęste powietrze.

Nikt nie oponował.

Drzwi nagle się otworzyły i w progu stanął Charlie. Podobnie jak Dirk nie miał już na sobie marynarki, ściągnął też krawat i podwinął rękawy koszuli aż do łokci.

– Tak myślałem, że was tu znajdę. Chodźcie do środka, bo jeszcze dostaniecie udaru. Zrobię coś zimnego do picia.

* * *

Żałobnicy powoli rozjeżdżali się do domów. Dirk z chęcią zostałby dłużej, jego ojciec jednak zarządził powrót, a chłopakowi nie uśmiechało się wracać piechotą w takim upale, mając na sobie garnitur, skoro tego dnia termometry pokazywały niemal czterdzieści stopni. Pożegnał się więc z siostrami Marsden i wsiadł do samochodu, obiecując sobie, że zobaczy je już następnego dnia.

W domu wziął szybki prysznic i przebrał się w świeże bokserki i koszulkę z flagą ONZ na piersiach, z ogromną ulgą wrzucając garnitur do prania. Gdyby Clementine w tej chwili go zobaczyła,

pewnie nie szczędziłaby mu żartów – Dirk od razu uśmiechnął się na tę myśl.

Jego pokój wypełniało mnóstwo książek, głównie fantasy i science fiction, od Lema i Wellsa, po tanią fantastykę kupowaną z drugiej ręki. Na biurku zalegały zeszyty z pomysłami na nowe historie, czekającymi, aż pewnego dnia je spisze, a na podłodze naprzeciwko łóżka stał stary telewizor z podłączonym do niego Nintendo. Tuż obok leżało pudełko po butach wypełnione kartridżami ułożonymi alfabetycznie podobnie jak wszystko inne, co wypełniało regały, szafki oraz wszystkie kąty. Na ścianach, w miejscach wolnych od półek pełnych książek, wisiały filmowe plakaty z *Nieśmiertelnego*, *Parku Jurajskiego* lub *Powrotu do przyszłości* – sypialnia należała do człowieka, który ukochał opowieści i Dirk był z niego dumny.

Usiadł na brzegu łóżka, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Usłyszał w korytarzu tupot stóp i rozpoznał po tym Zachary'ego, młodszego brata. Rzeczywiście: chłopiec stanął w progu pokoju, nieśmiało zaglądając do środka. Miał na sobie luźną koszulkę z nadrukiem przedstawiającym Sonica.

– Cześć – powiedział siedmiolatek.

– Co tam, młody? – Dirk uśmiechnął się do niego, wyciągając przed siebie bose stopy.

– Mama pyta, czy chcesz lody.

– Oczywiście, że tak – odparł Dirk, pośpiesznie wstając.

Jego brata oczywiście już nie było, chłopak słyszał tylko głośny tupot w głębi korytarza. Podążył za siedmiolatkiem, zatrzymał się jednak pod drzwiami prowadzącymi do gabinetu ojca. Po chwili wahania zapukał i wszedł do środka.

Tata siedział przy biurku i przeglądał papiery, ale odłożył je na bok, gdy syn wszedł do środka. W pomieszczeniu dominowały

błękitne barwy, a powietrze przesiąknięte było zapachem drewna i farby olejnej – na ścianie wisiał bowiem nowy obraz Daviny Brewer przedstawiający dwie splecione ze sobą postacie.

– Cześć, tato – przywitał się Dirk i usiadł przy narożnym stoliku, na którym stał ich czteroletni komputer, duże pudło o lekko poszarzałej obudowie, masywne i ciężkie. Od niemal roku mieli internet, ale chłopak rzadko z niego korzystał i tylko jako pomoc w zadaniach domowych.

Ojciec uśmiechnął się do niego, a krzesło zatrzeszczało pod nim, gdy odchylił się lekko do tyłu.

– Czego potrzebujesz? – zapytał, splatając palce na brzuchu. Jemu gorąco również nie służyło, wyglądał na wymiętoszonego i zmęczonego.

Dirk po chwili wahania wzruszył ramionami.

– Niczego. Po prostu... chyba nie potrafię znaleźć sobie dzisiaj miejsca.

Tata kiwnął głową, jakby doskonale go rozumiał.

– Myślisz o tym, co ostatnio dzieje się w Conetoe?

– Tak, chyba tak. Tato... czy uda ci się rozwiązać tę sprawę? Spędziłeś w Conetoe niemal całe swoje życie, a to nie jest miejsce, w którym dzieją się takie rzeczy. Ludzie nie umierają tutaj w tajemniczych okolicznościach, zastrzeleni w środku lasu.

– Masz rację. I jakoś się nie dziwię, że ten stan rzeczy zmienił się akurat w odniesieniu do Marsdenów – mruknął.

– Tato...

Mężczyzna pochylił się i oparł łokciami o blat biurka.

– Posłuchaj mnie, Dirk. Zrobię, co w mojej mocy, aby się dowiedzieć, co przydarzyło się Mattiasowi. Na początek sprawdzam, kto w tamtych czasach miał broń, ale jeśli mam być szczerzy, sądzę, że zrobiła to Lorelei Garcia. Miała tendencję

do strzelania do innych ludzi. Kurde, mnie kiedyś prawie postrzeliła.

Mężczyzna z powrotem się odchylił i Dirk zobaczył głęboką bruzdę między jego brwiami.

– Teraz żałuję, że wtedy nikomu o tym nie powiedziałem – rzekł, patrząc gdzieś ponad ramieniem syna. – Może ktoś w końcu by coś z nią zrobił i Mattias wciąż by żył.

– Nie wiem, czy cokolwiek by to zmieniło – powiedział chłopak.

Jego ojciec zacisnął usta w wąską linię.

– Nie wiesz tego.

Dirk nie mógł zaprzeczyć, ale nie potrafił też znieść widoku pogłębiającej się zmarszczki na czole ojca. Nie wiedział jednak, co mógłby powiedzieć, aby zabrzmiało to przekonująco.

– Nie powinienes się zadrećzać – stwierdził w końcu, wlepiając w ojca intensywne spojrzenie.

Tata uśmiechnął się i wstał, rozpinając kolejny guzik koszuli. Na jego szyi perlił się pot.

– Pozwól, że w końcu wezmę prysznic – powiedział, nie przestając się uśmiechać. Dirk nie potrafił jednak stwierdzić, czy jest szczerzy, czy wymuszony. – Można się rozpułynać w tym gorącu.

– To prawda. – Dirk również się podniósł i ruszył ku wyjściu. – Mama szykuje lody, powinienem zejść na dół, inaczej Zachary zje całą moją porcję.

Tata poklepał syna po ramieniu.

– No to śpiesz się, chłopcze.

Dirk zszedł do jasnej, przestronnej kuchni. Na blacie stała już miska jego lodów z pokruszoną warstwą herbatników na wierzchu i chłopak od razu ją pochwycił. Wepchnął łyżeczkę do ust i przeszedł do salonu, czując, jak na języku rozpuływa mu się słodkavo-cierpki smak wiśni.

Mama siedziała przed telewizorem, podczas gdy dzieciaki bawiły się klockami u jej stóp, a buzie miały lepkie i brudne od lodów. Dirk usiadł na podłokietniku kanapy, zerkając na ekran, na którym leciały wiadomości – reszta świata zdawała się znajdować jeszcze dalej niż zazwyczaj.

– Gdzie jest twój tata? – zapytała Davina.

Dirk szybko przełknął kolejną łyżeczkę lodów i poczuł, jak cierpnie mu gardło.

– Poszedł wziąć prysznic – wyjaśnił.

Kobieta wyciągnęła dłoń i w matczynym geście pomasowała chłopakowi plecy. Pozwolił jej na to. Jego młodsze rodzeństwo budujące na dywanie zamek z klocków właśnie wykłócało się o ludzika Lego, bo nie potrafili zdecydować, czy ma stać na wieżyczce, czy może na murach. W końcu cała trójka zwróciła się z dylematem do matki.

– Zagrajcie w kamień, papier, nożyce – poradziła.

Dirk nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Pokojowe rozwiązanie – stwierdził.

– Żeby być rodzicem, trzeba znać wiele pokojowych rozwiązań – odparła kobieta, uśmiechając się szeroko, ze znajomym błyskiem w oczach. – Bo inaczej albo będziesz źródłem traum, albo dasz sobie wejść na głowę.

Dirk oblizał łyżeczkę.

– Zapamiętam.

Mama potarła jego złote loki, które po prysznicu stały we wszystkich kierunkach – w pierwszym odruchu chciał zrobić unik, ale pozwolił, aby włożyła dłoń w jego włosy.

Figurka stanęła ostatecznie na wieżyczce i dzieciaki zajęły się budowaniem murów obronnych otaczających zamek.

Rozdział 38

Ginger długo biła się z myślami, próbując zignorować wrażenie zdrady, jakie ją opanowywało, gdy tylko wracała myślami do listu, choć nie miała pewności, czy właściwie kogokolwiek zdradza. Na kopercie widniało także jej imię, miała więc pełne prawo przeczytać to, co napisała do niej matka.

Zamknęła się w łazience i usiadła na muszli klozetowej, podciągając nogi aż pod samą brodę. W dłoni ścisnęła nierozpieczętowaną kopertę, a po karku spłynęła jej strużka potu – Ginger nie miała pojęcia, czy to z powodu gorąca, czy ze zdenerwowania.

Przez chwilę po prostu siedziała i wpatrywała się w kawałek papieru, próbując zmusić się do działania. Zaciskała i rozluźniała wolną dłoń, mając wrażenie, jakby ściany łazienki napierały na nią, zostawiając coraz mniej przestrzeni. Odetchnęła głęboko, próbując przypomnieć sobie twarz matki. Ginger miała pięć lat, gdy Mya Marsden opuściła swoją rodzinę, powinna ją więc pamiętać – mimo to szczegóły rozmazały się przez lata, zostawiając jedynie wyobrażenie zamiast realnej osoby. Dziewczyna potrafiła wydobyć z pamięci burzę natapirowanych ciemnych włosów – taka fryzura była modna w latach osiemdziesiątych.

Ginger próbowała rozpalić w sobie te same uczucia, które targały Clementine – żal i wściekłość – albo beznamiętność, jak u Elenor. To było jednak poza jej zasięgiem.

Wzięła się w garść i otworzyła kopertę.

Wyciągnęła kilka kartek wypełnionych ładnym, pełnym zawijasów pismem, bezsprzecznie należącym do kobiety. Zerknęła

na nagłówek.

Drogie Dziewczynki...

Ginger zmarszczyła brwi i niemal do krwi zagryzła dolną wargę. Już od bardzo dawna nie były dziewczynkami, ale musiały się wydawać kobiecie niczym zatrzymane w czasie – pomimo że ten biegł w Conetoe tak samo jak w przypadku reszty świata.

Ponownie odetchnęła i kontynuowała czytanie.

Długo zastanawiałam się, czy do Was napisać i czy będziecie z tego zadowolone. Chyba właśnie dlatego po prostu nie zadzwoniłam. Bo nie mam pojęcia, jak byście zareagowały. Poza tym nie wiem, czy wciąż macie ten sam numer ani czy wciąż mieszkanie pod tym samym adresem, więc może ten list to jedynie strata czasu.

Zaczynałam go tysiące razy, wciąż kreśliłam i kreśliłam, i w końcu doszłam do wniosku, że powinnam po prostu napisać dokładnie to, co czuję. Być szczerą z Wami i ze sobą.

Próbuję niczego nie oczekiwać, szczególnie po Was, Dziewczynki, bo nie mam do tego prawa, nie po tym, co zrobiłam wiele lat temu. Matka nie powinna odchodzić bez słowa od swoich dzieci, nie potrafiłam jednak inaczej. Choć pewnie to wytłumaczenie brzmi strasznie, tym bardziej z waszej perspektywy.

Powinnam się więc wytłumaczyć, nawet jeśli na to wszystko jest za późno.

Ginger przerwała na chwilę czytanie, próbując przygotować się na kolejne słowa spisane na ozdobnym papierze. Właśnie na nie czekała przez tyle lat i kiedy wreszcie miała je przed sobą, nagle zaczęła się bać, że to, co przeczyta, bardzo jej się nie spodoba.

Zacznę od tego, że nigdy nie wierzyłam w pech Marsdenów, uważałam, że to tylko głupie gadanie dzieciaków. Nie zmieniłam zdania nawet po tym, jak Mattias uciekł. Naprawdę żał mi było Erica, Waszego ojca, i chyba to była pierwsza rzecz, przez którą zwróciłam na niego uwagę. Był samotnikiem, typem przyciągającym uwagę młodych dziewczyn, w tym i moją. Byłam naprawdę młoda.

Potem niespodziewanie na świecie pojawiłaś się Ty, Elenor, i przeniosłam się do Erica. Moja rodzina, szczególnie matka, jest konserwatywna i nie chciała mnie znać, po prostu wyrzuciono mnie z domu. Rodzice nie zmienili zdania nawet wtedy, gdy wyszłam za Erica. Właściwie nie rozmawiam z nimi do dzisiaj.

Czułam się zagubiona. Nie chciałam mieć dzieci, bo ledwie weszłam w dorosłość, a w ciągu krótkiego okresu na świecie pojawiła się cała Wasza trójka. W dodatku moja teściowa nie ułatwiała mi sprawy. Estella to straszna jędza, więc plotki, że Mattias uciekł właśnie od niej równie dobrze mogły być prawdziwe. Wciąż mnie krytykowała, upominała, mówiła, że nie potrafię się Wami zajmować. Była ostatnią osobą, która powinna mówić takie rzeczy, ale to jej wcale nie obchodziło.

A potem zaczęły się koszmary.

Wiem, że to wszystko brzmi jak usprawiedliwianie się. Wtedy jednak naprawdę czułam się zagubiona i zaszczuta, a z Erikiem nie potrafiłam o tym rozmawiać. Wasz ojciec nie jest osobą, której można się wyżalić, a przynajmniej nie można było kilka lat temu, kiedy częściej myślał o swoim bracie niż o mnie czy o Was. W ogóle mi nie pomagał.

Kiedy więc pojawiły się koszmary, poczułam się całkowicie pokonana. Niemal co noc śniło mi się, że biegnę przez las, sowy mnie obserwują, a spomiędzy drzew wychylają się porośnięte bluszczem

szkielety zwierząt. To było straszne. Gdy spróbowałam narysować jedno z tych zwierząt, Eric z jakiegoś powodu się na mnie wściekł. Nie mam pojęcia dlaczego.

Od tamtej pory miałam wrażenie, że las za domem coraz bardziej się do mnie zbliża. Wciąż byłam chronicznie zmęczona, a Wy ciągle wymagałyście mojej uwagi. W żadnym wypadku Was nie winię, ale skoro mam być szczerą, nie mogę pominąć i tego. Rodzicielstwo nie jest prostą sprawą, a ja kompletnie się do tego nie nadawałam. Wasz ojciec być może też nie.

Miałam dość bycia matką, waszego ojca, Estelli, Conetoe i tego okropnego lasu. Kiedy więc Lisa wzięła Was na spacer, po prostu spakowałam się i sobie poszłam. To był impuls, ale wreszcie pierwszy raz po wielu latach poczułam się po prostu wolna.

Znalazłam pracę w stolicy, wynajęłam ładne mieszkanie i zaprzyjaźniłam się z kilkoma naprawdę świetnymi ludźmi. Potem jednak kurz opadł i nie miałam pojęcia, co dalej robić z tym, co zostawiłam w Conetoe. Dalej nie wiem. Minęło zbyt wiele czasu.

Postanowiłam więc zrobić pierwszy krok i napisać list. Bez oczekiwań, bez planów. Z jedynym postanowieniem: żeby się wytłumaczyć.

Gdybyście chciały mi odpisać, mój aktualny adres znajduje się na kopercie. Nie musicie się spieszyć, wiem, że pewnie potrzebujecie czasu, żeby to wszystko przetrwać. Być może wciąż jesteście na mnie wściekłe. Rozumiem to. Gdybyście jednak chciały się odezwać, o coś zapytać, to śmiało.

Zawsze myślę, co u Was. Nie mam kontaktu z nikim w Conetoe ani z nikim z rodzinnego miasteczka, nie wiem więc, czy mój list do Was dotrze. Mam nadzieję, że tak. I że mimo wszystko postanowicie go przeczytać.

Mya

Ginger odetchnęła i wyprostowała zdrętwiałe kończyny. Zdała sobie sprawę z tego, że jej matka nie przeprosiła. Ani razu nie padło to jedno szczególne słowo, więc być może Mya Marsden w ogóle nie żałowała tego, co zrobiła. Uciekła bez słowa pożegnania i choćby odrobiny chęci, aby wciąż być w kontakcie z córkami.

I właśnie w tym tkwił problem.

Mówiła prawdę, nie była dobrą matką. Mogła mieć również sporo racji, jeśli chodzi o Erica Marsdena. Nie poradziłby sobie, gdyby nie pomoc siostry.

Lisa była bohaterką tej rodziny.

Ginger wstała, słysząc, jak strzela jej w kościach, i skierowała się do wyjścia. Na zewnątrz powoli robiło się ciemno, temperatura spadała na tyle, że przestało być tak nieznośnie gorąco, a w kątach zaległy cienie. Dziewczyna wetknęła list za pasek spodenek i skierowała się w stronę sypialni ciotki, kiedy usłyszała dobiegające stamtąd głosy. Zapukała nieśmiało i pchnęła drzwi.

– Cześć – powiedziała, zaglądając do środka.

Charlie zerwał się na równe nogi.

– Powiedz, że łazienka jest już wolna! – Nie czekając na odpowiedź, popędził przez korytarz i zniknął w ubikacji.

Ginger poczerwieniała.

– Wystarczyło zapukać i mnie popędzić – mruknęła.

– Nie przejmuj się nim – odparła ciotka Lisa, próbując rozplątać kłębek włóczki. – Przesadza, wcale aż tak bardzo mu się nie chciało.

Ginger weszła głębiej i usiadła na łóżku na wprost kobiety. Lisa podniosła wzrok, a jej dłonie na moment znieruchomiały, aby po chwili kontynuować przerwana czynność.

– Stało się coś? – zapytała.

– Nie. – Ginger wzruszyła ramionami. – Przeczytałam tylko list od mamy.

Ciotka Lisa wlepiła w nią spojrzenie, zaciskając usta w wąską linię. Ginger czekała w milczeniu, aż ta coś powie, kobieta jednak nie skomentowała ani słowem, co wyraźnie wymagało od niej sporo samokontroli.

– I wiem już, dlaczego odeszła – powiedziała wreszcie Ginger, kiedy milczenie zaczęło się przeciągać. – Przynajmniej troszeczkę. Ale to chyba nic nie zmienia, nie tak... To nic nie zmieniło.

Lisa odłożyła kłębek na bok.

– Przykro mi – odparła.

– Ciociu... – Ginger wpatrywała się w kolorową włóczkę, obawiając się podnieść wzrok. – Czy kiedykolwiek żałowałaś, że to ty musiałaś się nami zajmować?

Kobieta objęła ją ramionami.

– Dawno, dawno temu, gdy byłam znacznie młodsza, tak, ale teraz w ogóle nie mam już takich myśli.

– Bo nie możesz mieć własnych dzieci?

Lisa prychnęła.

– Po co mi własne dzieci, skoro mam was?

Nie zabrzmiało szczerze, ale Ginger w zupełności to wystarczyło. Z całych sił odwzajemniła uścisk i trwały tak, nie odzywając się do siebie, dopóki do pokoju nie wrócił Charlie.

– Ja też chcę! – zawołał, rzucając się na łóżko. Materac ugiął się pod jego ciężarem.

Ginger zachichotała, odrywając się od ciotki.

– Ty masz już zbyt dużo miłości – odparła z uśmiechem Lisa. – Przytulę cię jeszcze raz i spuchniesz mi z nadmiaru.

– Nie to nie. – Charlie pokazał jej język. – W nocy dostanę od ciebie aż nadto.

Ginger zakryła dłońmi uszy.

– Nic nie słyszałam!

Rozdział 39

Clementine widziała w oknie twarz. Zmarszczyła brwi, zobaczywszy błyszczącą w świetle gwiazd kość i delikatnie drgające listki. To musiał być sen. Dziewczyna była ociężała i zmęczona, zmusiła się jednak, aby usiąść na łóżku – kiedy znowu spojrzała w stronę okna, ciemna postać zniknęła i Clementine doszła do wniosku, że naprawdę musiało jej się to przyśnić.

Potarła dłońmi oczy, próbując na dobre odegnąć od siebie nocne wizje. Siostry cicho spały obok, Elenor całkiem skopała z siebie cienki koc.

Clementine wstała i ostrożnie zeszła na dół, chcąc się czegoś napić. Zanim jednak dotarła do kuchni, dostrzegła uchylone drzwi do sypialni babuni. Popędzana złymi przeczuciami dziewczyna stanęła w progu pokoju i zajrzała do środka, mając nadzieję, że dostrzeże w ciemności sylwetkę śpiącej staruszki.

Łóżko było jednak puste.

Zapominając o pragnieniu, pośpiesznie rozejrzała się po domu, szeptem nawołując babunię, nigdzie nie mogła jej jednak znaleźć. Zaglądała wszędzie, w każdy kąt i kryjówkę, nawet w te zbyt małe, aby mogły pomieścić kobietę.

Kiedy stało się jasne, że babuni nie ma w domu, Clementine wbiegła na górę, prawie przewracając się na stromych schodach. Zapukała do sypialni ciotki Lisy i nie czekając na pozwolenie, weszła do środka.

- Ciociu – powiedziała, łapiąc oddech. – Babunia zniknęła.
- Co? – zapytała zasnana kobieta, przewracając się na drugi bok.
- Łóżko babuni jest puste. Nigdzie jej nie ma.

Znaczenie słów wreszcie dotarło do Lisy, bo zerwała się z łóżka i potrząsnęła Charliem, zmuszając go, aby również się obudził.

– Wstawaj. Trzeba znaleźć mamę.

– O cholera. – Mężczyzna również wstał, przeczesując palcami stojące we wszystkich kierunkach włosy.

Clementine ruszyła do swojego pokoju i zbudziła siostry. Dziewczyny bez słowa sprzeciwu zeszły na dół, tupiąc głośno na drewnianych stopniach.

– Co tu się dzieje? – W progu swojego pokoju stanął Eric, wymięty i blady, mrużąc powieki, jakby wpatrywał się w słońce.

– Babunia zniknęła – wyjaśniła Clementine, zatrzymując się u szczytu schodów.

Jej ojciec wywrócił zaczerwienionymi oczami.

– Tobie się nie działo, gdybyśmy ją zamknęli w domu starców.

– Daruj sobie – fuknęła ciotka Lisa, narzucając na siebie cienki szlafrok. – Ty jesteś ostatnią osobą, która może prawić mi kazania.

Charlie położył jej dłoń na ramieniu.

– To nie czas na kłótnie. Teraz powinniśmy się podzielić i ruszyć w różnych kierunkach.

– Biorę las – rzekła Clementine i zeszła po schodach. Usłyszała, że ktoś podążył za nią, a gdy się odwróciła, ujrzała ojca.

– Idę z tobą – mruknął, a ona kiwnęła tylko głową.

Ruszyli we dwoje przez las, nawołując i uważnie rozglądając się dookoła. Charlie i Elenor poszli w stronę miasteczka, a Lisa i Ginger – w przeciwną, między pola. Noc była ciemna, z księżycą został jedynie cienki rogalik niedający prawie żadnego światła. Clementine nie zapalała jednak latarki, chciała bowiem, aby wzrok przyzwyczaił jej się do mroku – światło tylko by ją oślepiło, cienie stałyby się nieprzeniknione, ruch wychwycony kątem oka – niedostrzegalny.

Dziewczyna zerknęła na przygarbionego ojca idącego obok niej.

– Nie jest ci trudno tu wracać? – zapytała, nie mając pewności, czy powinna zadawać to pytanie. – Skoro wiesz, co się tu wydarzyło?

Tata wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę to nie wiem.

Znowu zamilkli, idąc przed siebie i rozglądając się uważnie dookoła. Clementine, pewnie tak samo jak Eric, zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli babunia rzeczywiście błąkała się gdzieś między drzewami, to bardzo trudno będzie ją znaleźć. Pewnego dnia całkiem się zgubi i nikt już nie odprowadzi jej do domu.

– Chyba rzeczywiście powinniśmy oddać ją do domu opieki – powiedziała w końcu Clementine. Ostrożnie odsunęła od twarzy gałąź dzikiego bzu, kiedy obok nich przechodziła. Nie widziała ojca, ale po lewej stronie słyszała jego kroki.

– Powiedz to Lisie – odparł mężczyzna. – Mnie nie słucha.

– Bo ty nie znosisz babuni.

Tata prychnął.

– Ale cenię sobie Lisę i nie chcę, żeby spędziła młodość, zajmując się tą starą prukwą.

Dziewczyna czuła, jak palą ją policzki.

– Ale kiedy traciła młodość, zajmując się nami, to już ci nie przeszkadzało?

Eric przystanął i odwrócił się do córki. Wśród ciemnych sylwetek drzew wyglądał na nierzeczywistego, zupełnie jakby Clementine już go straciła.

– Wtedy przechodziłem trudny okres – powiedział po chwili mężczyzna niepewnym, ochrypłym głosem.

– Teraz też masz trudny okres – odparła Clementine dokładnie takim samym tonem. – Pójdziesz znowu na spotkania?

Tata ruszył przed siebie.

– Nie potrzebuję spotkań.

Dziewczyna zacisnęła usta w wąską linię, po czym ruszyła za ojcem, ostrożnie lawirując między drzewami. Miała wrażenie, jakby w tym miejscu zrobiło się nieco ciaśniej, ciemniej, nie potrafiła pozbyć się też poczucia, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się uważnie w poszukiwaniu utkwionych w nią oczu, las pozostawał jednak nieprzenikniony, skąpany w cieniu. Nie dojrzała nawet skrawka koszuli nocnej babuni.

– Potrzebujesz – powiedziała cicho, wciąż wpatrując się w milczące drzewa. Nie miała pewności, czy tata w ogóle ją usłyszał.

* * *

Samochód Charliego wypełniał rykiem ciszę nocy, włączone reflektory rozganiały mrok. Elenor wychyliła głowę za okno, wypatrując staruszki i jednocześnie delektując się chłodnym podmuchem przeczesującym jej włosy. Charlie jechał powoli. Jak dotąd nie znaleźli nawet śladu, który świadczyłby o tym, że babunia poszła akurat w tę stronę.

Elenor wolała nie myśleć o tym, co będzie, jeśli jej nie znajdą. Zerknęła w stronę Charliego, który wlepił spojrzenie w przednią szybę.

– Nie szukasz mnie. – Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiezek.

– Dobrze, że masz nastrój na żarty – odparła Elenor.

Jego uśmiech momentalnie zbladł.

– Słuchaj, twoja babcia na pewno się znajdzie – powiedział pocieszająco.

Elenor odwróciła wzrok z powrotem do okna. Nie chciała się przyznać, że – jak zawsze w takich chwilach – zaczęły atakować ją

niechciane myśli. Może lepiej by się stało, gdyby babunia się nie odnalazła... Dziewczyna wiedziała, że osoby z demencją bywają znacznie bardziej uciążliwe i staruszka mogłaby zachowywać się o wiele gorzej, biorąc pod uwagę jej charakter, który Elenor знаła z opowieści.

Chcąc zdusić w sobie wszystkie te myśli, uważniej zaczęła rozglądać się za tęgą sylwetką staruszki.

– Jak myślisz, za czym teraz poszła? – zapytał w pewnym momencie Charlie.

Elenor zerknęła na niego przez ramię, wciąż wychylając głowę przez okno samochodu.

– Co tym razem pokazał jej umysł, zmuszając do wyjścia? – doprecyzował mężczyzna.

Dziewczyna się zastanowiła.

– Niedawno odbył się pogrzeb jej syna. To musiało w pewnym sensie do niej dotrzeć.

– Tak, chyba masz rację.

* * *

Ginger uniosła lekko twarz, gdy delikatny podmuch połaskotał ją po policzkach. Ona i ciotka Lisa również zabrały samochód, wypatrując zagubionej staruszki wszędzie wokoło – na drodze, na poboczu i daleko w polach, które otoczyły je po obu stronach.

Dziewczyna zerknęła w stronę ciotki.

– Wszystko będzie dobrze. – Uśmiechnęła się do niej.

Lisa westchnęła.

– Czy ty też myślisz, że powinniśmy ją zamknąć w domu opieki?
– zapytała, mocniej zaciskając blade i niewielkie dłonie na kierownicy.

Ginger zagryzła wargę.

– Na pewno skuteczniej by jej pilnowali – powiedziała nieśmiało. Ciotka uderzyła potylicą o zagłówek fotela, ze świstem wypuszczając powietrze przez nos. Ginger nie odrywała od niej spojrzenia, choć powinna rozglądać się dookoła w poszukiwaniu babuni.

– Oddanie jej wcale nie będzie porażką – rzekła cicho. – Przecież o nic nie rywalizujemy.

– Przecież wiem – mruknęła ciotka Lisa. W świetle reflektorów jej profil wydawał się ostry, skóra niemal całkiem straciła kolory.

– Ciociu, niczego nie musisz udowadniać.

– Wypatruj babci, Ginger – upomniała ją kobieta, na co dziewczyna z powrotem odwróciła wzrok do okna.

* * *

Dirk obudził się w środku nocy, koc zaplątał mu się między nogami, więc zrzucił go z irytacją. Skóra lepiała mu się od potu. Przykrył oczy ramieniem, przywołując do siebie ostatnie fragmenty snu.

Śniły mu się dłonie przeczesujące włosy, usta przylegające do jego szyi, gładka, ciemna skóra ozdobiona piegami. Dirk poczerwieniał na twarzy, gdy tylko sobie to przypomniał. Dobrze, że był w pokoju sam.

Podniósł się i sięgnął po butelkę wody leżącą przy łóżku. Od otwartego okna leciał ciepły podmuch nocnego powietrza, niosąc ze sobą zapach suchej trawy. Brewer się napił, a potem z powrotem padł na łóżko, wtulając twarz w poduszkę. Gdy zamykał oczy, znów widział różowe usta i zmierzwione włosy opadające na policzki.

Jęknął i wcisnął głowę głębiej w poduszkę.

* * *

Zatoczyli szeroki łuk, wypatrując staruszki między drzewami. Przestali ją wołać, bo i tak by nie odpowiedziała. Clementine zaczęła wątpić, czy babunia ruszyła akurat w tę stronę.

Zatrzymała się i odetchnęła głęboko, wznosząc twarz ku niebu. Między gałęziami ledwo można było dostrzec gwiazdy, dziewczyna widziała tylko czarne zarysy liści na tle granatu. Nozdrza wypełniał jej zapach ściółki, a do uszu docierały oddalające się kroki ojca. Zamiast jednak pobiec za nim, po prostu pozwoliła mu odejść.

Została sama. W niemal całkowitej ciemności.

Otaczały ją tylko niewyraźne sylwetki drzew, ale ona wcale się nie bała. Las nigdy jej nie przerażał, i to się nie zmieniło, nawet teraz, gdy się dowiedziała, że Mattias Marsden został zamordowany właśnie w tym miejscu.

Clementine wiedziała, gdzie jest i gdzie może się znaleźć, gdy tylko wybierze którąś ścieżkę. Jedyne, co mogło ją niepokoić, to uczucie nieopuszczające jej już od jakiegoś czasu – miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Wyobraziła sobie wpatrzone w nią sowie oczy.

– Clementine... – Usłyszała nagle.

Obróciła się wokół własnej osi, nie dostrzegła jednak nikogo.

– Tato?

Ruszyła przed siebie, ciężko wzdychając. Powinna była jednak za nim pobiec. Teraz szukała nie tylko babuni, ale także ojca.

* * *

Elenor odetchnęła z ulgą.

– Tam jest! – Wskazała ręką przed siebie, na niedużą postać idącą polami, z białą koszulą powiewającą za nią jak płaszcz.

Charlie zatrzymał samochód i wysiadł, zostawiając go na jałowym gazie.

– Mamo! – zawołał.

Dziewczyna podążyła za wujkiem, delikatnie zamykając za sobą drzwi pojazdu. Ze skrzyżowanymi ramionami patrzyła, jak mężczyzna pędzi w kierunku swojej teściowej i zawraca ją, niemal siłą ciągnąc za pulchne ramię.

– Przestań, Eric! – krzyknęła staruszka, a jej pomarszczona twarz skrzywiła się nieładnie. – Przestań!

– W porządku, mamo. – Charlie położył jej dłoń na karku i znacznie delikatniej popchnął w stronę samochodu.

– Eric! – pisnęła ze złością staruszka. – Ty, ty...

– Babciu – przerwała Elenor, podchodząc do niej, aby pomóc wujkowi zaprowadzić staruszkę do auta.

– Liso. – Babunia wyciągnęła dłonie w stronę dziewczyny. – Twój brat nie chce mnie przepuścić do Mattiasa! Powiedz mu, żeby mnie zostawił w spokoju!

– Babciu, jest za późno na odwiedzinę u Mattiasa. Teraz wrócimy do domu, dobrze?

Staruszka zaczęła cicho łkać, Elenor cieszyła się jednak, że na tym się skończyło. Nie miała pojęcia, czy poradziłiby sobie z szalejącą staruszką. Mimo skarg i głośnego pociągania nosem kobieta posłusznie wsiadła do samochodu.

Charlie odetchnął ciężko i spojrzał na Elenor.

– Dobrze, że jest cała – powiedział.

Dziewczyna przytaknęła.

– Chyba rzeczywiście szła do wujka Mattiasa – stwierdziła. – Przecież w tę stronę jedzie się do kościoła.

– Tak... – przyznał ze zmęczeniem Charlie. – Chyba nie chcę wiedzieć, co się dzieje w jej głowie...

– Pewnie jest pełna pourywanymy myśli. – Elenor wzruszyła ramionami. – Zaczynają się, ale nie kończą, albo trwają, mimo że nie mają początku.

Charlie gwałtownie zamrugął.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, ale to nie szkodzi. – Poklepał dziewczynę po ramieniu. – Jedźmy już do domu, dobrze?

Elenor tylko kiwnęła głową.

Rozdział 40

Clementine zobaczyła z daleka, jak ojciec kręci się między drzewami, i przyspieszyła kroku, aby go dogonić. Nie było sensu dalej szukać w lesie staruszki – powinni wrócić do domu i sprawdzić, czy inni już jej nie znaleźli.

Zatrzymała się raptownie, gdy dostrzegła niespodziewany ruch. Zmrużyła oczy, starając się dojrzeć w ciemności kontur zwierzęcia. Możliwe, że w mroku ukrywała się locha z prosiętami, a dziki mogły być naprawdę niebezpieczne, jeśli stawały w obronie młodych, więc Clementine wołała nie robić gwałtownych gestów.

To, co ukrywało się w ciemności, było jednak z pewnością znacznie większe niż dzik, większe nawet niż sarna czy jelen.

Dziewczyna całkowicie zapomniała o ojcu, który znowu zniknął gdzieś między drzewami. Teraz patrzyła tylko na ciemny kształt rysujący się przed jej oczyma i próbowała gdzieś go dopasować. To, co ukrywało się w mroku, zdawało się znajome, zupełnie jakby nastolatka już kiedyś je spotkała, nie potrafiła sobie jednak przypomnieć gdzie. Niespodziewanie zakręciło jej się w głowie, ziemia pod stopami zafalowała. Clementine miała wrażenie, że tylko ona sama pozostała statyczna, podczas gdy świat wokoło się poruszał.

Ono ma jakieś imię – pomyślała. Jak się nazywa?

Nie słyszała nic poza biciem własnego serca. Zrobiła krok do przodu, zapominając o tym, by absolutnie nie prowokować istoty czy czegokolwiek, co czało się w mroku. Włoski na karku stanęły jej dęba – nie ze strachu, bo dziewczyna z trudnego do wyjaśnienia powodu wciąż się nie bała. Była... zafascynowana.

Wstrzymała oddech, mając nagle nieodpartą pewność, że śni. Drzewa stały się papierowe albo niczym namalowane kredą na tablicy i tylko istota ukrywająca się w cieniu pozostawała rzeczywista. Jednak kompletnie nie zwracała na nią uwagi i Clementine nie była już wcale pewna, czy stwór w ogóle zauważył jej obecność. Kościaną twarz skierował w bok, na prawo od dziewczyny, jakby coś tam wypatrył. Clementine nie widziała jednak nic poza ciemnymi konturami drzew.

Co się dzieje, co się dzieje, co się dzieje...? To tylko przywidzenie – powiedziała sobie, z niedowierzaniem wpatrując się w niewyraźne kontury rysujące się w mroku. Nie widzę nic poza świetlistą smugą, która przypomina po prostu kościaną maskę. To nie jest prawdziwe.

Chcąc przekonać samą siebie, zrobiła kolejny niepewny krok do przodu. Niemal się spodziewała, że niewyraźna sylwetka się rozpułnie albo zamieni w porośnięte bluszczem drzewo, które tylko przypomina stworzenie o jeleniej głowie. W końcu ostatnio działa się tyle rzeczy, że mogło jej się coś przywidzieć.

Wyciągnęła przed siebie dłoń, a wtedy kształt stojący przed nią poruszył się, wreszcie w jakiś sposób reagując na obecność dziewczyny.

To naprawdę tam stało...!

Z zadziwiającą gracją, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku, istota ruszyła do przodu, w kierunku, w który jeszcze przed chwilą się wpatrywała. Poruszała się na czterech nogach, gałęzie czarnego bzu delikatnie ocierały się o jej wygięty w łuk grzbiet. Wszystko inne wydawało się dziwnie ospałe, włączając w to Clementine, która równie dobrze mogłaby być jednym z tych krzewów. Miała ochotę wyciągnąć dłonie i przekonać się, czy ciało zwierzęcia pokrywa futro i jak miękkie jest w dotyku.

Nie zrobiła tego jednak. Czuła, że nie powinna.

Gdy była znacznie młodsza, wierzyła w magię lasu rozciągającego się za domem. Wówczas wierzyła w różne rzeczy, które wydają się dziecku całkiem wiarygodne: elfy, skrzaty, wróżki ukrywające się w łodygach kwiatów. Potem dorosła i fantazje w naturalny sposób w niej zgasły, ale wciąż żyła w przekonaniu, że magia w pewien sposób istnieje – choć w znacznie bardziej prozaicznej formie.

Jednak to, co kroczyło przed nią, nie miało w sobie nic z prozaiczności.

Clementine знаła ten las jak własną kieszeń, potrafiła z niego czytać, znajdować w nim ślady, jednak nigdy nie zauważyła nawet najmniejszego wgniecenia w ziemi świadczącego o obecności czegoś takiego.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie wie, czy istota przed nią ma racice, czy może zwykłe łapy. Nie potrafiła dojrzeć tego w ciemności.

A może już je widziała. Może pomyliła je z odciskami jeleni.

Nie. Miała ochotę pokręcić głową, lecz kark zbyt mocno jej zdrętwiał. Racice tego zwierzęcia muszą być znacznie, znacznie większe.

Z całych sił zmusiła się, żeby ruszyć do przodu. W ciemności nocy wciąż widziała tylko niewyraźny kształt, ledwie dostrzegalny kontur świadczący o tym, że coś naprawdę się tam ukrywa. Od czasu do czasu, dzięki prześwitom w gałęziach, światło gwiazd odbijało się od gładkiej powierzchni kości, choć Clementine nadal nie miała pewności, czy naprawdę widzi czaszkę – może to tylko skóra? Może to jednak wcale nie istnieje? Może to tylko dziwny sen na jawie?

Dziewczyna starała się nie wydawać żadnych dźwięków, lecz w porównaniu z kroczącą przed sobą istotą była naprawdę głośna. Stworzenie musiało doskonale wiedzieć, że ktoś za nim idzie.

Clementine poczuła, jak po kręgosłupie przebiega jej dreszcz. Nie potrafiła się jednak zatrzymać.

Miała wrażenie, że drzewa coraz mocniej nachylają się nad jej głową, zupełnie jakby próbowały przyjrzeć się niewielkiej postaci idącej w ślad za dziwnym zwierzęciem. Clementine próbowała nie zwracać uwagi na otoczenie, zamiast tego skoncentrowała się na własnych stopach, aby nie wydawały dźwięków na grząskim leśnym poszyciu – tak bardzo się na tym skupiła, że nawet nie zauważyła, kiedy stworzenie zaczęło powoli rozplątywać się w mroku. Pochłaniała je noc i dziewczyna spostrzegła to dopiero, gdy rozmazana sylwetka stała się niemal całkiem niewidzialna.

Clementine przestała przejmować się hałasem, który robi, i przyśpieszyła, aby jak najszybciej dogonić stworzenie, lecz było już za późno – zwierzę znikło.

– Nie! – sapnęła rozzłoszczona. Chciała się dowiedzieć, dokąd zmierzało i czym było.

Nagle dziewczynę naszły wątpliwości. Nie miała już pewności, czy aby na pewno przyglądała się wysokiemu stworzeniu o jeleniej głowie. W końcu niegdyś ludzie wierzyli, że błędne ogniki to zaklęte dusze – sama nieraz je widziała, tańczące gdzieś w głębi lasu. Może istota była niczym te światła – gazem wydobywającym się z gnijących szczątków roślin lub zwierząt. Dziewczyna jednak wciąż nie czuła się przekonana.

– Clementine! – Eric chwycił córkę za ramię, niespodziewanie ją strasząc. – Nie słyszysz, jak cię wołam?

Nastolatka potrząsnęła głową, próbując zapanować nad oddechem i sercem dudniącym jej w piersiach.

– Nie. – Wciągnęła powietrze w płuca i na chwilę je tam przytrzymała, mając nadzieję, że to nieco ją uspokoi. Pochyliła się,

opierając dłonie na udach. – Zamyśliłam się – rzekła w końcu, odetchnąwszy głęboko.

Tata wpatrywał się w nią przez chwilę, Clementine czuła na sobie jego czujne spojrzenie. Spodziewała się, że coś powie, ale on milczał, jakby czekając na jej reakcję. Dziewczynę ogarnęło nagłe zmęczenie.

– Wracajmy już – powiedziała, prostując się. – To jasne, że babuni tu nie ma.

Ojciec przytaknął i objął córkę ramieniem. Pachniał potem i skórą jak zawsze, było w tym coś niezwykle kojącego. Clementine miała ochotę otoczyć się tą wonią i zachować ją na ten czas, gdy tatę znowu pochłonie jego własny mrok.

Wspólnie ruszyli w drogę powrotną, kierując się w zupełnie przeciwną stronę niż tajemnicza istota jeszcze kilka chwil temu. Dziewczynę rozboleła głowa i choć obecność ojca była krzepiąca, Clem paradoksalnie czuła się jeszcze bardziej zagubiona – wciąż miała wrażenie, że to tylko sen.

Do świtu brakowało kilku godzin, mimo to Clementine wciąż unosiła wzrok ku niebu, aby sprawdzić, czy już się przejaśnia.

Chciała, aby wreszcie nadeszło rano. Może wraz ze słońcem przejaśni się w jej głowie.

* * *

Babunia z powrotem leżała w łóżku, a Charlie i Elenor rozsiedli się w salonie, pijąc ciepłe mleko i czekając na resztę. Po niecałej godzinie sufit rozświetliły reflektory nadjeżdżającego samochodu ciotki Lisy. Charlie wyszedł przed dom, aby ją przywitać i poinformować o odnalezieniu zguby. Clementine oraz taty wciąż nie było, ale Elenor wcale się o nich nie martwiła – przysnęła na kanapie, wsłuchując się w przyciszoną rozmowę wujostwa,

pewnie po raz kolejny rozprawiających o staruszce. Dziewczyna nie miała pewności, bo z powodu zmęczenia słowa zlewały się ze sobą.

Ginger położyła się obok niej, przykrywając je obie kocem.

– Nie pchaj się – mruknęła Elenor, wtulając policzek w poduszkę.

– To ty się pchasz – odparła siostra.

Światło w kuchni zgasło, rozległy się przytłumione kroki. Elenor czekała, aż ktoś wejdzie do salonu i nakaze im pójść na górę, aby położyły się we własnych łóżkach, nic takiego się jednak nie stało.

Pozwoliła sobie na rozluźnienie mięśni, miała wrażenie, że powoli wtapia się w ciemność.

– Posuńcie się – powiedziała cicho Clementine, lokując się po przeciwnej stronie kanapy i ciągnąc drugi koniec koca.

Elenor poczuła, jak siostra trąca ją nogami, szukając dla nich miejsca.

– Clem, no... – mruknęła zaspana.

Siostra zignorowała ją, w końcu znalazła wygodną dla siebie pozycję i znieruchomiała. Wydawała się dziwnie spięta.

– Znaleźliśmy babunię – powiedziała szeptem Ginger.

– Wiem, domyśliłam się – mruknęła Clementine. – Słyszałam, jak ktoś chrapie w jej sypialni, i to raczej nie był Charlie.

Rozdział 41

Plamki światła tańczyły na ziemi, podczas gdy oni siedzieli pod drzewem i w milczeniu jedli kanapki z dżemem, które dziewczyny przyniosły z domu. Clementine rozdzierała swoją na kawałki i miażdżyła chleb w palcach, patrząc, jak konfitura wylewa się i cieknie strużką po wewnętrznej stronie jej dłoni.

Dirk zaśmiał się pod nosem, widząc poczynania dziewczyny. We czwórkę odpoczywali w cieniu. Dom Lorelei Garcii znajdował się niedaleko i chłopak przez chwilę znowu poczuł się niewłaściwie, jakby spoufalał się z morderczynią – a przecież nie wiadomo, czy rzeczywiście to zrobiła. Nie mówiąc już o tym, że od dawna nie żyła.

Zerwał się wiatr, potrząsając gałęziami i zrzucając na ziemię kilka liści. Dzisiejszy dzień należał do wietrznych, przynosił nieco ulgi po duchocie ostatnich tygodni. Tego ranka, gdy całą czwórką spotkali się w dębowym lesie, Ginger powiedziała:

– Może ta wichura przywieje nam trochę deszczu.

Dirk przytaknął, choć wcale nie chciał, żeby padało – zostałby wtedy odcięty od sióstr, a nie miał pojęcia, czy mógłby odwiedzić je w domu. Był tam tylko dwa razy, w tym na stypie, i za każdym razem czuł się bardzo niezręcznie. Wciąż nie wiedział, na jakim gruncie osiadła ich znajomość.

Teraz jednak siedział pod jabłonią i cieszył się dniem, który wcale nie zapowiadał deszczu. Zerknął w stronę Clementine znęcającą się nad kanapką. Nagle zapragnął zgarnąć jej rozczochrane włosy z policzków, zapleść je w warkocz i powtykać w nie listki jarzębiny, która nieopodal rozrosła się do dzikich rozmiarów.

– Clementine – powiedział w końcu, wpatrując się w jej zamyśloną minę – wszystko w porządku?

Dziewczyna kiwnęła głową i włożyła do ust rozgnieciony kawałek kanapki.

– Po prostu się zastanawiałam.

– Nad czym? – zapytała Ginger. Tym razem miała na głowie wianek z turzycy i ciasno splecionych żółtych kwiatów kaczeńca, które sprawiały, że jej twarz wyglądała na jeszcze pogodniejszą niż zwykle. Już zjadła swoją porcję drugiego śniadania i teraz budowała niewielki fort z opadłych gałązek, sprawnie łącząc je ze sobą.

Clementine wyprostowała się i wytarła dłonie o trawę, pozbywając się lepkiej pozostałości po konfiturze.

– Wczoraj w nocy widziałam coś w lesie i... chyba nie do końca jestem pewna, co to było.

– Jak wyglądało? – Elenor zmarszczyła brwi, wpatrując się w siostrę.

Clementine nie odpowiedziała od razu, wyraźnie się wahając. Cała trójka wbiła w nią wyczekujące spojrzenia.

– No, powiedz, co to było? – zapytał niepewnie Dirk, siląc się na dowcip. – *Chupacabra*^[1]?

– Oczywiście, że nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Widziałam... to. – Wskazała ręką na dom ukrywający się za bujną roślinnością.

Dirk nie rozumiał. Po minach pozostałych dziewcząt poznał, że one również.

– Widziałam... – zaczęła raz jeszcze Clementine, z frustracją potrząsając głową – widziałam to stworzenie, które rysował wujek Mattias. Widziałam je.

[1] Legendarne zwierzę atakujące zwierzęta domowe i wysysające z nich krew, występujące w wierzeniach kultury latynoamerykańskiej (przyt. red.).

Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko odgłosami wiatru targającego drzewami. Dirk nie był pewien, czy dziewczyna sobie z nich nie żartuje, miała jednak poważny wyraz twarzy.

– Bardzo śmieszne – powiedziała w końcu Elenor, parskając.

– Ja nie żartuję! – Clementine uderzyła pięścią w ziemię, rzucając siostrze złowrogie spojrzenie. – Nie widziałam tego wyraźnie, bo było ciemno, ale wyglądało... jak to stworzenie! I nie było przywidzeniem, widziałam, jak się porusza! Próbowałam je śledzić, tyle że je zgubiłam... – Dziewczyna zacisnęła usta w wąską linię, czekając na ich reakcję.

Dirk nie potrafił zdobyć się jednak na nic więcej poza wlepianiem w nią zdumionego spojrzenia. Przez bardzo krótką chwilę chciał w to uwierzyć – bo czyż w końcu nie pragnął w życiu odrobiny nieprawdopodobieństwa?

– Opisz, co się wydarzyło – poprosił, pozwalając potrwać temu nieco dłużej niż tylko chwilę.

– Naprawdę? – fuknęła Elenor, odwracając się do niego.

Dirk posłał jej nieśmiały uśmiech.

Clementine zignorowała siostrę i zaczęła opowiadać, co dokładnie wydarzyło się minionej nocy. Zaczęła od odkrycia, że babuni nie ma w łóżku, a potem dokładnie zrelacjonowała dziwaczne spotkanie w lesie, kiedy opanowało ją niepokojące oderwanie się od rzeczywistości, zupełnie jakby śniła.

– Czekajcie – powiedziała w pewnym momencie. – Już je wcześniej spotkałam. Widziałam je za oknem, zanim odkryłam zniknięcie babuni. Myślałam, że to sen, ale... – Potrząsnęła głową, milknąc.

– Więc podsumujmy – wtrąciła Elenor, siadając na podkulonych nogach. – Widziałaś istotę, którą rysował wujek Mattias, choć nie jesteś tego stuprocentowo pewna, bo było ciemno, a gdy próbowałaś ją śledzić, zniknęła.

– Nie – mruknęła jej siostra, ściągając z twarzy włosy, które zarzucił jej wiatr. – Nie byłam przekonana wtedy, bo to było dziwne i nierzeczywiste. Ale teraz jestem prawie pewna, że to tam naprawdę było.

– Prawie – zauważyła Elenor. – Wcześniej mówiłaś też, cytując: „Nie jestem pewna, co to dokładnie było”. – Dziewczyna zakreśliła palcami znak cudzysłowu.

Clementine krzyknęła sfrustrowana.

– Poszukajmy tego stworzenia – wtrącił nagle Dirk i wszystkie siostry utkwili w nim swoje spojrzenia. Chłopak się zarumienił. – To jedyne logiczne wyjście. Trzeba go poszukać.

– Nigdy nie widziałyśmy nawet śladu – zauważyła Ginger.

– Może jego ślady są podobne do innych? – Clementine wzruszyła ramionami. – A może wyłonił się dopiero teraz?

– Czy wy się słyszycie?! – zawołała Elenor. – Mówimy o stworzeniu z rysunków zmarłego chłopca! Może widziałaś coś innego, ale z powodu tego, co się ostatnio dzieje, myślałaś, że to właśnie to?

Clementine parsknęła i spojrzała na Dirka, jakby chciała, aby znowu ją poparł.

Chłopak się zawahał.

– To, co mówisz, brzmi rozsądnie – stwierdził niepewnie, zerkając na Elenor. – Mimo to sądzę, że powinniśmy się rozejrzeć. No, bo jeśli naprawdę dzieją się tu takie rzeczy, to nie lepiej o tym wiedzieć?

– Naprawdę? – Elenor potrząsnęła głową. – Byłyśmy w tym lesie miliony razy i nic nie zauważyłyśmy.

Dirk odetchnął.

– Poszukać przecież nie zaszkodzi.

– To absurd. – Dziewczyna nie dała się przekonać.

Dirk nie potrafił już zatrzymać swoich myśli, choć doskonale rozumiał wątpliwości Elenor; kiedy jednak człowiek żyje już tak długo z pewnym pragnieniem, w końcu chwyta się wszelkich sposobów, aby się ziściło.

Chłopak zaczął dumać, w jaki sposób istota – o ile rzeczywiście istnieje – jest powiązana z Mattiasem Marsdenem. Wujek dziewcząt nie tylko fanatycznie ją rysował, w tym na ścianach domu Lorelei Garcii, ale bestia pojawiła się również niedługo po tym, jak on został odnaleziony i pochowany.

Dirk zastanawiał się również, jaką rolę odgrywała w tej historii Lorelei Garcia. Od początku czuł, że jej obecność nie jest przypadkowa – przyjaźniła się z Mattiasem, który rysował istotę na jej ścianach, w dodatku najprawdopodobniej go zastrzeliła. Może była zapalnikiem i to ona zapoczątkowała te wszystkie wydarzenia? Obecność stworzenia, śmierć oraz to, co Dirkowi wciąż umykało?

Podzielił się swoimi spostrzeżeniami, usiłując ubrać je w jak najlepsze słowa.

– I co o tym myślicie? – zapytał na koniec, obawiając się spojrzeć na Marsdenówny.

– Myślę, że chcę to zbadać – stwierdziła od razu Clementine.

Dirk podniósł wzrok i posłał jej uśmiech.

– Ja też – dodała energicznie Ginger.

Wszyscy spojrzeli teraz na Elenor.

– No dobrze, no! – Dziewczyna wyrzuciła ręce w powietrze. – Przecież nie zostawię was, matoly! Przyda się w tej grupie choć

jedna racjonalna osoba.

Ginger zachichotała, a Clementine rzuciła się na siostrę i objęła ją ramieniem. Elenor skrzywiła się ze śmiechem, próbując ją odepchnąć.

– Już, wystarczy!

Clementine odsunęła się i odwróciła do Dirka.

– Jakie jeszcze masz uwagi? – zagadnęła.

Zanim jednak chłopak zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się Ginger:

– Myślę, że powinniśmy odtworzyć poprzednią sytuację i poszukać tego stworzenia po zmroku. W dzień raczej nam się nie pokaże.

Elenor przewróciła oczami.

– No jasne.

– To chyba nie jest bezpieczne... – wtrącił niepewnie Dirk, Clementine poklepała go jednak po ramieniu.

– Nie martw się, nie zostawimy cię samego.

Skóra w miejscu dotknięcia stała się gorąca. Brewer spuścił wzrok, usiłując ukryć rumieniec.

– W porządku – powiedział, strzepując okruszki ze spodenek i koszulki.

Elenor położyła się na wznak, wkładając dłonie pod głowę, po czym głęboko odetchnęła. Musiała zmrużyć oczy, kiedy jedna z plam światła padła na jej twarz. Wciąż wiał silny wiatr.

– Nie nastawiajcie się, że cokolwiek zobaczymy – oznajmiła. – Wielkiej Stopy wciąż szukają i jedyne, co mają, to ślad z platfusem – dorzuciła z przekąsem.

– Wielka Stopa nie istnieje – mruknęła Clementine.

Jej siostra się roześmiała, a Dirk pomyślał, że naprawdę je lubi.

Rozdział 42

Ginger stała na środku pustego salonu w domu niegdyś należącym do Lorelei Garcii, z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia i przymkniętymi oczyma. Miała nadzieję, że coś wyczuje, jak tamtej nocy, kiedy znalazła rysunki wujka Mattiasa, niestety, nic takiego się nie stało. Czuła na sobie jedynie nieruchome spojrzenia ściennych malunków, wątpiła jednak, aby było w tym cokolwiek nadnaturalnego.

Czy wierzyła siostrze, że ta widziała coś w lesie? Tak. Ginger próbowała ocenić, jak bardzo jest tym zdziwiona, ale szybko zdała sobie z czegoś sprawę – zdumienie pozostawało emocją, która w tym przypadku była jej całkowicie obca.

Otworzyła oczy i spojrzała na największy rysunek bestii, namalowany tuż obok drzwi prowadzących na korytarz. Zbliżyła się tam i wbiła wzrok w ciemne oko.

– Mów do mnie – powiedziała. – Mów.

– Co ty robisz? – zapytała Clementine stojąca w progu pokoju.

Ginger nie odsunęła się od ściany, lecz wciąż wpatrywała się w malunek, jakby ten rzeczywiście zaczął do niej przemawiać.

– Myślę, że to wszystko zaczęło się tutaj – odparła Ginger.

– To, czyli co? – zdziwiła się jej siostra.

Ginger w końcu na nią spojrzała.

– Nie wiem.

Clementine parsknęła.

– A skąd pewność, że stało się to w tym miejscu? Czymkolwiek to jest.

– Takie mam przecucie. Tak jak ty masz przecucie, że to, co widziałaś w lesie, jest prawdziwe.

– Jasne, zrozumiałam. – Clementine wzruszyła ramionami i skierowała się do wyjścia.

Ginger została, przyglądając się, jak światło wpada do środka przez zakurzone okna. Uśmiechnęła się lekko, po czym zakręciła wokół własnej osi, dzięki czemu spódnica w czerwone róże zatańczyła wokół jej ud.

Była świadoma obecności rysunków, starych murów i lata – chłonęła je, ale jednocześnie jakby się od nich oderwała, niczym we śnie, kiedy człowiek się orientuje, że wszystko, co go otacza, wcale nie jest rzeczywiste.

Nagle pomyślała o matce i o jej liście. O koszmarach kobiety, w których pojawiały się szkielety zwierząt porośnięte bluszczem. Czyżby w swoich snach Mya Marsden widziała tę istotę? Może właśnie dlatego Ginger tak łatwo zdołała uwierzyć w opowieść siostry, bo przypomniała sobie o tym szczególe?

Zastanawiała się, czy nie powiedzieć o tym pozostałym. Miała jednak wątpliwości, bo obie jej siostry – z różnych powodów – wcale nie chciały poznawać zawartości listu. Co do Dirka... Ginger nie miała pewności, czy chciałyby dzielić się z nim szczegółami i wyjaśniać mu, jaka relacja łączy je z matką.

Zakręciła się raz jeszcze, a spódnica ponownie zafalowała wokół niej.

* * *

Elenor wspięła się wysoko na rosnącą nieopodal czereśnię, ostrożnie badając wytrzymałość rozwidlających się konarów. Nie zdołała dostać się na samą górę, tam gałęzie były giętkie i słabe; dziewczyna spadłaby, gdyby im zaufała. Znalazła się jednak

wystarczająco wysoko, aby wiatr przeczesał jej włosy, a słońce zakłuło w oczy.

Oczywiście niewiele zobaczyła. Na południe rozciągały się dębowe drzewa, niemal całkiem zasłaniając las, który rósł za progiem jej rodzinnego domu, na północy natomiast widać było szerokie połacie pól złote od pszenicy. Elenor spojrzała na zachód, niemal spodziewając się dostrzec w oddali niewielkie budynki Conetoe – miasteczko znajdowało się jednak zbyt daleko.

Odetchnęła, delektując się wiatrem i słońcem; patrzyła na cienie, które chmury rzucały na ziemię. Mogłaby tu spędzić całą wieczność, odcięta od świata, zupełnie jakby znalazła się na strychu w swoim domu.

Kiedy jednak spojrzała w dół, odkryła, że wcale nie jest tak ukryta, jak myślała. Dirk zadzierał głowę do góry, stojąc dokładnie pod nią, i Elenor poczuła gorąco bijące ją po policzkach.

– Gdybym spadła, zmiażdżyłabym cię – powiedziała, usiłując zignorować to niedorzeczne uczucie.

Dirk uśmiechnął się do niej.

– Jestem pewien, że nie spadniesz – odparł. – Jesteście jak wiewiórki.

– Wiewiórki też czasem spadają z drzew.

Chłopak zaśmiał się cicho i cofnął o dwa kroki.

– A tak w ogóle co tam robisz? – zapytał. – Wypatrujesz tego stwora?

– Nie – parsknęła Elenor. – Jeśli istnieje, to i tak bym go nie dostrzegła. Jest na to zdecydowanie za duży gąszcz.

– Racja – przytaknął Dirk poważnym tonem, przez co skojarzył się dziewczynie z tą wersją siebie, która występuje na apelach i ogłasza ważne szkolne sprawy. – W jaki sposób udało ci się tam wejść? – spytał.

Elenor otrząsnęła się z zamyślenia i wskazała na najniżej rosnącą gałąź.

– Złapałam się jej i podciągnęłam, podpierając stopami o pień.

– Ale ona jest dość wysoko! – Brewer wpatrywał się nieufnie w konar, jakby ten zaraz miał go zaatakować.

Widząc jego zafrasowaną minę, nieoczekiwanie dla siebie Elenor roześmiała się gardłowo. Dirk znowu na nią spojrzął, również się uśmiechając, i dziewczyna nie potrafiła odwzajemnić uśmiechu.

– Wystarczy podskoczyć i dobrze się chwycić. Chodź, pomogę ci!

Chłopak odmówił, kręcąc gwałtownie głową, jednak dziewczyna już zaczęła schodzić, ostrożnie, lecz pewnie chwytając się kolejnych gałęzi.

– To nic trudnego – zapewniła, znajdując się już niemal na samym dole. – Poradzisz sobie.

– Na pewno – mruknął z powątpiewaniem.

– Uwierz w siebie, Dirk.

Dirk uniósł z rozbawieniem brew i już wyciągnął rękę, aby pochwycić jej dłoń, kiedy niespodziewanie pojawiła się Clementine, obgryzając gruszkę i wycierając nadgarstkiem sok spływający po brodzie.

– Ginger zaklina rysunki. A wy co robicie?

– Zaklina rysunki? – zdziwiła się Elenor, spuszczać nogi i wygodniej sadowiąc się na gałęzi.

Clementine kiwnęła głową.

– Te na ścianach. Ma nadzieję, że coś jej wyjawią.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – zakpiła najstarsza siostra.

– I co, powiedziały jej już coś? – zapytał Dirk, opierając się plecami o pień drzewa i uśmiechając szeroko, ale bez złośliwości.

Clementine wzruszyła tylko ramionami, po czym wskazała ruchem głowy na drzewo.

– Mierzysz się ze wspinaczką?

– Nie, chyba nie.

– Dirk, zawiodłeś mnie. – Elenor zsunęła się z gałęzi, zdzierając sobie skórę z ud, ledwie jednak zwróciła na to uwagę.

Brewer objął ją ramieniem i przycisnął do siebie, a ona poczuła dziwny ucisk w piersiach, przez który nie potrafiła nabrać powietrza. Zmarszczyła brwi niezadowolona.

– Obiecuję, że następnym razem się wespnę – powiedział chłopak, nie zauważając reakcji Elenor na jego dotyk.

Dziewczyna strąciła rękę młodzieńca i odsunęła się, zmuszając do uśmiechu.

– Nie masz obiecywać, tylko się wspiąć. – Odwróciła się i ruszyła przed siebie, machając dłonią. – Idę sprawdzić, czy rysunki przemówiły już do Ginger.

Usłyszała za sobą śmiech Clementine i oczyma wyobraźni zobaczyła ją nachylającą się nad Dirkiem. Zdumiona odegnała ten obraz, przyśpieszając. Lawirowała między drzewami i starała się nie nadepnąć na żaden leżący w trawie owoc, który obsiadły osy i pszczoły ryjące tunele w miękkich miąższach.

Po chwili zobaczyła stary dom obrośnięty dziką akacją. Jak zawsze wydał się dziewczynie dziwnie ospały lub zatrzymany w czasie, choć ten bez wątpienia odcisnął na budynku swoje piętno. Elenor przystanęła na krótką chwilę, patrząc na popękane i zakurzone okna, ledwie widoczną spod zieleni cegłę oraz dach obrośnięty mchem. Dom nie nadawał się już do zamieszkania, przesiąkł bowiem wilgocią i grzybem, został opanowany przez duchy i... trzy siostry szukające odosobnienia.

Najstarsza Marsdenówna weszła w końcu do środka, przeskakując po kilka betonowych stopni naraz, i znalazła się w przedpokoju, gdzie nieruchome powietrze pachniało kurzem oraz starością.

Znalazła młodszą siostrę w salonie, wirującą wokół własnej osi. Uśmiechnęła się na ten widok.

– Zakręci ci się w głowie – zauważyła.

– Już mi się zakręciło – zaśmiała się Ginger, zatrzymując w miejscu. – Jak będę się przewracać, złap mnie.

– Nie mam zamiaru. – Szybko spoważniała i zmieniła temat. – Wierzysz w to, co mówi Clementine? O tym stworzeniu? – zapytała.

Ginger wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia dlaczego, ale chyba tak. Jakoś tak... sama nie wiem. Po prostu wierzę. W końcu zawsze czułyśmy, że nasz las jest w pewien sposób magiczny.

– Tak, ale na gruncie emocjonalnym – upierała się Elenor. – A nie naprawdę.

– Na pewno zmienisz zdanie, jeśli go zobaczymy – powiedziała w końcu najmłodsza siostra.

– Jeśli – mruknęła Elenor.

Zamilkły na moment, nawet wiatr przycichł. Dziewczyna patrzyła na drobinki kurzu unoszące się w ciężkim powietrzu, widoczne w strugach światła z trudem przedzierającym się przez brudne szyby i obrastające dom liście.

– Clementine mówiła, że czegoś tu szukasz – rzekła Elenor, z powrotem odwracając się do siostry.

– Chyba tak. Mam dziwne przeczucie i chciałam znaleźć jego źródło.

– Jakie przeczucie? – zdziwiła się Elenor.

Młodsza z dziewcząt rozejrzała się po zniszczonym pomieszczeniu, przez lata ograbionym z mebli i prywatnych przedmiotów.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że coś się tu stało, tylko nie wiem co.

– I znalazłaś odpowiedź?

Ginger pokręciła głową.

– Może nie ma jej tutaj – powiedziała z wahaniem.

– Cóż, nie ma tu wielu rzeczy – wymamrotała Elenor, co wywołało śmiech u jej siostry.

Ginger objęła ją, wciąż chichocząc.

– Jestem pewna, że to znajdziemy – uznała. – Cokolwiek to jest. I wiesz co? – zapytała, uśmiechając się tak szeroko, że Elenor poczuła ból we własnych policzkach. – Już nie mogę się doczekać nocnych poszukiwań.

Rozdział 43

Dirk zmrużył powieki, kiedy wiatr sypnął mu piachem po oczach. Przez całą drogę do domu dmuchało mu w twarz, przez co miał wrażenie, jakby przedzierał się przez powietrze. Gdyby był inny, mógłby kląć i narzekać, on jednak myślał o czymś zgoła innym – idąc, zastanawiał się, gdzie rodzice trzymali aparat fotograficzny. Wpadł bowiem na pomysł, na jaki wpadał każdy łowca mitycznych stworzeń: należało zrobić zdjęcie tej istocie i przekonać się, co dokładnie ukrywa się w ciemności.

Wietrzysku w końcu się udało i Dirk syknął, kiedy ziarenka piasku zakłuły go w oczy. Przycisnął dłonie do powiek, czekając, aż łzy je oczyszczą.

– Nic ci nie jest, Dirk?

Rozwarł powieki i ujrzał przed sobą Gię oraz stojącą za nią Moirę, jak zwykle ubraną w koszulkę zapiętą pod samą szyję. Pierwsza z nich miała wymalowaną na twarzy szczerą troskę, chłopak nie miał jednak pojęcia, co myśli druga.

– To tylko piasek – powiedział, wyginając usta w uśmiechu.

– Pozwól oczom popłakać – poleciła łagodnie Gia, wciąż klepiąc go po ramieniu. – Łzy je oczyszczą.

– Dzięki – odparł Dirk, choć doskonale o tym wiedział.

Dziewczyny wciąż na niego patrzyły, a on nie wiedział, czy kontynuować rozmowę, czy się z nimi pożegnać i ruszyć dalej. Nie chciał być niemiły. Pożałował nieco, że Gii towarzyszyła Moira, bo z tą pierwszą znacznie łatwiej się dogadać. Zawsze miał wrażenie, że Moira go ocenia, choć znał dziewczynę zbyt długo, aby tak sądzić.

– Więc... – pogładził się po potylicy – w którą idziecie stronę?

Gia już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale Moira weszła jej w słowo:

– Nie musisz tego robić. – Skrzyżowała ramiona na piersiach, a jej twarz jak zawsze pozostała kamienna, niczym wykuta w marmurze.

– Ale chcę. Przecież nie przestaliśmy się kumplować.

– Oczywiście, że nie! – odparła z entuzjazmem Gia.

Wyraz twarzy Moiry nadal się nie zmienił. Wiatr targał jej związanymi w ciasną kitkę włosami, bijąc ją po policzkach. Dziewczyna nawet nie próbowała nad nimi zapanować, choć kilka kosmyków uwolniło się z jej ułożonej fryzury.

– Słuchaj – powiedziała w końcu. – Nie jestem Quentinem i rozumiem, że licealne znajomości nie są wieczne. Nie będę ci robić wyrzutów. Powiem tylko tyle, że po prostu boli mnie trochę, że teraz prawie w ogóle się nie widzimy. Wciąż jednak należymy do samorządu i wiem, że to nadrobimy.

Gia patrzyła na nią z szeroko otwartymi oczyma, Dirk natomiast czuł, jak jego policzki zalewa szkarłat.

– Przepraszam, że ostatnio was olewam. – Rozejrzał się po ulicy, niemal spodziewając się zobaczyć wścibskich sąsiadów podsłuchujących ich rozmowę.

Nikt jednak nie zwracał uwagi na trójkę nastolatków stojących na chodniku. Trzy domy dalej ktoś kosił trawnik, dzieciaki, w tym brat Dirka, kopały piłkę po jezdni. Dostrzegł również panią Doreen, która siedziała na swoim tarasie w towarzystwie papużek.

Chłopak usiłował znaleźć słowa, które będą satysfakcjonujące zarówno dla niego, jak i Gii oraz Moiry.

– Bardzo je polubiłem – powiedział w końcu, uznając, że jedynym wyjściem jest prawda. – Chciałbym spędzać z nimi czas, ale nie chcę

też zaniechywać was. Nie znalazłem jednak jeszcze sposobu, aby to wszystko pogodzić.

Moira wolno pokiwała głową. Dirk nie miał pewności, czy dziewczyna się z nim zgadza, czy może nie dowierza jego słowom. Zapraęnął, aby jej myśli stały się księęą, którą mógłby otworzyć i po prostu przeczytać.

– Pozdrów je ode mnie – powiedziała w końcu, ciąęnąc za sobą Gię.

Dirk, zmieszany, odprowadził dziewczyny wzrokiem, nie ruszając się z miejsca. Czuł się fatalnie.

Po chwili poszedł dalej, machając bratu. Myślał o rozmowie z przyjaciółkami, nie mogąc pozbyć się wyrzutów sumienia, choć przecież nie zrobił niczego złego. Po prostu zakolegował się z nowymi osobami, to nie było przecież zakazane.

Biegiem wpadł do cichego domu, próbując przypomnieć sobie, gdzie rodzice trzymali aparat fotograficzny. Podszedł do szafki w salonie i zaczął przeglądać szuflady, przesuwając liczne dokumenty i instrukcje obsługi skatalogowane w teczkach lub przeźroczystrych koszulkach. Jedną z szuflad zapełniały magazyny rodziców, między innymi „Graphis”, poświęcony grafice artystycznej i użytkowej.

– Dirk, czy to ty? – Usłyszał wołanie mamy.

– Tak, to ja! – odkrzyknął, zasuwając szufladę. – Mamo, gdzie jest aparat?

– Co?

Dirk wstał z cichym westchnieniem i ruszył na górę, do pracowni rodzicielki, która malowała właśnie nowy obraz – chłopak nie potrafił jeszcze ocenić, co na nim będzie. Kobieta uśmiechnęła się do niego, na nosie miała rozmazaną różową plamę.

– Cześć – przywitał się Dirk, stając w progu. Pomimo otwartego okna w nosie zakreśliło go od intensywnego zapachu farb akwarelowych. – Wiesz może, gdzie trzymamy aparat? Szukam go.

– A po co ci? – zapytała kobieta, wracając do płótna.

– Razem z dziewczynami będziemy poszukiwać... leśnego stworzenia.

Mama znów na niego spojrzała, w konsternacji marszcząc brwi.

– Chyba nie masz na myśli dzików, co? Mogą być niebezpieczne.

– Nie. Raczej... jelenie – powiedział z wahaniem.

Mama wciąż mu się badawczo przyglądała.

– Idziesz z młodymi Marsdenównami, czy tak?

Dirk pokiwał powoli głową, czekając na dalsze pytania.

– A gdzie będziecie szukać tych zwierząt? – dopytywała mama. – W pobliskim lesie?

– Tak, ale nie musisz się martwić. Dziewczyny będą mnie pilnować, nie wpadnę więc do żadnej dziury – uprzedził ewentualny sprzeciw rodzicielki. Nie wspomniał, że będą prowadzić poszukiwania po zmroku.

– W porządku – odparła po chwili kobieta, obracając pędzel w palcach. – Aparat jest w szafce pod telewizorem. Jak zawsze. – Z uśmiechem przewróciła oczami.

Dirk podziękował i już miał odejść, zatrzymał się jednak. W końcu wszedł do pracowni i usiadł na taborecie w kącie, najpierw upewniając się, czy jest suchy.

Mama przypatrywała się synowi z dłonią uniesioną w górze, jakby zapomniała, że miała właśnie namalować nową linię na płótnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała z czułością.

Dirk się zawahał.

– Możemy pogadać?

Kobieta odłożyła pędzel i odwróciła się w stronę syna, kładąc dłonie na kolanach.

– Oczywiście – zapewniła, uśmiechając się do niego zachęcająco. – Powiedz mi, co się dzieje.

Chłopak opowiedział jej więc o przeprowadzonej przed chwilą rozmowie, o tym, jak bardzo polubił siostry Marsden i zaniedbał starych przyjaciół; powiedział o wyrzutach sumienia. Przez cały ten czas nie spojrzał na matkę, przyglądał się natomiast obrazom powywieszanym na ścianach bądź po prostu o nie opartych; przedstawiały pejzaże lub abstrakcyjne kształty pełne jaskrawych kolorów.

– Nie chcę kończyć ani jednej znajomości, ani drugiej – wyjąwił, wreszcie kierując wzrok na rodzicielkę.

– Wiesz, to całkiem normalne, że niektóre więzi się rozluźniają. Tak w życiu bywa.

– Ale ja nie chcę, żeby się rozluźniły.

Mama miękko westchnęła.

– Więc spotykaj się z nimi co drugi lub trzeci wieczór. Albo zaproś ich na to poszukiwanie leśnego stworzenia czy jak to tam nazywasz. Nie musicie przecież spędzać czasu osobno.

Dirk poczuł wątpliwości.

– Nie wiem, czy jedna i druga strona na to przystaną.

– Rozpisz terminarz – rzekła kobieta z rozbawionym uśmiechem. – Masz teraz wakacje i wiele czasu do zagospodarowania.

Chłopak kiwnął głową, choć wiedział, że jedynym wyjściem, które mu odpowiadało, było rozdwojenie się, aby spędzać czas jednocześnie w obu miejscach. Takie rzeczy działy się jednak tylko w komiksach.

– I nie miej wyrzutów sumienia, bo chcesz spędzać czas również z innymi ludźmi, Dirk – dodała mama. – Jeśli ktoś ma o to do ciebie

pretensje, to nie jest w porządku.

– Moira wcale mi tego nie zarzucała.

– To dobrze. Pomogłam ci choć trochę?

Młodzieniec przytaknął.

– Dzięki, mammo.

Kobieta uśmiechnęła się do niego i odwróciła w stronę obrazu. Dirk wstał i ruszył do wyjścia, czując się nieco lepiej. W progu zatrzymał się jeszcze, oglądając przez ramię.

– Mammo?

– Tak, skarbie?

– A latarkę gdzie trzymamy?

Rozdział 44

Nad Conetoe zapadła noc, zegary wybiły północ. Siostry wstały po cichu z łóżek i ubrały się, cały czas poruszając się w ciemności. Wszystko przygotowały wcześniej, aby nikogo nie zbudzić w nocy krzątającą. Kiedy były już gotowe, na palcach wyszły z pokoju i zeszły na dół, krzywiąc się przy każdym skrzypnięciu stopnia. Na przedzie szła Elenor, Ginger trzymała ją za łokieć, aby się nie potknąć, a na końcu kroczyła Clementine, cicho niczym mysz.

Znalazły się na korytarzu i najstarsza siostra już miała ruszyć ku wyjściu, kiedy zobaczyła cień poruszający się po podłodze. Ktoś znajdował się w kuchni. Kierowana przecuciem Elenor nakazała siostrą poczekać przed domem, sama natomiast zajrzała do pomieszczenia. Ujrzała ojca stojącego nad blatem kuchennym, wpatrującego się w pustą szklankę i butelkę. Poczowała ciarki, kiedy zrozumiała, że to wódka i że na pewno nie znalazła się w domu za sprawą ciotki Lisy lub Charliego.

– Co ty robisz? – zapytała i skrzywiła się, słysząc swój piszczący głos.

Tata drgnął i nawet w półmroku Elenor dostrzegła na jego twarzy zmieszanie. Cofnął się, zasłaniając sobie usta dłonią, i patrzył na córkę wielkimi oczyma, jakby sam nie miał pojęcia, co takiego wyczynia.

– Nie napiłem się – powiedział zachrypniętym głosem. – Przrzekam, że się nie napiłem. Nawet kropelki.

– A co niby miałeś zamiar zrobić? – warknęła Elenor, starając się jednocześnie mówić cicho, aby nie zbudzić nikogo na górze. Podeszła do blatu, chwyciła butelkę i wylała jej zawartość

do zlewu, z satysfakcją słuchając, jak płyn z bulgotem znika w odpływie.

– Przepraszam, ja... – Tata wsunął palce we włosy i zaczął je szarpać.

Elenor nie chciała ukrywać butelki – musiałaby kłamać Charliemu i Lisie, zataić przyłapanie Erica na nocnym pijaństwie. Jednocześnie lojalność wobec ojca nie pozwalała go wydać, choć dziewczyna doskonale wiedziała, że to nie zaprowadzi ich daleko, zarówno ją, jak i jej tatę.

Była zła, bo stojący przed nią mężczyzna zmuszał ją do takiego wyboru.

– Dalej będziesz się upierał, że nie potrzebujesz pomocy? – zapytała cierpko. Wyciągnęła ku niemu dłoń z pustą butelką, ale on nie chciał jej przyjąć. Nie chciał również odpowiedzieć.

Przez chwilę trwali w milczeniu, otoczeni jedynie przez ciemność i szum wiatru szalejącego za oknem. Elenor odstawiła w końcu naczynie z powrotem na blat, ze złością zaciskając usta w wąską linię. Ojciec nawet nie chciał się bronić, co ją denerwowało, choć doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby spróbował, wpadłaby w jeszcze większą wściekłość.

Odetchnęła głęboko, starając się nad sobą zapanować, bo nie chciała, aby jej głos zdrzął przy kolejnych słowach.

– Masz się za siebie zabrać – rzekła powoli, dokładnie wypowiadając każdą sylabę. – Masz iść na leczenie i obym znowu nie nakryła cię na picciu tego świństwa. Urlop ci się skończył, jutro idziesz do pracy.

Ojciec zwiesił głowę.

– Nie napiłbym się. Wiem, że nie.

– Oby – mruknęła Elenor i wyszła z kuchni na zewnątrz.

Chłodny powiew wiatru ostudził jej rozgrzane policzki i dziewczyna wreszcie mogła odetchnąć. Siostry wpatrywały się w nią z niepokojem, wyczekując wyjaśnienia, ona jednak nie miała ochoty rozmawiać o ojcu i jego problemie.

– Chodźmy po Dirka – zaproponowała. Uśmiechnęła się do nich i popchnęła lekko w stronę drogi. – Poszukajmy tego stworzenia.

* * *

Z początku go nie zauważyły, Dirk schował się bowiem w cieniu jednej z przydrożnych wierzb, próbując uniknąć podmuchów wiatru. Cekał przy ścieżce prowadzącej do lasu, w połowie drogi, nie wszedł jednak między drzewa, zgodnie z umową. Nie chciał się błąkać po lesie po ciemku, bo mógłby się zgubić.

– Długo czekasz? – zapytała Elenor, podchodząc bliżej. Świat dookoła nieprzerwanie szumiał, a gwiazdy nad ich głowami świeciły tak jasno, że było niemal widno.

Chłopak pokręcił głową, otrzepując się z trawy.

– Dalej, żołnierzu – wtrąciła Clementine, podskakując w miejscu. – Nie mamy czasu! Do wymarszu, raz!

Elenor przewróciła oczami i Dirk musiał to zauważyć, bo szeroko się do niej uśmiechnął. Dziewczyna ucieszyła się, że jest na tyle ciemno, aby ukryć niechciane rumieńce wypływające jej na policzki.

– Chodźmy – powiedziała, odwracając się.

We czwórkę ruszyli w stronę lasu, przecinając pola. Sucha trawa trzeszczała pod ich stopami, łamiąc się i wyginając. Dirk trzymał się blisko Clementine, jakby w obawie, że gdy tylko straci ją z oczu, zgubi się w ciemnościach. Idąca przed nimi Ginger w ogóle się tego nie bała, bo tanecznym krokiem mknęła przed siebie, a włosy powiewały jej na wietrze.

Nie zatrzymując się, Dirk wyciągnął z kieszeni bluzy aparat fotograficzny i pokazał go Clementine. Urządzenie było masywne, w czarnej obudowie.

– O, super – powiedziała, wyjmując mu je z dłoni, aby się przyjrzeć dokładniej. – Hej, już są na nim zdjęcia.

– Z urodzin sióstr. Ale połowa kliszy jest wolna.

Clementine obróciła się i podała aparat Elenor, która zważyła go w dłoni.

– Trzeba będzie włączyć flesz, inaczej nie wyjdzie – powiedziała, oddając Dirkowi jego własność.

– Wiem – mruknął chłopak. – Domyśliłem się.

Elenor już miała go przeprosić, ale właśnie dotarli na skraj lasu – przedzierając się przez krzaki dzikiej żurawiny, wkroczyli między drzewa, a mrok stał się gęściejszy, gdy gałęzie przysłoniły światło gwiazd. Przystanęli, próbując nie potknąć się o wystające gałęzie. Powietrze tutaj wydawało się cięższe, przesiąknięte zapachem ziemi i kory, gdzieś w oddali pohukiwała sowa.

– Nic nie widzę – poskarżył się Dirk.

– Nie zapalaj latarki – pouczyła chłopaka Clementine, łapiąc go za przedramię.

– Wiem, przecież tego nie robię.

Ich wzrok w końcu przywykł do ciemności i mogli ruszyć dalej. Pohukiwanie sowy stało się głośniejsze, a oni parli naprzód, starając się zachowywać cicho, co nie zawsze było łatwe. W ogóle się do siebie nie odzywali, ale Elenor nie miała pewności, czy jest to ich świadoma decyzja. Z dłońmi głęboko w kieszeniach rozejrzała się po lesie, usiłując dojrzeć cokolwiek, co świadczyłoby o tym, że Clementine mówi prawdę. Nie widziała jednak nic poza zarysem drzew i krzewów. Las zdawał się skryty i milczący, ale taki był zawsze. Wyciągnęła ramiona i dotykała opuszkami palców pnie

mijanych drzew. Otaczało ją to, co uwielbiała w nocy: pozorny zastój, kiedy czas jakby biegł wolniej niż zwykle.

Dirk obejrzał się na nią i zwolnił nieco, aby się z nią zrównać.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho, niemal szeptem.

Elenor zmarszczyła brwi, zerkając z ukosa na chłopaka.

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Wydajesz się zamyślona. – Wzruszył ramionami, po czym potknął się o wystający korzeń, zdołał jednak odzyskać równowagę.

Elenor wyciągnęła dłoń, ale zaraz ją cofnęła.

– Lepiej się nie potykaj, chłopcze – powiedziała. – Jeśli upadniesz, korzenie zamkną się nad tobą i wciągną cię pod ziemię.

Dirk odwrócił się do niej gwałtownie. Clementine roześmiała się głośno, odchylając głowę do tyłu. Elenor również się uśmiechnęła, odzyskując na chwilę dobry nastrój.

Zanim młodzieniec zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zbliżyła się do nich tanecznym krokiem Ginger.

– Myślę, że powinniśmy iść w kierunku domu pani Garcii.

– No tak, te twoje przecucia – parsknęła Clementine, choć bez złośliwości. – Lepiej idźmy tam, gdzie ostatnim razem zobaczyłam tamto stworzenie. Może znowu mi się poszczęści.

– Raczej wątpię – odparła Elenor.

Dirk pokiwał głową.

– Nie mamy pojęcia, jaki jest jego plan dnia.

– Plan? – Elenor zmarszczyła brwi, patrząc na chłopaka. – To dzikie stworzenie. Nie ma żadnego planu dnia.

Clementine jęknęła, przyciskając dłoń do czoła.

– Czyli co, mamy po prostu błąkać się po lesie, licząc na szczęście?

– A czego się spodziewałaś? – Jej najstarsza siostra wzniosła oczy ku niebu.

– Hej... – szepnął Dirk.

Jakaś dziwna nuta w jego głosie sprawiła, że wszystkie trzy zwróciły ku niemu spojrzenia.

Chłopak patrzył na coś w oddali, a jego oczy robiły się coraz większe. Wskazał przed siebie i Elenor podążyła wzrokiem za jego dłonią, niemal spodziewając się ujrzeć istotę o kościanej twarzy oraz porożu porośniętym bluszczem. Rzecz jasna nic takiego się nie stało.

Dostrzegła jednak coś innego: światła tańczące po ziemi, niezwykle jasne na tle otaczających je ciemności. Płomyki miały kolor jasnego oranżu i tańczyły, zupełnie jakby były duchami, które zbudziły się, aby harcować. Elenor uśmiechnęła się do siebie, bo już od bardzo dawna ich nie widziała – nawet nie wiedziała, jak bardzo stęskniła się za tymi eterycznymi światłami.

– To właśnie są błędne ogniki – powiedziała Ginger, również się uśmiechając.

– A więc tak one wyglądają – mruknął Dirk, nie spuszczać spojrzenia ze światłek. – Nic dziwnego, że wzbudzają w ludziach niepokój. Wyglądają dziwnie nienaturalnie.

Elenor pokiwała głową. Istotnie, niewielkie płomyki tańczące w głębi lasu mogły kojarzyć się ze światem, do którego zwykli śmiertelnicy nie mieli dostępu.

– Tymczasem są całkiem normalne – powiedziała zamiast tego. – To tylko samozapłon wydobywających się spod ziemi gazów. Częste zjawisko na takich bagniskach.

Dirk pokiwał głową.

– Las się od tego nie zapali?

Elenor wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dotąd to się jednak nie zdarzyło, więc chyba możemy być spokojni.

– Nie przekonuje mnie to – odparł Dirk z uśmiechem.

Clementine szturchnęła go ramieniem i jego twarz jeszcze bardziej się rozjaśniła.

Ginger podskoczyła kilka razy w miejscu i rzuciła:

– Chodźmy za nimi! – Ruszyła przed siebie, więc pozostali nie mieli innego wyboru, jak podążać za nią.

Światełka wciąż błąkały się gdzieś między drzewami, w milczeniu wskazując im kierunek. Elenor nie rozumiała powodów, dla których mieliby iść w ich kierunku, nie odezwała się jednak słowem. W końcu, tak czy inaczej, błąkaliby się po lesie. Równie dobrze mogli iść tropem błędnych ogników, tak jakby jedna magiczna rzecz miała doprowadzić ich do drugiej.

Dirk cały czas trzymał się blisko Clementine i Elenor, podczas gdy Ginger szła przodem, nucąc coś cicho pod nosem. Ogniki cały czas wskazywały im drogę. Panujący dookoła zastój, ta dziwna cisza przerywana jedynie szeptami drzew i dalekim pohukiwaniem sowy, sprawiał, że Elenor zaczęła się zastanawiać, czy na końcu tej drogi rzeczywiście coś na nich czeka. Ona i Clementine spotkały się wzrokiem i dziewczyna od razu wiedziała, że jej siostra miała podobne myśli.

Błędne ogniki to pokutujące dusze – może jedną z nich była Lorelei Garcia? Albo Mattias? Czy gdyby duch wujka błąkał się w pobliżu, chciałby, aby odkryli prawdę?

– Pomóż nam – szepnęła niemal bezgłośnie. – Bo tylko się błąkamy.

Patrzyła, jak Dirk lekko dotyka łokcia Clementine, kiedy przedzierali się przez niskie krzewy jeżyn. Elenor nie miała pojęcia, dlaczego ten gest sprawił, że policzki jej zapłonęły – zdenerwowana próbowała nad tym zapanować. Miała teraz na głowie zupełnie inne sprawy, nie chciała zajmować się również głupim młodzieńczym uczuciem.

Zadrzała, zdając sobie sprawę, co to takiego.

Dirk spojrział na nią, ale dziewczyna szybko odwróciła wzrok.

Głupia, głupia, głupia!

Błędne ogniki migoczące w głębi lasu były coraz bliżej, ich światło stawało się jaśniejsze, jakby pełniejsze. Elenor coraz bardziej nie mogła się doczekać, co znajdą na samym końcu tej drogi – naprawdę by się zawiodła, gdyby nic na nich nie czekało, jedynie płomyk drżący tuż nad ziemią.

No, dalej – pomyślała, zwracając się do istoty i próbując jednocześnie odegnąć wcześniejsze myśli. – Jesteśmy tutaj. Proszę, przyjdź.

Rozdział 45

Tylko Mattias Marsden oraz Lorelei Garcia byli tego świadkiem i tylko ich duchy mogłyby opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Albo może jeszcze stworzenie skrywane przez las.

Zdarzenia te miały związek z rysunkami, domem i samym zaginięciem młodzieńca. W ciągu nocy wszystko się zmieniło za sprawą jednej twórczej myśli.

Zegar wiszący na ścianie wybił siódmą, kiedy Mattias skończył swoje ostatnie dzieło namalowane w kuchni, między wiekową lodówką a framugą. Chłopak był tu całkiem sam, z zamyśloną miną i dłońmi brudnymi od grafitu. Lorelei Garcia zajmowała się własnymi, tajemniczymi sprawami, a jego brat Eric poszedł na randkę z dziewczyną poznaną w szkole, pochodzącą z innej wioski. Mattias zastanawiał się, jak mu idzie.

Otrzeptał dłonie, wpatrując się w swoją pracę. Próbował sobie wyobrazić namalowane stworzenie w rzeczywistości, oddychające tym samym powietrzem co on. Jak by się poruszało? Zwinnie niczym łania czy raczej ociężale i głośno?

W progu stanęła Lorelei i posłała mu uśmiech.

– Niedługo skończy ci się miejsce – powiedziała. – Gdzie wtedy będziesz rysował?

Mattias wyszczerzył się w uśmiechu, pocierając o siebie dłonie, ale w ten sposób tylko rozmazał popielate plamy na skórze.

– Coś wymyślę – odparł w końcu, wzruszając ramionami.

Kobieta się zbliżyła i przez chwilę oboje wpatrywali się w malunek, nie odzywając do siebie ani słowem.

Mattias znowu miał wrażenie, że zrobił coś nie tak – technicznie rysunek wyglądał dobrze, pod tym względem był z niego całkowicie zadowolony; jednak wciąż coś mu nie odpowiadało, dokładnie tak samo jak w każdym poprzednim. Stworzenie pozostawało zbyt mało... żywe. Znowu powróciła do niego wcześniejsza myśl – a raczej wyobrażenie. Stworzenie jest prawdziwe i dyszy mu w kark, jest prawdziwe, jest prawdziwe, jest prawdziwe...

Potrząsnął głową, starając się odegnać ten obraz.

– Ten jest najlepszy – rzekła Lorelei i jak zwykle Mattias nie miał pojęcia, czy mówi to do niego, czy tylko do siebie. – Odwieczny.

Chłopak już dawno nauczył się puszczać mimo uszu większość tego, co ta kobieta mruzczała. Była szalona – co do tego nie miał wątpliwości. Oczywiście czasem naprawdę uwielbiał jej słuchać, opowiadała wspaniałe historie – jednak w ani jedną nie wierzył, choć nieraz pragnął to uczynić. Życie byłoby znacznie bardziej magiczne i niezwykłe, takie jak to stworzenie, którego nie potrafił przestać rysować.

– Dlaczego tak go nazywasz? – zapytał po raz kolejny.

Ponownie padła ta sama odpowiedź:

– Stary świerk mi powiedział, że to jedno z jego imion.

Mattias nie ciągnął tematu, zamiast tego posprzątał przybory do rysowania, a potem starannie umył dłonie płynem do naczyń. Lorelei w tym czasie siedziała przy niewielkim kuchennym stoliku i uważnie mu się przyglądała – chłopak czuł jej spojrzenie na karku.

Odszedł od zlewu i opuścił kuchnię, przypatrując się mijanym ścianom, na których widniały namalowane przez niego postacie. Znowu powróciło to wrażenie, natrętne niczym owad w upalny wieczór. Narysowane stworzenia nie były wystarczająco prawdziwe.

On sam czuł się niewystarczająco prawdziwy, jakby był tylko cieniem przemykającym z jednego dnia do drugiego. Przyszłość napawała go strachem, bo nie potrafił sobie jej wyobrazić. Gdzie rzuci go los? Pragnął coś znaczyć, ale jak miał to osiągnąć, jeśli nie wiedział, do czego został stworzony?

Raz jeszcze przyjrzał się rysunkom. Właśnie to mógłby robić – malować. Tyle tylko że z tego nie da rady się utrzymać. To chciał robić, lecz dla świata to było za mało.

Wyciągnął dłoń i przyłożył ją do ściany, zaledwie centymetr od najbliższej linii.

Na zewnątrz zerwał się wiatr, niosąc ze sobą zapach rozgrzanej ziemi. Powietrze było tego dnia niezwykle przejrzyste. Gdyby Mattias wspiął się na jedno z rosnących wokół domu drzew, dostrzegłby na horyzoncie dalekie wzgórza, ale zamiast tego znajdował się tutaj, szczelnie ukryty.

– Wiesz, że mógłbyś zostać ze mną, prawda? – rozległ się głos starszej kobiety.

Mattias usłyszał w nim wahanie i sam poczuł się niepewnie, bo nigdy wcześniej nie przemawiała do niego takim tonem.

Przyjrzał się Lorelei, ale skrępowanie słyszane w słowach w ogóle nie odznaczało się na jej pomarszczonej twarzy.

– To twoje miejsce, nie moje – odparł, przechodząc do salonu. Paliła się tu tylko samotna lampka i pokój powoli stawał się coraz ciemniejszy, bo i świat za oknem otulał coraz głębszy mrok.

Chłopak usiadł na parapecie, mocniej uchylając okno i pozwalając, aby przyjemna woń wpadła do środka. Daleki rechot żab stał się nieco głośniejszy.

– Nieprawda – odparła kobieta, zatrzymując się w progu. – Ten dom należy też do ciebie.

Mattias potrząsnął głową.

– Nie mogę się tu ukryć, tak jak ty to zrobiłaś.

– Jestem znacznie starsza od ciebie i wierz mi, wiem o świecie znacznie więcej niż ty. – Kobieta zbliżyła się powoli, jakby Mattias był wystraszone zwierzęciem, i nie chciała go spłoszyć. – To bardzo niebezpieczne, głośne miejsce. Nie dla takich jak my.

Chłopak uderzył pięścią o framugę okna, ale niezbyt mocno.

– Ja nie jestem taki jak ty – odparł bardziej szorstko, niż zamierzał. Poczzerwieniał gwałtownie, trochę ze wstydu, a trochę ze złości. – Zachowujesz się tak, jakbym szedł na wojnę, a przecież tak nie jest.

Lorelei była już tak blisko, że gdyby chłopak wyciągnął ramię, mógłby jej dotknąć. Nie poruszył się jednak, patrzył nadal na sad i obserwował niewyraźne odbicie kobiety w szybie. Pragnął, aby wreszcie przyszedł deszcz.

– Nie rozumiesz... – zaczęła, ale Mattias nie dał jej dokończyć.

– Nie, nie rozumiem – powiedział, wkładając w swój głos całą stanowczość, jaką zdołał w sobie odnaleźć. – Ale nie muszę. I wiesz co? Boję się już wystarczająco, nie musisz mnie straszyć bardziej.

Kobieta się zmieszała.

– Nigdy nie chciałam...

– Wiem. Po prostu przestań się tak o mnie martwić.

Odetchnął głęboko i uważniej przyjrzał się sadowi, w którym sylwetki drzew powoli znikały w zapadającym zmierzchu. Świeże wieczorne powietrze niesło przyjemną woń lata. Chłopak zaciągnął się nią, czując, jak pierś ściska mu niepokój.

– Rozumiem, dlaczego wybrałaś to miejsce – powiedział w końcu.

– To naprawdę niezła kryjówka. Można... – Odwrócił głowę i zamilkł raptownie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że Lorelei Garcia zniknęła. Towarzyszyły mu jedynie rysunki zdobiące ściany, puste, martwe oczy nakreślone węglem i grafitem.

Mattias nie mógł znieść ich spojrzeń, bo przypominały mu jego brak talentu – nie potrafił tchnąć w nie życia. Odetchnął głęboko i przymknął na chwilę oczy, zagryzając ze zmartwienia wargę. Choć sad za oknem nieprzerwanie szeptał, a z oddali dobiegał żabi rechot, Marsdenowi wydawało się, że jest zbyt cicho. Nie otwierając oczu, zaśpiewał:

*Leżę cicho na dnie jeziora,
Pozwalam, aby dookoła przemijał świat;
I już niemal zapominam, jak brzmiały słowa,
Dźwięki, melodie,
Nie mogę przypomnieć sobie, od ilu lat skrywają mnie głębiny...*

Gdy nucił, za oknem zapadał coraz głębszy mrok, jakby przyciągany miękkim, chłopięcym głosem. Mattias przyłożył dłoń do piersi, bo poczuł w niej nagłe drgnienie. Zamilkł, dookoła znowu zapanowała pozorna cisza. Zerknął w bok, zaciskając pięść na koszulce, i dostrzegł Lorelei stojącą wśród jabłoni, nieruchomo niczym posąg. Z nieoczekiwaną dla siebie ulgą przyjął dzielącą go od niej odległość. Nie miał pojęcia, co o tym sądzić – kobieta nigdy wcześniej nie wzbudzała w nim innych uczuć oprócz ciekawości.

Garcia odwróciła się i ich spojrzenia spotkały się w półmroku. Jej usta poruszyły się, ale do młodzieńca nie dotarły żadne słowa. W całej tej sytuacji było coś surrealistycznego, Mattias z trudem odwrócił wzrok.

„Jestem niezwykły!” – pragnął krzyknąć, nie potrafił jednak otworzyć ust, język przylgnął mu do podniebienia. „Jestem niezwykły, jestem niezwykły, jestem niezwykły...”

Jego spojrzenie znowu zatrzymało się na jednym z rysunków, pierwszym, który namalował w tym domostwie.

Mógłbym się tym zająć. Gdybym tylko potrafił sprawić, aby stał się bardziej żywy...

Chłopak zdał sobie sprawę z tego, że wciąż zaciska pięść na koszulce, rozluźnił więc palce i opuścił dłoń, dziwne poruszenie jednak wciąż trwało w jego piersiach. Westchnął, a jego oddech wydał mu się drżący i niepewny. Ucieszył się, że poza nim nikt inny go nie usłyszał; nie chciał, aby ktokolwiek go w tej chwili oglądał.

– Proszę – wyszeptał, sam ledwie siebie słysząc. – Proszę, stań się żywy.

Jedna twórcza myśl.

Przez otwarte okno wdarł się do środka chłodny powiew pachnący ziemią i trawą, osuszając Mattiasowi kark z potu i łopocząc zasłonami. Chłopak przytrzymał się framugi i nagle zaczęło mu brakować tchu. Jego skóra stała się gorąca, niemal parzyła, a serce boleśnie przyśpieszyło. Powietrze przez krótką chwilę wydawało się dziwnie przejrzyste, wszystkie linie gwałtownie zafalowały, a potem po prostu się zatrzymały. W gardle Mattiasa narastał krzyk, młodzieniec nie pozwolił mu się jednak wydostać, całą siłą woli dławił go w sobie. Głowę opanowała mu mętna pustka, jakby myśli opuściły chłopaka.

Nie miał pojęcia, co się właśnie wydarzyło.

Tuż przed jego twarzą stało stworzenie. Wypełniało sobą całą przestrzeń salonu – a przynajmniej Mattiasowi tak się wydawało, bo w tamtej chwili nie widział nic poza chropowatą czaszką jelenia oraz porożem porośniętym bluszczem. Ostatnimi czasy nie rysował nic innego i przeszło mu przez myśl, że może postradał rozum.

Wtedy bestia rzuciła się na niego i Mattias w końcu krzyknął, wylatując przez okno. Wzrok wciąż mu się rozmywał, a oddech

uwiązł w gardle, gdy uderzył plecami o ziemię. Próbował jęknąć, ale nie potrafił.

Stworzenie załoniło sobą całe rozgwieżdżone niebo, a wtedy chłopak odepchnął istotę rękoma, czując pod palcami szorstkość kości i sierści. Zerwał się i w panice ruszył przed siebie, przedzierając się przez sad. Gałęzie raniły mu ramiona, pokrzywy parzyły w skórę. Nie miał pojęcia, gdzie jest teraz Lorelei Garcia; miejsce, w którym jeszcze nie tak dawno stała, było teraz puste.

Mattias zaraz jednak o niej zapomniał, gdy usłyszał za plecami donośny trzask. Obejrzał się i ujrzał ją – istotę o jeleniej czaszce oraz porożem porośniętym bluszczem, jeszcze większą, niż mu się wcześniej wydawało. Niemal dorównywała wzrostem owocowym drzewom.

Chłopak popędził dalej, nie oglądając się już więcej za siebie, aż pokonał dębowy lasek i znalazł się na ukwieconej łące, z powodu ciemności pozbawionej kolorów. Biegł dalej, a strach dodawał mu siły i rozjaśniał skłębione myśli.

Odwieczny był prawdziwy, prawdziwy, prawdziwy! Mattias wiedział, że musi biec. Ze wszystkich stron otaczały go drzewa, spomiędzy gałęzi na chwilę wyłoniła się Droga Mleczna, ale ani trochę nie rozjaśniła spowijającego las mroku – Mattias nie widział nawet własnych dłoni. Zamiast tego przed oczyma wciąż stawał mu obraz istoty wyłaniającej się z rysunków, przyzwanej cichym, chłopięcym głosem.

Gorący oddech palił Mattiasa w gardło, nie potrafił się jednak zatrzymać. W pewnej chwili, choć młodzieniec nawet tego nie zauważył, otoczyły go olszynowe drzewa, tak bardzo znajome, że to było aż nieznośne. Dlaczego świat wyglądał tak samo, skoro w ciągu sekundy wszystko się zmieniło?

Marsden potknął się o coś i upadł, a jego palce zatopiły się w miękkiej, wilgotnej ziemi. Jęknął głucho, kiedy biodro eksplodowało bólem. Mimo prób nie mógł wstać. Miał błoto w ustach.

Obrócił głowę, niemal spodziewając się zobaczyć istotę stojącą w cieniu olszyn, ale nic takiego się nie stało. Wiedział jednak, że stworzenie musi ukrywać się gdzieś w pobliżu, choć nie miał pojęcia, skąd brała się ta wiedza. To było jak dławiące, nieopuszczające go przecucie, niczym oddech owiewający kark.

Chłopak wstał w końcu. Zaciskając zęby i kulejąc, ruszył dalej, wyciągając dłonie, aby opierać się o pnie mijanych drzew. Biodro kłuło go przy każdym kroku, wyciskając łzy z oczu, ale mimo to Mattias się nie zatrzymywał. Nie słyszał nic poza własnym oddechem i głośnymi, ociążałymi krokami.

Wkroczył na bagna, choć zauważył to dopiero, gdy wdepnął nogą w jedno z bajor. Prawy but wypełniła mu woda, która błyskawicznie go ocuciła, więc szybko się wycofał, zanim całkiem nie wpadł do jeziora. Ostrożnie już teraz ruszył przed siebie, krocząc wąską ścieżką i próbując przy tym dojrzeć mętne tafle bagnistej wody, niemal niewidoczne z powodu spowijającego wszystko mroku. Nozdrza wypełniał mu dławiący zapach torfu, a żabi rechot stał się znacznie głośniejszy.

Przez kolejne minuty, podczas których starał się bezpiecznie pokonać bagna, oddech mu się uspokoił, a ból w biodrze osłabł, dzięki czemu mógł zebrać myśli.

Tamto stworzenie było prawdziwe. Mattiasowi tak bardzo brakowało życia w jego rysunkach, ale teraz nie miało to znaczenia.

Bo ono żyło.

Chłopak westchnął głęboko i zatrzymał się, gdy minął bagna; mocny zapach wciąż wisiał w powietrzu, ale nieco mniej drażnił

nozdrza, Mattias zatem wziął głębszy oddech. Pierś go paliła, ale już nie tak dotkliwie, bok przestał mu już tak bardzo dokuczać. Wciąż się bał. Staął naprzeciw nieznanego, a to zawsze przerażało ludzi – Mattias nie był tu wyjątkiem.

Dlaczego jednak miałby się bać?

– To ja cię stworzyłem – powiedział do siebie, zdając sobie nagle sprawę z tego, że to w istocie prawda.

Powoli się odwrócił. Ono tam stało, wyłoniło się z nocy, jakby tylko czekało na sygnał. Chłopak zadrżał i nieznacznie się cofnął, ale nakazał sobie zachować spokój. Nie miał powodów do strachu. Stworzenie już nawet się nie ruszało, trwało jedynie w całkowitej ciszy i wpatrywało się w niego ciemnymi otworami pozbawionymi oczu. Mattias był pewien, że istota może usłyszeć jego serce panicznie łomoczące w piersiach.

Tkwili tak w miejscu przez niekończącą się chwilę, jedno naprzeciw drugiego, podczas gdy cały świat zamarł, oczekując jakiegokolwiek reakcji. Chłopak pragnął się poruszyć, ale całe jego ciało było tak zdrętwiałe, że nie potrafił. Patrzył zatem tylko, odtwarzając w myślach własne rysunki; wszystkie linie, które maniakalnie kreślił na papierze lub murach, niemal szaleńczo powtarzane raz po raz przez ostatnie dni oraz tygodnie. Zaczął pytać sam siebie, dlaczego właściwie to robił. Bo wyczuwał, że może tchnąć w nie życie. A może to stworzenie samo się domagało, aby uczynił to, cokolwiek stało się w salonie u Lorelei Garcii? Mattias nie potrafił odtworzyć w pamięci całego zdarzenia, rozmyślało mu się, choć przecież miało miejsce dopiero przed chwilą.

Chłopak poczuł nagłe wątpliwości, czy aby na pewno dobrze zrozumiał wszystkie dotychczasowe wypadki. Niespodziewanie przed jego oczyma stanął Eric. Nie uwierzy mi, gdy tylko mu o tym wszystkim opowiem – pomyślał.

Stworzenie zrobiło powolny, nieśmiały krok naprzód, a wówczas ciszę przeszył donośny strzał. Mattias aż się wzdrygnął. Tak prozaiczny dźwięk nie pasował do magii, jakiej właśnie doświadczał. W uszach mu dzwoniło, ziemia niespodziewanie wyszła chłopakowi na spotkanie. Coś było bardzo, bardzo nie tak, istota zniknęła tak nagle, jak nagle się pojawiła, a on poczuł przerażające pulsowanie i gorąco rozlewające się po wnętrznościach. Czuł wilgoć na skórze, ale nie miał pojęcia, skąd się bierze.

Ktoś krzyczał.

– O nie, nie, nie... – Znajoma twarz nachyliła się nad nim i Mattias zmusił się, aby skupić na niej wzrok. W ustach czuł metaliczny smak.

– Przepraszam! – Lorelei patrzyła na niego z przerażeniem w oczach, wydawała się w tej chwili znacznie starsza niż w rzeczywistości. – Ja nie strzelałam do ciebie, chciałam go tylko przepłoszyć!

Ciemność stała się gęstsza, gwiazdy wirowały nad głową już niczym nieprzystłonięte. Mattias miał wrażenie, że jego ciało płonie i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Lorelei może go dotykać – powinna się poparzyć, tak jak trzewia parzyły jego. Gorąco było tak obezwładniające, że chłopak nie potrafił myśleć teraz o niczym innym. Zaczął się trząść, ale z całych sił starał się opanować drgawki, bo wywoływały kolejne spazmy bólu.

Działo się coś bardzo, bardzo złego.

– Tak bardzo cię przepraszam! – łkała kobieta. – Przecież cię ko...
Jedna twórcza myśl.

KSIĘGA SZÓSTA

JESTEŚMY
WŚRÓD PRZYJACIÓŁ

Rozdział 46

Stłoczeni siedzieli we czwórkę na progu domu, patrząc na las moknący w deszczu. Już jakiś czas temu nastał mętny świt, rozjaśniając świat przygnębiającym światłem. Chmury wisiały nisko nad ziemią i przykryły niebo szarym całunem, podczas gdy dom za ich plecami powoli, niemal nieśmiało budził się do życia.

Dirk dociskał do piersi aparat, jakby się bał, że sprzęt zamoknie i wszystko, co w sobie skrywał, zostanie zniszczone. Elenor uśmiechnęła się na ten widok, choć była pewna, że ona zachowywałaby się dokładnie tak samo.

– Dobra, już wiem, co chcę robić w życiu – powiedziała Clementine i cała trójka spojrzała w jej stronę.

– No mów. – Dirk trącił dziewczynę ramieniem, a w jego uśmiechu czaiło się zmęczenie.

Wszyscy byli zmęczeni.

– Zostanę leśniczką – wyznała Clementine, wysoko unosząc brodę.
– Kurde, przecież się na tym znam.

– Na lasach? – Uśmiech chłopaka stał się nieco szerszy.

Dziewczyna prychnęła, brakowało w tym jednak jej zwyczajowej energii.

– Bardziej od ciebie – mruknęła.

Elenor zaśmiała się pod nosem, lecz starała się to ukryć. Clementine wyrzuciła dłoń w górę, a jej głos wydał się niezwykle głośny, choć tak naprawdę wcale nie krzyczała, gdy zawołała:

– Rozbawiłam Elenor!

Zerwał się wiatr, deszcz się nasilił; zacinające krople biły ich po twarzach. Dirk jeszcze mocniej docisnął do siebie aparat, starając

się szczelnie przykryć go dłońmi.

– Ja też muszę się do czegoś przyznać – odezwała się Ginger. – Przeczytałam w końcu list od mamy.

Żadna z sióstr się nie odezwała.

– Pisała, aby wyjaśnić kilka spraw – ciągnęła mimo to Ginger. – Ale jak się okazuje, to nic nie zmienia.

– Przykro mi. – Elenor objęła ją ramieniem i przytuliła, a dziewczyna wtuliła się w nią, jakby szukała nieco ciepła.

– W porządku – odpowiedziała. – Chyba tak naprawdę na nic nie liczyłam.

– I dobrze – fuknęła Clementine. – Osoba, która zniknęła na tak długo, chce tylko zmniejszyć wyrzuty sumienia.

Dirk nieśmiało odchrząknął.

– Może gdybyście dały jej szansę, naprawdę by to wam wynagrodziła. – Mówiąc to, patrzył na swoje buty, w końcu jednak podniósł wzrok. – Przepraszam, nie powinienem się wtrącać.

– Nic nie szkodzi. – Ginger posłała mu delikatny uśmiech.

Znowu spojrzeli na las ukryty za ścianą deszczu i ziemię łapczywie pijącą wodę. Krople z dudnieniem wybijały rytm o dach domu i zardzewiały samochód stojący bez kół na podwórku, podparty na czterech cegłówkach. Do uszu nastolatków dotarł również zaspany głos ciotki Lisy, gwizd czajnika oraz inne dźwięki poranka.

– W ogóle jaki dziś dzień? – zapytał Dirk.

– A któż to wie? – parsknęła Clementine.

Elenor również nie wiedziała. Głowę miała ciężką od zmęczenia i jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to zawinąć się w koc i przespać cały dzień.

– Tu się ukrywacie! – rozległ się męski głos za ich plecami.

Gdy się obrócili, ujrzeli Erica Marsdena opierającego się ramieniem o ścianę. Wyglądał na równie zmęczonego jak oni.

– Elenor, mogę cię na chwilę prosić?

– Jasne, tato – odparła dziewczyna i wstała, podtrzymując się framugi.

Dirk wyciągnął dłoń, aby jej pomóc, ale ona zauważyła ją zbyt późno.

Przeszli w głąb korytarza, a potem do salonu, dzięki czemu mogli pomówić z dala od wszystkich. Mężczyzna raz za razem przeczesywał palcami zmierzwione włosy i Elenor zdała sobie sprawę z tego, że zaczęła powtarzać ten gest. Szybko opuściła rękę i włożyła ją głęboko do kieszeni spodni.

– Coś się stało? – zapytała, a gdy tylko wymówiła te słowa, w jej myślach pojawiła się natychmiastowa odpowiedź: „Tak, tak, tak...”

– Nie. – Tata pokręcił głową, z wysiłkiem wyginając usta w uśmiechu. – Chciałem cię tylko poprosić o przysługę. Myślałem o tym, co mi mówiłaś, i chcę dzisiaj pojechać na spotkanie. Pojedziesz ze mną?

Dziewczyna odetchnęła głęboko, czując, jak z ramion spada jej ogromny ciężar.

– Oczywiście, tato – odpowiedziała prędko, po czym otoczyła ojca ramionami.

Ciało mężczyzny było spięte, jak zawsze gdy go przytulała, ale mimo to odwzajemnił uścisk i pogładził ją po włosach.

W progu pojawiła się ciotka Lisa.

– Elenor, powiedz reszcie, żeby weszli do środka, bo zmarzniecie.

– Wcale nie jest tak zimno – mruknął Eric, puszczając córkę i idąc w stronę kuchni. – Poza tym młodzi są, niech się hartują.

Jego siostra tylko przewróciła oczami.

– Zawołam ich. – Elenor uśmiechnęła się i szybko wykonała swoją obietnicę.

Już niedługo potem, zaraz po wyjeździe Charliego i Erica, rozsiedli się na podłodze w salonie, grając w chińczyka i popijając gorące kakao. Babunia po raz kolejny oglądała serial o życiu ambitnej lekarki na Dzikim Zachodzie, a Lisa czytała książkę, której okładka została zawinięta w szary papier. Deszcz nie przestawał padać, ale dla nikogo w tym pomieszczeniu nie miało to znaczenia.

Było cicho i ciepło, aparat leżał bezpiecznie przy Dirku, a świat odpoczywał po duchocie ostatnich tygodni. Nikt się nie odzywał, ale też nikt nie czuł takiej potrzeby – to, co wydarzyło się minionej nocy, sprawiło, że między nimi powstała nowa więź, jak wtedy, gdy kogoś połączy wspólna tajemnica.

Choć wydarzenia wciąż wisiały nad ich głowami, żadne z nich nie miało ochoty o nich rozmawiać – a przynajmniej Elenor nie chciała, podejrzewała jednak, że z pozostałymi jest podobnie. Widziała to w ich twarzach, sennym wyrazie oczu i sposobie, w jakim opierali brody o swoje dłonie.

Może przyjdzie na to czas nieco później, gdy wywołają zdjęcia i na spokojnie je obejrzą. Przekonają się wówczas, że to wszystko naprawdę się wydarzyło.

Potem przyjechał tata i w drodze do kuchni kiwnął głową na najstarszą córkę, ledwie obdarzając ją spojrzeniem.

– Zjem coś i możemy jechać – zawołał.

– Co? Gdzie jedziecie? – zapytała zdziwiona Clementine.

– Poradzić sobie z problemami taty – odparła Elenor, wstając. Nie musiała mówić nic więcej, jej siostry od razu zrozumiały, a Dirk miał na tyle taktu, że nie dopytywał.

Dziewczyna jak najszybciej przebiegła przez podjazd, by nie zmoknąć, i wsiadła do samochodu, mocno zatrzaskując za sobą

drzwi. Eric ze spokojem do niej dołączył, wpychając do ust ostatni kęs chleba. Nie przejmował się niepogodą. Elenor stwierdziła, że nie ogolił się dziś rano.

– Jadłeś już? – zapytał, wygodnie sadowiając się w fotelu i sięgając dłonią do stacyjki.

Dziewczyna potwierdziła kiwnięciem głowy.

Tata obejrzał się, przerzucając ramię przez oparcie jej fotela, po czym zaczął wycofywać samochód. Deszcz dudnił o dach auta, Elenor ze zmęczeniem osunęła się w fotelu, czując, jak kleją jej się powieki. Ruszyli drogą na zachód, w stronę miasta. Z radia płynęła muzyka, ale tak cicha, że dziewczyna nie potrafiła rozpoznać piosenki. W końcu niewyraźne melodie i jednostajny szum deszczu ukołysały ją do snu. Elenor nawet się nie spostrzegła, kiedy odpłynęła; w jednej chwili patrzyła na mijane drzewa rosnące wzdłuż drogi, a w następnej tata poszturchiwał ją w ramię, boleśnie wbijając palce w skórę.

– To boli – wymamrotała, siadając prosto, i zaspana rozglądała się dookoła. Miała kark zeszywniały od niewygodnej pozycji, a w ustach czuła nieprzyjemny smak snu.

– Przepraszam. – Tata od razu zabrał rękę. – Po prostu dojechaliśmy.

– Widzę.

Zatrzymali się na niewielkim parkingu, na którym stało już kilka samochodów. Przed nimi znajdował się budynek wyglądający jak urząd, otoczony iglakami. Do środka prowadziły zwykłe drewniane drzwi, a obok wisiała tabliczka z napisem „Centrum Przeciwdziałaniom Uzależnień”. Elenor głośno przełknęła ślinę. Choć przestało padać, dzień wciąż był ponury. W niewielkim ogrodzie przylegającym do ośrodka nikt nie przebywał – podobnie jak

wszędzie dookoła: na chodniku, parkingu, a nawet przy domach jednorodzinnych, które widziała daleko na końcu ulicy.

Żadne z nich nie ruszało się z miejsca, zamiast tego wpatrywali się w drzwi do budynku, jakby ktoś miał się z nich pojawić i ich powitać.

– Kiedy zaczyna się spotkanie? – zapytała w końcu Elenor, wsuwając dłonie między uda.

Tata zerknął na deskę rozdzielczą, gdzie widniał zegarek.

– Za niecałe czterdzieści minut.

– Na pewno?

– Tak, dzwoniłem do nich dziś rano. Mam ich numer jeszcze z... poprzedniego razu.

Elenor wolno pokiwała głową. Tata westchnął i w końcu sięgnął do klamki. Gdy otworzył drzwi, do kabiny dostało się chłodne powietrze pachnące deszczem. Dziewczyna zadrzała, choć wcale nie było tak zimno.

Podążyła za ojcem, ostrożnie zeskakując na ziemię i rozchlapując tenisówkami wodę, która szeroką kałużą zebrała się na betonie. Tata już stał pod drzwiami ośrodka, jak zwykle nie myśląc o zamknięciu samochodu – przynajmniej jednak wziął ze sobą kluczyki.

Korytarz utrzymany był w ciepłych, błękitnych barwach, z rzędami krzeseł ustawionymi pod ścianą. Tata od razu skierował się do recepcji, gdzie za biurkiem siedziała kobieta mniej więcej w jego wieku, z blond włosami zebranymi w staranny kok. Stukała coś na klawiaturze komputera, oderwała jednak wzrok od monitora i posłała mężczyźnie przyjemny uśmiech, gdy ten się do niej zbliżył.

Elenor w tym czasie podeszła do wielkiej tablicy, na której wisiało mnóstwo różnokolorowych ulotek. Wzięła jedną z nich, traktującą o HPV i HCV, po czym usiadła, pobieżnie zerkając

na litery. Żałowała, że nie zabrała z domu książki albo chociaż zeszytu ćwiczeń.

– Zaczekasz tu na mnie? – zapytał tata, zbliżając się do niej.

– Nie, myślę, że wezmę samochód i pojedę do domu.

– Zabawne. – Tata kiwnął głową, po czym wskazał na drzwi prowadzące do jednego z pomieszczeń. – Będę w tamtym pokoju. Spotkamy się, jak będzie już po wszystkim.

– W porządku.

Dziewczyna została sam na sam z recepcjonistką. Czasem w korytarzu pojawiała się jeszcze jakaś osoba, ale szybko znikwała w pokoju, do którego nie tak dawno wszedł tata. Choć otaczające ją błękit, ulotki i zapach środków do czystości wprawiały Elenor w zakłopotanie, paradoksalnie z każdą chwilą czuła coraz większą ulgę, bo Eric Marsden w końcu postanowił poprosić o pomoc.

Dziewczyna ani na chwilę nie wątpiła w swojego ojca i wierzyła, że ponownie uda mu się wyjść na prostą, w końcu już raz tego dokonał. Gdy tylko przekroczył próg tamtego pomieszczenia, wybaczyła mu również niedawne chwile słabości. Oczywiście pewnego dnia to wszystko może zacząć się od nowa i tata po raz kolejny sięgnie po butelkę, Elenor jednak nie wybiegała myślami aż tak daleko. Właściwie nie potrafiła przejmować się przyszłością – nie, kiedy wydarzenia z poprzedniej nocy wciąż były tak świeże w jej pamięci.

Dziewczyna raz za razem bezwiednie dotykała ust lub przejeżdżała po nich językiem, jakby próbowała odtworzyć tamten dotyk. Poczzerwieniała, kiedy tylko to sobie uzmysłowiła.

– To naprawdę miło z twojej strony – rozległ się głos kobiety siedzącej w recepcji, wyrywając dziewczynę z zamyślenia.

Elenor spojrzała w jej stronę i napotkała jasne, przyjazne spojrzenie.

– Słucham?

– Chodzi mi o to, że wspierasz swojego tatę – rzekła recepcjonistka i uśmiechnęła się nieco szerzej. – To naprawdę miłe.

Dziewczyna przytaknęła, znowu rozglądając się dookoła. Choć usiłowała skupić się na chwili obecnej, myślami wciąż wracała do minionej nocy. Czy nieznajoma uwierzyłaby w cokolwiek z tego, gdyby jej opowiedziała? Nawet Elenor miała niekiedy z tym problemy, choć wszystko to przeżyła.

– Wierzy pani w siły nadprzyrodzone? – zapytała niepewnie, zagryzając wewnątrz policzka.

– Na przykład... w Boga?

Elenor się zawahała.

– Chociażby. Ale miałam bardziej na myśli na przykład... istoty, które nie do końca należą do naszego świata.

– Cóż... – Kobieta zamrugnęła. – W Boga chyba wierzę, a w to, o czym mówisz... Sama nie wiem. Za to moja babcia tak. Jak byłam mała, opowiadała mi wiele historii, na przykład o białej żmii. Wiesz, co to jest?

Elenor wzruszyła ramionami.

– Wąż?

– Według mojej babci to był duch pierwszego gospodarza. Jeśli taki wąż mieszkał pod chatą, należało o niego bardzo dbać, bo przynosił szczęście.

– Czy u pani babci mieszkała biała żmija?

Kobieta potwierdziła z uśmiechem.

– Przez wiele lat. Czasem myślę, że babcia naprawdę miała rację, bo odeszła niecały miesiąc po tym, jak moja mama znalazła gada martwego w ogródku. Więc kto wie?

Elenor zacisnęła i rozluźniła pięści.

– Tak... Kto wie.

Rozdział 47

Ginger przysypiała na kanapie, kiedy do jej uszu dotarł ryk silnika. Z początku myślała, że wrócił tata z Elenor, ale myliła się, co uświadomiła sobie, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Szybko zerwała się z kanapy, przeczuwając już, kto taki do nich zawitał. Nogi zaplątały jej się w koc, a myśli przysłoniły obrazy lasu i ukrywających się w nim cieni, przez co straciła równowagę i nieelegancko sturlała się na podłogę. Szybko poprawiła spódnicę. Na szczęście nikt poza babunią nie widział jej upadku – a staruszka wpatrywała się w nią tępo, nie reagując w żaden sposób.

– Coś mi mówiło, że tu jesteś. – Ginger usłyszała głos szeryfa i szybko przeszła do kuchni, gdzie zaprowadzono mężczyznę.

Dirk właśnie otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, ale ojciec zbył go machnięciem ręki.

– Muszę porozmawiać z domownikami. Zaczekaj, proszę, w samochodzie.

Chłopak kiwnął tylko głową i ruszył do wyjścia. Mijając Ginger, zerknął w jej stronę i posłał nieśmiały uśmiech, który dziewczyna prędko odwzajemniła, choć wewnętrzności miała ściśnięte w supeł. Nie potrafiła jednak powiedzieć, czy to z powodu obecności szeryfa, czy może wciąż czuła skutki ostatnich przeżyć.

– Nie zapomnij aparatu – szepnęła.

– Mam go. – Dirk uniósł dłoń, w którym trzymał urządzenie, po czym zniknął za drzwiami.

Teraz całą uwagę można było skupić na osobie Rogera Brewera.

Mężczyzna zdjął kapelusz i usiadł przy kuchennym stole. Zaproponowano mu coś do picia, ale pokręcił głową – jak widać,

chciał mieć tę sprawę za sobą. Ginger mu się nie dziwiła, bo sama podzielała to pragnienie.

Lisa oraz Charlie usiedli przed szeryfem, a Clementine po przeciwnej stronie kuchni opierała się biodrem o jedną z szafek. Ginger zajęła miejsce obok ciotki, starając się nie szurać krzesłem.

– Przyjechałem tu, aby poinformować was o zakończeniu śledztwa – rzekł szeryf, przyglądając siwą czuprynę.

– To była Lorelei Garcia, prawda? – wtrąciła Clementine, zaciskając usta w wąską linię.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Tak.

– Ale skąd ta pewność? – zapytał Charlie, biorąc Lisę za rękę.

Szeryf odchylił się w krześle i nagle wydał się Ginger naprawdę zmęczony.

– Wskazuje na to wiele przesłanek. Po pierwsze, Lorelei Garcia słynęła z poganiania ludzi strzelbą, czasem zdarzało jej się nawet do nich strzelać. A Mattiasa znaleziono niedaleko ziem, które do niej należały. Po drugie, przejrzałem dokumentację i odkryłem, że pod koniec lat siedemdziesiątych taki typ broni miały jeszcze tylko dwie osoby, a jak się potem dowiedziałem, jedna z tych strzelb nie była zdatna do użytku.

– A jeśli to był ktoś z zewnątrz? – dopytywał Charlie. – Albo ktoś, kto nie miał zarejestrowanej strzelby? A co z tą drugą osobą?

– Nie ma na to żadnych dowodów – odpowiedział z powagą szeryf. – Ani na to, że udział mógłby brać w tym ktoś inny, minęło zbyt wiele czasu. Poza tym Conetoe to mała miejscina. Gdyby ktokolwiek miał broń, doskonale byśmy o tym wiedzieli. – Odetchnął głęboko i kontynuował: – Naprawdę jestem przekonany, że zrobiła to Lorelei Garcia. Ona już strzelała do ludzi, i to była

tylko kwestia czasu, aż zdarzy się wypadek. Naprawdę mi przykro. Mattias miał po prostu pecha.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, aż w końcu zrobiła to ciotka Lisa, za co Ginger była jej dozgonnie wdzięczna.

– Dziękujemy, że się tym zająłeś – powiedziała, wzdychając głęboko. Głos załamał jej się na ostatnim słowie, ale szybko nad nim zapanowała. – Bardzo się cieszymy, że wszystko w końcu się wyjaśniło.

– Ja też – przyznał Roger Brewer. – Żałuję tylko, że tak późno. Po tylu latach nie możemy nikogo pociągnąć do odpowiedzialności.

– To nie twoja wina – odparł szybko Charlie.

– Wiem, ale mimo wszystko... Naprawdę mi przykro.

* * *

Tata zamruczał coś po nosem, widząc samochód szeryfa stojący na ich podjeździe, i sprawnie zaparkował obok. Elenor widziała, jak pobiełały mu knykcie, musiał więc z całych sił ścisnąć kierownicę. Chciała go w jakiś sposób pocieszyć, dodać otuchy, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Eric wyskoczył z auta i pobiegł w stronę domu – nie wyjął nawet kluczyków ze stacyjki, jego córka musiała to zrobić za niego.

Właśnie miała ruszyć w ślady ojca, kiedy dostrzegła Dirka siedzącego w radiowozie. Wysiadła, po czym ostrożnie stąpając po podmokłej ziemi, obeszła samochód, aby stanąć po stronie pasażera.

– Cześć – powiedział Dirk, gdy opuścił szybę. Miał sine kręgi pod oczami, ale wcale nie wyglądał na zmęczonego.

Elenor miała nieodparte wrażenie, że jego czarne tęczówki stały się o kilka tonów ciemniejsze. Pochyliła się nieznacznie, opierając

dłonią o pojazd; metal był w dotyku zimny i mokry, deszcz musiał ustać w Conetoe nie tak dawno temu.

– Znowu cię wykopali, co? – zapytała, siląc się na dowcip, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to potwornie sucho.

– Tak, ale to dla dobra ogółu. – Chłopak westchnął przeciągle, po czym wreszcie na nią spojrzał.

Jego zawstydzenie było doskonale widoczne i dziewczynie zrobiło się nagle naprawdę głupio, bo to ona postawiła go w tej sytuacji. Stuknęła pięścią o dach samochodu.

– No to idę – mruknęła, odwracając się, żeby ukryć zarumienione policzki.

– Nie, poczekaj! – zawołał Dirk. Wysiadł pośpiesznie z auta i stanął naprzeciwko niej, ciężko oddychając. – Musimy porozmawiać. Cała nasza czwórka musi porozmawiać o tym wszystkim, co się wydarzyło, ale ty i ja...

– To zbyt ciężkie, naprawdę. – Dziewczyna potrząsnęła głową, nagle zdając sobie sprawę z tego, jak blisko się znajdował. – Mówię całkiem poważnie, nie musimy...

– Elenor – przerwał jej Dirk, wciskając dłonie głęboko w kieszenie. – Nie potrafię tak po prostu zapomnieć o naszym pocałunku.

Dziewczyna jęknęła i przycisnęła dłonie do rozgrzanych policzków.

– To bardzo proste – powiedziała. – Ja już prawie zapomniałam.

– Wiesz, że to nieprawda.

Znowu zaczęło padać, ale nie tak intensywnie. Dirk wciąż się w nią wpatrywał, a ona panicznie myślała nad kolejnymi słowami. Co takiego chciał usłyszeć? Nie mogła skłamać, twierdząc, że zrobiła to całkiem wbrew sobie.

– Słuchaj... – zaczęła, czując gorąco bijące ją po policzkach.

Drzwi domu nagle się otworzyły, tym samym ratując Elenor z opresji. Pojawił się w nich Roger Brewer żegnany przez Charliego, którego zwyczajowy uśmiech został zastąpiony przez dziwny, napięty wyraz twarzy. Szeryf założył kapelusz i uściśnął mężczyźnie dłoń, po czym sztywno zbliżył się do syna i Elenor.

– Jedziesz ze mną? – zapytał Dirka.

Ten kiwnął głową, zerkając na dziewczynę.

– Dokończymy tę rozmowę, dobrze? Następnym razem.

Dziewczyna nie odpowiedziała. W milczeniu patrzyła, jak chłopak z powrotem wsiada do samochodu, a potem wraz ze swoim ojcem odjeżdża w stronę miasteczka.

– Idziesz? – Do Elenor dobiegł głos Charliego i dziewczyna dopiero teraz się zorientowała, że wuj czeka na nią w progu.

Pokiwała głową, ruszając w stronę domu. Mżawka nie ustępowała, więc ślizgała się tenisówkami po mokrej trawie.

– Strasznie dziś niemrawi jesteście – rzekł Charlie, przepuszczając ją w drzwiach.

– Tak, chyba tak – mruknęła Elenor. – Co mówił szeryf Brewer?

– A jak myślisz? – odparł mąż ciotki, idąc za dziewczyną do kuchni, gdzie zebrała się reszta rodziny. – Sprawa została zamknięta.

Elenor obejrzała się przez ramię.

– Lorelei Garcia?

Mężczyzna tylko kiwnął głową.

Przeszła do kuchni, gdzie Lisa właśnie szykowała herbatę. Ginger jej pomagała, wyciągając kubki z szafki, podczas gdy tata i Clementine siedzieli przy stole w milczeniu. On podpierał twarz na dłoniach, niemal całkiem ją za nimi chowając, a ona obracała w palcach łyżeczkę. Było w tym obrazku coś tylko pozornie

spokojnego – Elenor niemal fizycznie wyczuwała przygnębienie wiszące w powietrzu.

A przecież powinni być zadowoleni – wszyscy. Tajemnice ujrzały światło dzienne. Elenor pragnęła porozmawiać o nocy, wujku Mattiasie i kuli, która go zabiła.

Zamiast tego zbliżyła się do ojca i zapytała:

– Dałeś cioci ulotkę?

Mężczyzna drgnął nieco, przytomniejąc.

– Zapomniałem, dzięki. – Sięgnął dłonią do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął zmiętą broszurę, na której widniała uśmiechnięta para staruszków. – Liso, spójrz na to.

Ciotka obdarzyła jego i papier podejrzliwym wzrokiem.

– Co to?

– To z domu opieki – odparł tata, marszcząc ze zniecierpliwieniem brwi, ale wciąż nie opuszczał dłoni. – Idealny dla tej kobiety, co siedzi w sąsiednim pokoju.

Zanim jego siostra zdążyła cokolwiek powiedzieć, Charlie wziął ulotkę do ręki i uważnie jej się przyjrzał.

– Och, i mają opiekę medyczną! – zawołał.

– W dodatku jest niedrogo – dodała Elenor. – Emerytura babuni w zupełności wystarczy.

Czajnik zaczął gwizdać, ciotka Lisa zajęła się więc herbatą, gwałtownie machając rękami i rozlewając wokoło gorącą wodę. Charlie zbliżył się do niej, delikatnie ją obejmując, dzięki czemu kobieta nieco się uspokoiła.

– Liso, najwyższy czas, żeby to zrobić. Tak będzie lepiej nie tylko dla niej, ale także dla ciebie.

– Potrafię się nią zająć – mruknęła kobieta, odwracając się do męża, i utkwiała w nim twarde spojrzenie.

Charlie pokręcił głową.

– Jeszcze nie tak dawno temu musieliśmy szukać jej po nocy. A co, jeśli następnym razem powędruje do lasu i utopi się w bagnisku?

Tata otwierał właśnie usta, żeby coś powiedzieć, ale Elenor uciszyła go spojrzeniem.

– Nie jesteś złą opiekunką – dodał prędko Charlie, widząc, jak jego żona gwałtownie czerwienieje. – Po prostu lepiej będzie, jeśli mamą zajmą się zawodowcy. A i ty wreszcie będziesz mogła odetchnąć.

Lisa gwałtownie pokręciła głową.

– Zawsze się kimś zajmowałam.

– Ale teraz już nie musisz. Będziesz mogła skupić się na sobie. Bo na tym nam wszystkim zależy, prawda?

Charlie rozejrzał się po kuchni, a siostry energicznie pokiwały głowami. Tylko Eric wpatrywał się w herbatę, którą podsunęła mu Ginger.

– Daj mi już spokój – warknęła ciotka, wychodząc.

Mężczyzna westchnął i przeczesał palcami włosy.

– Jeszcze z nią o tym porozmawiam – powiedział do zebranych. – A ty, Eric? Podobno byłeś na spotkaniu AA.

– Ano – mruknął mężczyzna w odpowiedzi. – Będę tam jeździł dwa razy w tygodniu.

Charlie pokiwał głową.

– To dobrze. Naprawdę się cieszę. A wy, dziewczyny? Jak się trzymacie?

Siostry spojrzały po sobie.

– Ja mam wrażenie, że to wszystko to tylko sen – odparła w końcu Ginger, ciasniej obejmując dłońmi kubek.

– Tak, ja też – mruknęła Elenor.

Clementine w milczeniu pokiwała głową.

Twarz Charliego wydawała się dziwnie blada, a jego skołtunione włosy koloru miodu w nieładzie opadały mu na czoło.

– Na szczęście ten dzień już się kończy. Chociaż tyle.
Chociaż tyle.

Rozdział 48

Choć w powietrzu wciąż można było wyczuć wilgoć, deszcze w końcu ustały. Słońce ponownie wyjrzało zza chmur, ale uciążliwe upały na razie nie wróciły. Oddychanie nie sprawiało trudności, a asfalt nie parzył w stopy. Życie toczyło się dalej.

Dirk już z daleka dostrzegł uniesioną dłoń Clementine. Jej siostry siedziały obok: Ginger obserwowała nadejście chłopaka, a Elenor patrzyła w zupełnie przeciwnym kierunku. Dookoła rozciągały się łąki, a daleko na horyzoncie odcinała się ciemnozielona linia lasu. Jaskółki co rusz przecinały niebo z głośnym piskiem, ale poza tym panował spokój.

Chłopak zatrzymał się niedaleko dziewcząt. Jednocześnie chciał i nie chciał, aby Elenor na niego spojrzała. Uśmiechnął się nieśmiało do Clementine, wciąż powtarzając w duchu: „Dlaczego to nie jesteś ty?”

– I jak zdjęcia? – zapytała Ginger, gdy Dirk usiadł w trawie, przyciągając do siebie nogi.

– Zawiozłem do fotografa, za kilka dni będą gotowe.

Zapadło pełne napięcia milczenie. W chłopaka uderzyła myśl, że są zaledwie dziećmi, które stanęły naprzeciw nieznanego.

– I co dalej? – odezwała się Elenor, ubierając w słowa jego rozterki.

– Czekamy, aż zdjęcia zostaną wywołane – odparła Clementine, jakby to wszystko załatwiało. – Będziemy mieli namacalny dowód.

– I co on nam da? – upierała się starsza siostra, zaciskając dłonie w pięści. – Przecież nie mamy zamiaru nikomu go pokazywać!

A nawet gdybyśmy to zrobili, i tak nikt nam nie uwierzy. Wszyscy powiedzą, że go sfabrykowaliśmy.

– Elenor ma rację – wtrącił Dirk i dziewczyna spojrzała na niego przelotnie. – Nie możemy się skupiać na fotografiach. Lepiej pomyślmy, co robimy z tym stworzeniem.

Ginger podniosła wzrok znad wianka, który właśnie plotła.

– A musimy cokolwiek robić? Przecież nikomu nie zawadza.

Clementine parsknęła donośnie.

– Nie zastanawia cię, dlaczego akurat teraz się pokazało?

– Przecież to oczywiste – odparła spokojnie najmłodsza siostra, nie przejmując się utkwionymi w niej trzema parami oczu. – Wuj Mattias w jakiś sposób był z nim związany, wskazują na to jego rysunki. Skoro niedawno odnaleziono jego ciało... odnaleziono i stworzenie.

Nikt się nie odezwał. Słońce schowało się za kolejną chmurą, rzucając niewielki cień na łąkę, nad którą jaskółki wciąż ścigały się z piskiem. W powietrzu unosiła się przyjemna woń lata. Cały dzień wydawał się leniwy i spokojny, jak gdyby czwórka nastolatków była jedynymi ludźmi na ziemi, a przynajmniej Dirk tak właśnie się czuł.

– Mamy zamiar jeszcze go szukać? – zapytała Clementine cichym i niepodobnym do niej głosem.

– Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znowu nam się pokaże – mruknęła Elenor.

Dirk spojrzał na nią ze zdumieniem, lecz po chwili gdzieś w głębi duszy doszedł jednak do wniosku, że dziewczyna może mieć rację. Wiedza ta napełniła go mieszaniną smutku i przerażenia – przez lata spragniony niezwykłości w końcu ją otrzymał. Nie chciał tego tracić. Zwrócił tęsknie twarz w kierunku linii drzew majaczących na horyzoncie, po czym wciął głęboki, drżący oddech.

– Mimo wszystko... – zaczął, ostrożnie dobierając słowa. – Mimo wszystko cieszę się, że miałem okazję brać w tym udział. To było takie...

Ponownie skierował wzrok na siostry, a dziewczęta odwzajemniły spojrzenie. Ginger miała szczerą, pogodną twarz, Clementine uśmiechała się tym razem bez śladu ironii, a w Elenor czaiła się powaga niepasująca do nastoletniego człowieka.

Oni wszyscy byli zbyt młodzi.

Czy aby na pewno? W końcu tylko oni dostrzegli obecność stworzenia w lesie. Może ich młody wiek miał znaczenie, bo patrzyli na świat inaczej, świeżo? Podobnie jak Mattias Marsden, który w chwili śmierci liczył niewiele więcej lat niż oni.

Dirk poczuł dreszcze przebiegające mu po plecach. Dlaczego właśnie oni mogli doświadczyć tego wszystkiego?

– Dziękuję wam za to – powiedział w końcu, kiedy cisza zaczęła się przeciągać.

– My chyba nie mamy z tym nic wspólnego – mruknęła Elenor.

– Nie zgodzę się. To, co się stało, miało ścisły związek z wami i waszą rodziną. Ja byłem tylko biernym obserwatorem.

Clementine z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Będziemy musieli porozmawiać o twoim niedocenianiu siebie samego.

Dirk się nie odezwał. Zerknął na Elenor, ale ona odwrócona była do niego profilem – jedną ręką usiłowała przytrzymać włosy, które wiatr zarzucał jej na twarz. Chłopak nie miał już pojęcia, czego pragnie bardziej: czy tego, żeby nadal uciekała wzrokiem, czy tego, żeby wreszcie na niego spojrzała.

Clementine westchnęła i położyła się na wznak na trawie. Ginger skończyła swój wianek i ostrożnie nałożyła go na głowę.

– Jak tam w domu? – zapytał Dirk, gdy cisza znów się przedłużała.

– Żyjemy dalej – odparła Clementine wpatrzona w niebo. – Skoro nie można ukarać sprawcy, to właściwie nic się nie zmieniło.

– Nie zgodzę się – rzekła Elenor. – Zmieniło się bardzo dużo.

– Ale w zasadzie nic, jeśli chodzi o wujka Mattiasa – doprecyzowała Ginger. – No, może prócz tego, że teraz wiemy, gdzie leży.

Dirk pokiwał głową.

– A tak poza tym radzicie sobie?

– Musimy. – Clementine przymknęła powieki, gdy słońce wyjrzało zza chmury i poświeciło jej w oczy. – Charlie stara się nakłonić ciotkę Lisę, żeby w końcu oddała babunię do domu opieki.

– No tak – mruknął chłopak. – Tak byłoby chyba lepiej, prawda?

Siostry przytaknęły i ponownie zapanowało między nimi milczenie.

Serce Dirka nieoczekiwanie zalała fala cłości – w końcu to właśnie na tych ziemiach wydarzyło się coś nieprawdopodobnego, a on był tego świadkiem. Zaczął się zastanawiać, czy po tym wszystkim znajdzie w sobie wystarczająco dużo siły, aby kiedykolwiek wyjechać z Conetoe. Może podobnie jak ojciec i matka po prostu tu zostanie?

Uśmiechnął się do siebie i wstał, otrzepując z trawy.

– Mam ochotę na coś słodkiego. Kto idzie ze mną?

* * *

Nadeszła złota godzina i siostry wreszcie wróciły do domu, obwieszczając powrót śmiechem. Żwawo przekroczyły próg domu, nieopacznie popychając drzwi zbyt mocno, przez co klamka łupnęła

o ścianę w miejscu, gdzie przez lata wyłobowała się dziura. Zatrzymały się, czekając na karcące słowa ciotki – te jednak nie nadeszły.

Cicho rozejrzały się po domu, szukając jakiegokolwiek żywej duszy, parter był jednak całkowicie pusty. Brakowało nawet babuni siedzącej przed telewizorem. Ginger ruszyła na tyły i wyjrzała na podwórko.

– Tutaj! – Machnęła ręką, przyzywając siostry.

Gdy tylko wyjrzały przez próg, ujrzały swoją rodzinę grzejącą się w ostatnich promieniach słońca. Wcześniej było zbyt gorąco, aby wystawić staruszkę na zewnątrz, teraz jednak mogła cieszyć się promieniami. Siedziała na rozkładanym krześle, a obok ciotka Lisa czytała jej książkę. Po okładce dziewczęta poznały, że to *Ptaki ciernistych krzewów*. Nieco dalej od kobiet Charlie wraz ze szwagrem usiłowali naprawić płot – albo przynajmniej rozebrać pozostałości po nim. Wszędzie dookoła nich leżały narzędzia i stare drewniane sztachety.

Ciotka uniosła wzrok na bratanice, zamykając książkę.

– Jesteście głodne? – zapytała.

Siostry pokręciły głowami i usiadły obok kobiety. Charlie uniosł dłoń w geście powitania, zaraz jednak wrócił do pracy.

– W końcu postanowiłam, że oddanie waszej babci do domu opieki to jednak dobry pomysł – powiedziała ciotka Lisa z westchnieniem. – Przynajmniej mam taką nadzieję.

– To bardzo dobra decyzja – odparła Elenor, kładąc kobiecie głowę na ramię.

– Będiesz mogła teraz zająć się czymś fajnym – poparła Clementine.

– Niby czym? – mruknęła ciotka, zasepiając się jeszcze bardziej. – Odkąd skończyłam szkołę, najpierw zajmowałam się wami, a potem mamą. Co niby teraz mam robić?

Siostry zastanowiły się przez chwilę, przyglądając się tacie wyrywającemu z ziemi kolejny spróchniały szczebel starego płotu.

– Możesz na przykład zrobić kurs i zostać nauczycielką WF-u – podsunęła Clementine.

Ciotka wolno pokręciła głową.

– Sport już od bardzo dawna nie jest czymś, co... nie jest już mój.

– Są szkoły dla dorosłych – rzekła Ginger, uśmiechając się. – Mogłabyś kiedyś pojechać z tatą do miasta i sprawdzić, jakie mają kierunki.

– Tak – zgodziła się Elenor. – Możesz zapisać się na któryś z nich, a jeśli ci nie podpasuje, po prostu się wypiszesz.

Ciotka Lisa spojrzała na nie i wygięła usta w uśmiechu.

– Może tak zrobię. – Objęła ramieniem Elenor siedzącą najbliżej niej.

Zamilkły, odwracając się w stronę pracujących mężczyzn. Po pewnym czasie podszedł do nich Eric i sięgnął po butelkę z wodą, wycierając czoło z potu.

– Mam nadzieję, że nie zrobicie nic złego moim różom – zagaiła go Ginger.

– Nie – odparł tata, gdy tylko się napił. – Ale zrobimy im za to większą kratę, żeby mogły piąć się w górę.

Ginger uśmiechnęła się.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy – odparł mężczyzna i wrócił do pracy.

Rozdział 49

Minęły dni, jeden podobny do drugiego, tydzień nieubłaganie się kończył. Ciepłota powróciła, choć nie tak uciążliwa jak wcześniej. Siostry czekały na Dirka przed swoim domem, tylko pozornie spokojne. Obserwowały, jak Charlie wraz z ciotką Lisą pomagają wsiąść babuni do samochodu, zapakowawszy wcześniej jej bagaże. Poprzedniego wieczora wytłumaczyli staruszce, dokąd jadą, zdążyła już jednak zapomnieć. Tego ranka musiała zażyć leki uspokajające, w innym przypadku nawet nie zbliżyłaby się do auta.

Właśnie wyjeżdżali, kiedy nadszedł Dirk, niosąc w dłoniach niepozorną kopertę. Wskazał ruchem głowy na samochód.

– Zawożą waszą babcię?

– Tak – odparła Clementine.

Pojazd odjechał i dookoła zapanowała cisza, nie licząc pisków jaskółek i wróbli ukrywających się w chaszczach. Dirk przykucnął przed siostrami i uniósł kopertę, a jego czarne oczy szklily się z podeksycytowania.

– Mam je.

Ożywione dziewczęta zrobiły mu miejsce koło siebie i chłopak czym prędzej otworzył pakunek drżącymi ze zdenerwowania dłońmi.

– Jeszcze ich nie oglądałem – powiedział, wyciągając zdjęcia. – Chciałem to zrobić z wami.

Pierwsze fotografie przedstawiały przyjęcie z okazji urodzin sióstr bliźniaczek chłopaka, szybko je przerzucił. Marsdenówny mocniej się nachyliły, a cały świat wstrzymał oddech. W końcu Dirk odnalazł te, na których zależało całej czwórce.

Na zdjęciach widniał las rozświetlony fleszem; milczące sylwetki drzew, a za nimi jedynie ciemna pustka.

I nic poza tym.

– Co?! – zawołał Dirk i zaczął pospiesznie przeglądać resztę fotografii, na wszystkich jednak było to samo: kilka ujęć lasu oświetlonego lampą błyskową.

Elenor wzięła kilka z nich do ręki i również im się przyjrzała. Stworzenie, które widzieli tamtej nocy, w jakiś sposób zdołało ukryć się przed aparatem.

– Jesteś pewien, że było w kadrze, kiedy robiłeś zdjęcie? – zapytała, mimo że doskonale znała odpowiedź.

– Oczywiście, że tak!

Zamilkli, wpatrując się w bezużyteczne kawałki papieru. Podekscytowanie, jakie jeszcze przed chwilą płynęło w ich żyłach, zamieniło się w przygnębienie i zawód.

– One i tak nic by nam nie dały – powiedziała Elenor, próbując pocieszyć resztę.

– Mielibyśmy pewność, że to wszystko wydarzyło się naprawdę – mruknął Dirk. – Bo widziałyście je, prawda? Stworzenie przypominające jelenia?

– Tak – odpowiedziała Clementine.

– Może doznaliśmy zbiorowej halucynacji? – podsunęła z westchnieniem Elenor, znowu przyglądając się fotografiom.

Ginger pokręciła głową.

– Nie – rzekła z pewnością w głosie. – Ono istnieje. Tylko nie należy do naszego świata, dlatego nie mogliśmy zrobić mu zdjęcia. Jak duchom.

Wszyscy w milczeniu przyjęli jej wyjaśnienie – nie mieli innego wyjścia.

Przez chwilę przypatrywali się wróblom szukającym w trawie pożywienia, a ptaki raz za razem spoglądały w stronę czwórki nastolatków, aby się upewnić, że ci nie zrobią im krzywdy. Zza chmury wyjrzało słońce, zrobiło się cieplej.

Drzwi frontowe za nimi się otworzyły i w progu stanął Eric Marsden.

– Dalej tu siedzicie? – zapytał. – Cześć, Dirk.

– Dzień dobry, panie Marsden.

Mężczyzna pokiwał wolno głową i podrapał się po zaroście.

– Jak rozumiem, już pojechali?

Dziewczęta potrzebowały chwili, aby zrozumieć, o czym mówi ich ojciec.

– Tak – odpowiedziała Elenor.

– Ale będzie teraz dziwnie – dodała Clementine. – Prawda?

– Spokojniej – mruknął tata. – W dodatku mamy wolny pokój. Jakies pomysły, co z nim zrobić?

Siostry pokręciły głowami.

– Ja też nie mam żadnego. A co powiecie na to, byśmy upiekli sobie ziemniaki w ognisku? Jeśli chcecie, to chodźcie na drugą stronę. – Nie czekając na odpowiedź, mężczyzna wrócił do środka.

Clementine i Ginger wstały i też zniknęły w domu. Elenor również chciała za nimi podążyć, ale Dirk delikatnie chwycił ją za przedramię.

– Elenor...

Dziewczyna westchnęła.

– Nie mów mi, że nadal chcesz rozmawiać o tamtym.

– Chcę. Muszę.

Z gardła Elenor znowu uwolniło się westchnienie.

– W porządku.

Chłopak wpatrywał się w nią zmieszany, wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć. Dziewczyna widziała, jak jego jabłko Adama porusza się w górę i w dół. Milczenie się przedłużało, z głębi domu dobiegały ich nawołania, aby wreszcie się pośpieszyli.

– Posłuchaj – zaczęła Elenor, usiłując znaleźć jak najodpowiedniejsze słowa. – Wiem już, że darzysz mnie tylko przyjacielskimi uczuciami. Tamten pocałunek był błędem.

Dirk pokręcił głową.

– Nie chcę, żeby był.

– W porządku. Więc nie był. Ale nie poczuwaj się do czegokolwiek tylko dlatego, że się całowaliśmy. Przecież mnie nie zapłodniłeś.

Policzki chłopaka oblały się purpurą.

– Przepraszam.

– Nie masz za co. To ja pocałowałam ciebie, a nie na odwrót.

Rozległo się kolejne westchnienie, ale tym razem wydał je Dirk.

– Jesteś za dobra.

– Ty też – odpowiedziała Elenor, wyciągając dłoń. – Przyjaciele?

Dirk bez wahania ją uściśnął. Miał ciepłą, przyjemną skórę – na inne myśli Elenor sobie nie pozwoliła.

– Jak najlepsi. – Chłopak uśmiechnął się szeroko, choć nie wyglądał tak, jakby całkowicie mu ulżyło.

Puścili swoje dłonie, ale Elenor nie chciała jeszcze odchodzić.

– Przykro mi, że zdjęcia nie wyszły – mruknęła.

– To już nieważne. – Dirk potrząsnął głową, a jego złote włosy opadły mu na czoło. – Najważniejsze, że byliśmy tego świadkiem. W końcu mogło nas ominąć, prawda?

– Nie sądzę. Chyba chciało być odnalezione.

Chłopak zastanowił się przez chwilę.

– Może.

Rozległo się ponowne wołanie.

– Chyba powinniśmy tam iść – powiedział Dirk. – Chciałbym spróbować tych ziemniaków.

– A zatem chodź, Dirku Brewerze. Pomożemy im zbierać drewno. Chłopak uśmiechnął się szeroko, a jego czarne oczy zamigotały.

Rozdział 50

Choć Marsdenowie nigdy nie byli zbyt religijni, tej niedzieli wybrali się do kościoła – Charlie, Lisa oraz ich bratanice. Na kazaniu ksiądz przytoczył przypowieść o siewcy – jedna z sióstr go słuchała, dwie pozostałe nie. Dziewczęta miały na sobie białe, odświętne stroje, włosy zaplotły w warkocze.

Po nabożeństwie wspólnie wybrali się na cmentarz, aby obejrzeć nowy nagrobek. Mattiasa pogrzebano w miejscu spoczynku ojca, człowieka o słabym zdrowiu i słabym charakterze. John Marsden zmarł na płuca niedługo po narodzinach córki. Na czarnym graficie wyżłobiono napis:

*JOHN MARSDEN
1923–1969*

*MATTIAS MARSDEN
1960–1977*

Przez chwilę po prostu stali, bezgłośnie się modląc. Potem uprzątnęli grób, położyli wiązanek kocanek ogrodowych oraz rysunek wuja przedstawiający stworzenie o jeleniej czaszce zamiast głowy i porożu porośniętym bluszczem. Został zalaminowany, a następnie oprawiony, aby nie zniszczył się na deszczu.

Ciotka Lisa przykucnęła przy nagrobku i pogładziła palcami wyryte w kamieniu litery układające się w imię jej brata, zupełnie jakby się żegnała. Rzecz jasna na pogrzebie trumna pozostała zamknięta.

– Szkoda, że nikogo nie możemy ukarać – powiedziała. – Stara jędza.

– Nawet gdyby od razu odnaleziono Mattiasa, nic by to nie dało – odpowiedział smutno Charlie. – Garcia zmarła niedługo po nim. Nawet gdyby ją złapano...

– Wiem. Ja mówię tak... ogólnie. Bo w obecnej sytuacji mogliśmy go tylko pogrzebać.

– To i tak dużo – rzekła Elenor. – Teraz wiemy przynajmniej, gdzie zanosić kwiaty.

Charlie objął ją ramieniem i dziewczyna z wdzięcznością się w niego wtuliła. Dzień był ciepły, ale wiatr równoważył upał.

– Tak, masz rację – przyznał mężczyzna, uśmiechając się lekko i spoglądając na bratanice. – A jak wy się czujecie?

Clementine wzruszyła ramionami.

– Nie znałyśmy go – stwierdziła, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jestem pewien, że bardzo by was polubił – oznajmił Charlie.

Siostry nie odpowiedziały. Patrzyły na nagrobki znajdujące się wokół. Część wyrytych na nich nazwisk kojarzyły, większość była im jednak obca. Ciotka Lisa wstała z klęczek, otrzepując dłonie, ale wciąż nie podnosiła wzroku.

– Ja ledwie go pamiętam. Czasami patrzę na Erica i wyobrażam sobie, że to Mattias, w końcu wyglądałby tak samo. Ale chyba nie chciałabym...

– Żeby był taki jak on? – zapytała Elenor, wyswobadzając się spod ramienia wujka. – Tata dobrze sobie radzi. Chodzi na spotkania. Wielu alkoholików nawet nie chce się leczyć.

Lisa pokręciła głową, gwałtownie się rumieniąc.

– Nie to miałam na myśli. Chodziło mi bardziej o to, że nigdy nie życzyłabym mu, żeby się zamienili. Wasz tata żałował kiedyś... ale ja wcale tego nie chciałam. Nawet gdy się nie dogadywaliśmy.

Elenor wątpiła, aby ciotka naprawdę miała to na myśli, nie odezwała się jednak. Nie chciała się kłócić. Zamiast tego wsłuchiwała się w grę świerszczy ukrytych na łąkach rozciągających się dookoła kościoła i delectowała wiatrem osuszającym jej kark – to była spokojna, leniwa niedziela, nikomu nie śpieszyło się do domu.

Rozsiedli się dookoła grobu, przycupnąwszy na sąsiednich nagrobkach – nikt nie zwrócił im uwagi, bo nie licząc zmarłych, cmentarz pozostawał pusty. Zaczęły bić dzwony ogłaszające rozpoczęcie kolejnego nabożeństwa, do kościoła wchodził wierni. Słońce wciąż wisiało wysoko, ale rosnąca nieopodal sosna dawała Marsdenom przyjemny cień.

– Pamiętam, że lubiłam, jak śpiewał – powiedziała w pewnym momencie ciotka Lisa. – Miał piękny głos. Była taka piosenka... – Zamilkła zamyślona, więc Charlie objął ją ramieniem i pocałował w skroń. Lisa przyjęła ten gest z wdzięcznością, lekko pochylając się w jego stronę.

– Już zapomniałam, kiedy tata ostatni raz śpiewał – rzekła Ginger.

– Może uda wam się go jeszcze do tego namówić – odparł Charlie.

– Też z chęcią bym go posłuchała – wtrąciła ciotka. – Bóg poskąpił mu urody, ale głos ma naprawdę śliczny.

Ginger i Elenor odpowiedziały uśmiechem, Clementine parsknęła głośno, szybko jednak zakryła usta dłonią.

Charlie pogroził jej palcem.

– Oj, nieładnie naśmiewać się z biednego człowieka.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie Clementine, przewracając oczyma.

Z kościelnych głośników wydobyły się pierwsze dźwięki organów, wierni zaczęli pieśń. Marsdenowie w milczeniu słuchali. Ciotka Lisa położyła głowę na ramieniu męża, a on mocniej ją

objął. Posiedzieli jeszcze przez chwilę, potem wstali i ruszyli cmentarną aleją, kierując się w stronę żelaznej bramy. Samochód zaparkowali wzdłuż polnej drogi, w cieniu wierzby, aby się nie nagrzał. Niewiele to pomogło, bo wewnątrz było parne i duszne, otworzyli więc okna.

– Uroki lata – zauważył pogodnie Charlie.

Wstrzymując oddech, wsiedli do auta i wrócili do domu – w radiu leciało akurat *Losing My Religion*.

EPILOG

Błędne ogniki migoczące w głębi lasu były coraz bliżej, ich światło stawało się jaśniejsze, jakby pełniejsze. Elenor nie mogła się doczekać, co znajdą na końcu tej drogi – naprawdę by się zawiodła, gdyby nic na nich nie czekało, jedynie płomyk drżący tuż nad ziemią.

No, dalej – pomyślała, zwracając się do istoty i próbując jednocześnie odegnąć wcześniejsze myśli. – Jesteśmy tutaj. Proszę, przyjdź.

Wciąż posuwali się dalej. Z każdym krokiem las stawał się coraz cichszy, drzewa nieruchomiały, a nocne zwierzęta milkły, nastolatki dostrzegły to jednak dopiero, gdy przystanęli, bo Dirk zaplątał się stopami w chaszczę i musiał się wyswobodzić. Ciemność wokoło zgęstniała. Coś w powietrzu wyraźnie się zmieniło, woń bagna przybrała na sile. Żadne z nich nie miało zamiaru zawracać, ale też nikt nic nie mówił.

Ruszyli znowu przed siebie, a sekundy zamieniały się w minuty. W ciszy, jaka zapadła w lesie, ich kroki były niepokojąco głośne. Słyszeli nawet własne oddechy – jeżeli gdziekolwiek ukrywało się stworzenie o jeleniej czaszce oraz porożu porośniętym bluszczem, już dawno wiedziało o ich obecności.

Błędny ognek nadal migotał między drzewami. Nie spuszczała z niego spojrzenia, bojąc się, że gdy tylko to zrobią, on zniknie. Mimo wszystko i tak to nastąpiło – płomyk najpierw zadrżał niespokojnie, niczym płomień świecy poruszony przez przeciąg, a potem po prostu się wypalił.

Ginger westchnęła i wszyscy przystanęli, nie bardzo wiedząc, co robić.

Pierwsza ocknęła się Clementine – kontynuowała marsz, a reszta podążyła jej śladem. Zapach bagniska zaczął drażnić nozdrza, spomiędzy gałęzi wyłoniła się Droga Mleczna, odrobinę rozpraszając mrok. Choć nie działo się nic nadnaturalnego, było w tej chwili coś niezwykłego – milczące drzewa zdające się wszystko obserwować, rozgwieżdżone niebo spozierające spomiędzy liści i intensywna woń torfu, jakby ktoś rozgrzebał ziemię. Może tak właśnie się stało i stworzenie wyłoniło się spod gruntu, tak jak Mattias Marsden po dwudziestu latach od śmierci – chłopiec, który je narysował.

Elenor wyczuwała obecność czegoś znacznie potężniejszego, niemal spodziewała się usłyszeć wilczą pieśń przeszywającą ciszę.

To jednak nie wilki przyszły im na spotkanie.

Nadal kierowali się w stronę, w którą wskazywał błędny ognik. Topole, więzy i wierzby ustąpiły miejsca olszynie, zniknęły krzewy czarnego bzu, poszycie stało się rzadsze, tym samym ułatwiając spacer – ziemię porastały już tylko mech i porosty.

Dotarli do jezior. Woda była mętna i zielonkawa nawet w półmroku, ale i tak z łatwością odbijała światło gwiazd. Gdzieś rosnęły kwiaty: drobne i białe fiołki oraz goździki, różowy pomocnik baldaszkowy czy fioletowa bylina; wszystkie te kolory zostały stonowane przez noc.

Nad taflą bagien, nad mchem i kwiatami pochylało się stworzenie. W ciemności trudno było stwierdzić, czy kroczyło prosto przez jeziora, czy może jak młode Marsdenówny wynajdowało wysepki i ścieżki. Z pewnością miało długie, sarnie nogi, masywny grzbiet wygięty w łuk. Z początku nie zwracało najmniejszej uwagi na czwórkę nastolatków ukrytych między

drzewami, wpatrujących się w nie z oszołomieniem. Potem, boleśnie powoli, uniosło łeb i zaczepiło porożem o najniższe zawieszono gałęzie. Nie licząc tego dźwięku, poruszało się w całkowitej ciszy.

Nastolatki pochwyciły się za ręce – albo po to, żeby znaleźć w tym dotyku wsparcie, albo po to, żeby przypomnieć sobie, że wcale nie śnią. Miały spocone dłonie, puls galopował w ich skroniach. Stworzenie spojrzano na nich, przestępując z nogi na nogę, a tafla wody delikatnie się przy tym wzburzyła. Mięśnie na boku zwierzęcia zadrżały, istota obróciła się, pochylając lekko głowę, i ruszyła, nawet nie oglądając się za siebie. Wtopiła się w mrok i zniknęła między drzewami.

Gdzieś w głębi lasu zahuczała sowa.

– Mówiłam, że istnieje – powiedziała Clementine ochrypłym głosem. W jej tonie brakowało jednak zwyczajowej brawury i dziewczyna brzmiała niepewnie i skrzekliwie.

– O Boże... – szepnęła Elenor.

Wciąż stali oszołomieni, ściskając się za dłonie. Ginger spojrzano na Dirka. Jej oczy były szeroko otwarte, nad górną wargą szklili się pot.

– Zrobiłeś zdjęcie?

Dirk jakby dopiero teraz się ocknął.

– Nie. O Boże, nie zrobiłem.

– Więc trzeba je dogonić – mruknęła Clementine, ruszając z miejsca. Pomknęła przez ścieżki między bagniskami, przeskakując z jednej kępy mchu na drugą. – Chodźcie!

Ginger pobiegła za nią, Elenor chwyciła Dirka za rękaw i pociągnęła go za sobą.

– Dalej, to ty masz aparat.

Ostrożnie pokonali bagniska, trzymając się wąskich, ledwie widocznych ścieżek. Elenor nie puszczała Dirka, póki znowu nie znaleźli się na bezpiecznym terenie, ale wtedy to on wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek, jakby nie chciał się zgubić.

Serce dziewczyny забиło mocniej. Cieszyła się, że wciąż panuje ciemność i chłopak nie mógł zobaczyć rumieńca wypływającego na jej policzki.

– Gdzie reszta? – zapytał szeptem.

Elenor powróciła do rzeczywistości. Rozejrzała się dookoła, ale otaczały ich tylko milczące drzewa. Po Clementine i Ginger nie było śladu.

– Pewnie pobiegły przodem – powiedziała, ale czuła dziwny niepokój, bo choć jej siostry doskonale znały ten las, grasowało w nim coś jeszcze, a nie miała pojęcia, jakie intencje miało to stworzenie. Wiedziała, czego spodziewać się po dzikach, wilkach lub kojotach, to zwierzę nie było jednak żadnym z nich. Nie wiedziała nawet, czy było z tego świata.

Dirk mocno ścisnął aparat. Zaczęli przedzierać się przez ciemność i usiłowali dojrzeć już nie tylko tajemniczą istotę, ale także dziewczyny. Elenor z całych sił próbowała odegnać z myśli obraz Mattiasa i jego ciała przez lata ukrytego w torfie.

Dłoń Dirka ześlizgnęła się po jej rękę, jego palce splotły z jej palcami.

– Tam – szepnął, wskazując w bok.

W jego głosie pobrzmiwało podniecenie i Elenor szybko dowiedziała się dlaczego – między drzewami przemykał cień.

Bez zwłoki pomknęli w jego kierunku, usiłując zachować ciszę, ale i tak zostali odkryci. Gdy tylko znaleźli się w pobliżu stworzenia, ono zatrzymało się i obróciło, kierując na nich spojrzenie ciemnych oczodołów.

Dirk uniósł aparat do twarzy i zawahał się.

– A jeśli flesz je zdenerwuje? – zapytał, a jego głos lekko się załamał.

– Więc go nie włączaj – odparła Elenor szeptem.

– Wtedy zdjęcie nie wyjdzie – jęknął Dirk.

Stworzenie wciąż im się przyglądało, nieruchome niczym kukła. Wtedy mrok na moment rozgoniła lampa błyskowa i istota ukazała się w całej okazałości. Wystarczyło zaledwie kilka sekund, aby jej się przyjrzeć – szorstka powierzchnia czaszki, poroże porośnięte przez delikatne listki, ciemna sierść pokrywająca smukłe ciało. Elenor stała jak urzeczona.

Stworzenie zareagowało na flesz jedynie drgnieniem mięśni. Dirk przewinął pokrętełkiem kliszę, przez chwilę nie słychać było nic innego. Potem ponownie uniósł aparat do twarzy i zrobił kolejne zdjęcie.

Istota wreszcie zareagowała, obróciła się i zrobiła kilka kroków w ich kierunku. Nastolatki cofnęły się gwałtownie, ich nogi zaplątały się o poszycie. Nie zdołały utrzymać równowagi i upadły na miękką ziemię. Stwór nachylił się nad nimi, wciąż w całkowitej ciszy. Owionął ich jego ciepły oddech pachnący mchem i korą.

Dirk wydał z siebie westchnienie, w którym pobrzmiwał lęk wymieszany z zachwytem. Elenor czuła dokładnie to samo.

W końcu stworzenie wyprostowało się i ruszyło przed siebie. Elenor za wszelką cenę zapragnęła się dowiedzieć, dokąd ono idzie. Dirk wstał i podążył za nią, co jakiś czas unosząc aparat do twarzy. Flesz niczym błyskawice rozświetlał ciemność, ale krocząca przez las istota nic już sobie z tego nie robiła. Chłopak napstrykał jej w sumie osiem zdjęć.

– Wystarczy. – Elenor chwyciła go za rękę, kiedy szykował się do kolejnego. – Dajmy mu chwilę spokoju.

– Nie wygląda tak, jakby mu to przeszkadzało – zaprotestował Brewer, jednak dziewczyna posłała Dirkowi karcące spojrzenie i chłopak posłusznie opuścił aparat.

Najciszej jak tylko potrafili, ruszyli w ślad za stworzeniem – gdziekolwiek szło, miało dokładnie rozplanowaną trasę. Nie kręciło się w kółko, nie rozglądało na boki, jego uwagi nie rozpraszało sporadyczne zaplątanie się porożami o gałęzie. Najpewniej doskonale zdawało sobie sprawę ze śledzącej go dwójki nastolatków.

Dirk i Elenor wciąż trzymali się blisko, przemykając między drzewami. W głowie dziewczyny bez ustanku kołatały się pytania, na które nie znała odpowiedzi – być może nigdy ich nie pozna.

Dokąd idziesz? – wołała w myślach.

Stworzenie poruszało się z gracją jelenia. Głowę trzymało wysoko, nogi stawiało po prostej linii. Elenor nie potrafiła oderwać od niego spojrzenia, wszystko dookoła stało się nieważne – ledwie dostrzegała obecność Dirka kroczącego przy jej boku.

Wtedy stworzenie skręciło, znikając za drzewami – dosłownie znikając. Dirk i Elenor zatrzymali się raptownie, ze zdumieniem wpatrując się w pustkę przed sobą. To wyglądało tak, jakby gdzieś tam znajdował się niewidzialny próg ukryty za topolą, po którego przekroczeniu przenosiło się w zupełnie inne miejsce.

– Nie! – jęknęła Elenor i popędziła przed siebie.

W chwili odejścia bytu las ożył: drzewa znowu zaczęły szumieć, odezwały się cykady. Dziewczyna zakręciła się wokół własnej osi, nie zauważyła już jednak nic poza błyszczącymi oczami sowy przycupniętej na najniższej gałęzi jesionu.

Po chwili obok zjawił się Dirk, jego blada twarz błyszczała w ciemności.

– Elenor... – Wyciągnął dłoń i dotknął jej przedramienia.

Przez chwilę po prostu stali, wpatrując się w siebie, brązowe oczy naprzeciw czarnych. Las szumiał, cykady grały, sowa siedząca na pobliskim drzewie zahuczała, a potem zerwała się do lotu. Oboje ciężko oddychali. Chłopak usiadł na ziemi, przyciskając do siebie aparat. Wciąż patrzył na Elenor oniemiały, jakby nadal nie był pewny, czy wszystko, co się tej nocy wydarzyło, naprawdę miało miejsce. Elenor przykucnęła przed nim, usiłując uspokoić serce szalejące w piersiach.

– Clementine miała rację – rzekł cicho Dirk. – Ono naprawdę istnieje.

– Tak. – Dziewczyna wolno pokiwała głową. Nie potrafiła wydusić z siebie nic więcej. Była świadoma dotyku jego palców, otaczających ich dźwięków i chmur pachnących deszczem, które w ciągu kilku minut przysłoniły gwiazdy.

Dirk nie spuszczał z niej swoich czarnych oczu.

– Co to było? – zapytał niemal z nabożną czią.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Serce wciąż łomotało jej w piersiach, gorączka krążyła w żyłach. To wszystko naprawdę się zdarzyło.

– Jesteśmy władcami świata – powiedziała, a na jej twarz wypłynął uśmiech.

Potem, niewiele myśląc, kierując się jedynie adrenaliną narzucającą rytm jej ciała, nachyliła się i pocałowała Dirka. Czuła, jak palce chłopaka mocniej zacisnęły się na jej przedramieniu, gorące i mokre od potu; drugą dłoń ułożył we wgłębieniu jej szyi. Elenor wtuliła się w niego, opierając ciężar ciała na jego udach, na co on w oszołomieniu jej pozwolił.

W końcu się od niego oderwała i przyjrzała jego twarzy. Cała pewność siebie całkiem z niej uleciała.

Dirk patrzył na nią z mieszaniną zaskoczenia i wahania, oczy miał szeroko otwarte.

– Elenor, jak nie...

Dziewczyna szybko się wycofała, uwalniając spod jego dłoni. Gorąco oblało jej policzki, a intensywne spojrzenie czarnych oczu było bardziej onieśmielające niż jeszcze chwilę temu. Elenor odetchnęła głęboko, wbijając pięści w ziemię.

Pierś Dirka gwałtownie unosiła się i opadała. Oboje wpatrywali się w siebie nieruchomo, ale teraz było już zupełnie inaczej – podekscytowanie wciąż się w nich tliło, zostało jednak przytłumione przez zdumienie z jednej strony i urazę z drugiej.

Chłopak otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, wtedy jednak usłyszeli kroki osoby przedzierającej się przez zarośla – jak na komendę obrócili się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki. Elenor niemal spodziewała się znowu ujrzeć istotę, choć przecież doskonale wiedziała, że ona nie wydawałaby aż takiego hałasu.

Miała rację: pomiędzy gałęzi jarzębiny wyłoniła się Clementine, a za nią Ginger.

– Tu jesteście – rzuciła z ulgą ta pierwsza. – Myślałyśmy, że idziemy za tamtym stworzeniem, ale gdzieś nam zniknęło. Widzieliście je?

Siostry podeszły bliżej, nie mając najmniejszego pojęcia, co przed chwilą wydarzyło się między ich dwójką. Elenor wstała szybko i otrzepała się z ziemi, opowiadając, co trzeba – o zdjęciach i podążaniu śladem istoty, póki nie rozplynęła się w powietrzu.

– To na co jeszcze czekamy? – mruknęła Clementine. – Musimy ją znaleźć!

Elenor nie protestowała, głównie dlatego, żeby odwrócić uwagę zarówno swoją, jak i Dirka od pocałunku. W głębi ducha czuła

jednak, że poszukiwania nie mają sensu. Stworzenie odeszło, być może na zawsze.

Powietrze było parne, nadciągał deszcz, drzewa szumiały, targane wiatrem, a cykady nie milkły nawet na moment. Elenor wciąż czuła na ustach dotyk warg chłopaka, włosy lepiły jej się do szyi i policzków, ciemność napierała na nią ze wszystkich stron. Wszystko to zdawało się tak nierzeczywiste, zupełnie jakby śniła.

Długo szukali stworzenia, ale nie znaleźli po nim nawet śladu. Świtało, gdy wylądowali na polanie między jednym lasem a drugim. Poranne słońce powoli wydobywało kolor z rosnących tu kwiatów. Całą czwórką stali na skraju łąki ramię w ramię i po prostu patrzyli, podczas gdy z nieba spadły pierwsze krople deszczu. Zadarli głowy, aby spojrzeć na szary nieboskłon. Elenor zagryzała wargę, Dirk przyciskał do piersi aparat fotograficzny, Clementine uśmiechała się zmęczona, lecz szczęśliwa, a Ginger zanuciła cichutko pewną piosenkę o jeziorze i jego głębinach.

KONIEC



ELENOR, CLEMENTINE I GINGER, TRZY SIOSTRY Z MAŁEJ, SENNEJ
MIEJSCOWOŚCI CONETOE, CHCĄ ROZWIKŁAĆ ZAGADKĘ ŚMIERCI
SWOJEGO WUJKA. KREWNY ZAGINAŁ NIEMAL DWADZIEŚCIA LAT
WCZEŚNIEJ, A TERAZ W POBLISKIM LESIE NA TORFOWISKACH ZOSTAJE
ODNALEZIONE JEGO CIAŁO. CZY DOPADŁ GO PECH RODZINY
MARSDENÓW? MOŻE UCIEKAŁ PRZED PROBLEMAMI
I PORWAŁ GO WIATR?

DZIEWCZĘTOM POMAGA SYN SZERYFA, DIRK BREWER, SKRYCIE
MARZĄCY O TYM, BY DOŚWIADCZYĆ CZEGOŚ NIEZWYKŁEGO.
TROP PROWADZI DO OPUSZCZONEGO DOMU, KTÓRY WYPEŁNIAJĄ
DZIWNE MALUNKI ISTOTY O GŁOWIE W KSZTAŁCIE JELENIEJ CZASZKI
I POROŻU POROŚNIĘTYM BLUSZCZEM...

W CONETOE WSZYSCY UWAŻAJĄ MARSDENÓW ZA PECHOWCÓW.
CZY DORASTAJĄCYM SIOSTRAM, ZMAGAJĄCYM SIĘ Z RODZINNYMI
KŁOPOTAMI, UDA SIĘ PRZERWAĆ TEN CIĄG NIEPOWODZEŃ?
PRZEKONAJ SIĘ, CZY RODZINA MARSDENÓW ZAZNA WRESZCIE
SPOKOJU I ODROBINY SZCZĘŚCIA...



KAROLINA STĘPIEŃ – fanka filmów i komiksów z trykociarzami,
klasyki powieści oraz dokumentów z gatunku *true crime*.
Gdy była małą dziewczynką myślała, że każdy człowiek
dysponuje ograniczoną liczbą słów, a gdy je wyczerpie,
umiera – zdaniem jej mamy powinna więc żyć wiecznie,
bo tak niewiele mówi. Nadrabia za to pisaniem – najpierw
powstały krótkie opowiadania, potem coraz dłuższe historie.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

granice.pl

PORTAL
KRYMINALNY

ZBRODNIARZKA
W BIELIŃCACH

Kawiaranka
Kryminalna.pl

ISBN: 978-83-66503-55-7



cena:
36,99 zł
(w tym
5% VAT)